

S F I N K S

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRA-
WOM SPOŁECZNYM, LITERATURZE
I SZTUCE

IV-V — 1915

Rok VIII — ogólnego zbioru Nr. 80 - 81.

SFINKS

MIESIĘCZNIK POSWIECONY SPRAWOM
WOM SPOŁECZNYM, LITERATURZE
I SZTUCE



P 99

IV-V-1918

8
Tłocznia L. Bogusławskiego, Warszawa, Świętokrzyska 11.

Za pozwoleniem cenzury wojennej niemieckiej.

HARMONIE I DYSONANSE

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
HARMONIE I DYSONANSE — <i>Dr. August Popławski.</i>	5
SĄDY OBYWATELSKIE — <i>Wacław Makowski.</i>	11
ANGLIA WOBEC SPRAWY POLSKIEJ W WIEKU XIX — <i>Dr. Marceli Handelsman.</i>	26
STAN ROLNICTWA POLSKIEGO W DOBIE POWO- JENNEJ, A PROGRAM EKONOMICZNY LUBEC- KIEGO — <i>Dr. Edward Strasburger.</i>	44
RABINDRANATH TAGORE: OGRODNIK (<i>wybór</i>). Z przekładu angielskiego, dokonanego przez autora, przełożyła <i>Marya Wydzdzanka.</i>	58
POEZYJE — <i>Tekla Knollówna.</i>	70
KRONIKA: I. Jerzy Żuławski — <i>Konrad Olchowicz (syn).</i> II. Teatr — <i>Wł. Kłyszewski.</i> III. Organizacya robót publicznych i kwestya robotnicza w prasie warszaw- skiej.	78

inicjały i okładka ZYGMUNTA KAMIŃSKIEGO.

HARMONIE I DYSONANSE.



awrotne tempo wypadków na „theatrum” wojny, które przez dni sierpniowe i wrześnieowe ogarnęło prawie całe terytorium, należące niegdyś do Rzeczypospolitej na jej kresach wschodnich, nie pozostało bez podniecającego wpływu na dorywcze formowanie dezorientacji politycznej. Ruchem wahadłowym kierowała ona sympatye częściowo ze wschodu na zachód, częściowo — odwrotnie, a na krańcu zachodnim nawet pewne dewiacye ku północnemu środkowi ciężkości zauważyć się dały. Obecnie, kiedy „synteza Tamerlana z telegrafami”, jak prof. Zdziechowski określił udział Rosyi w europeizmie, jest w stanie rozkładu chwilowego, czy też zupełnego; kiedy jednocześnie inne syntezy (nie „laurowe”, ale dotąd jeszcze bardzo ciemne) znajdują się zaledwie „in statu nascendi” — nie wydaje nam się rzeczą zbędną przysłuchać się

tym harmoniom i dysonansom, które skomplikowane warunki ostatnich czasów wśród nas wytworzyły.

„Noc piorunowa“, o której marzył Słowacki, nie nadeszła jeszcze w pierwszych dniach sierpnia, jak tego przez czas krótki i tylko nieznaczna ilościowo garść ludzi spodziewać się chciała. Przy rozważnej kategoryzacji faktów okazało się, że zamiana jednej okupacji na drugą należy do wydarzeń pomyślnych dzięki temu, że tylko w jednym sensie interpretowane być mogą: okupacja—jest okupacja. Powolniej, lecz zdaje się równie jasno, przemyślano już sprawę niemożności budowania pozytywnej polityki z tak wybuchowego materiału, jak np. nienawiść, która, oprócz ogólnej nieprodukcyjności politycznej, posiada dla Polaka i tę ciemną stronę, że niewiadomo nigdy ku komu ją kierować. Francuz nazywa to „kłopotem bogactwa“ — w danym wypadku jest to kłopot wyboru.

„Drażnienie wrogów i zniechęcanie przyjaciół“ w celu okazania „siły“ narodowej, przed czem ostrzega w swej „Sprawie Polskiej“ Starczewski, nie miało tym razem zgubnych skutków, ponieważ pierwsze — stosowano na odległość, a zniechęcać nie było kogo. Wyjaśniła nam to parokrotnie prasa niemiecka, a kierownicy polityki zagranicznej oświadczyli, że na konkretne polityczne dyskusje jest jeszcze zbyt wcześnie. Wprawdzie goście z Krakowa i z Wiednia gawędzili o różnych projektach terytoryalno - politycznych, lecz przedewszystkiem chcieli zorientować się w naszych sympatyach i w naszych stosunkach, a w pojedynczych wypadkach—znaleźć moralne poparcie dla swej polityki dzielnicowej, lub dla różnych organizacji o chwiejnych, albo zachwianych podstawach.

W Niemczech panuje obecnie zasada unikania prorocत्व i hipotez, przewidujących ukształtowanie się stosunków po wojnie, lecz kładąca nacisk na unikanie sentymentalizmu w poglądach na sprawę polską. Ponieważ poglądy berlińskiego „Tag'u“, „Deutsche Tageszeitung“ lub „Post“ są ściśle zharmonizowane z naszymi spostrzeżeniami na miejscu, więc dyagnozę naszego obecnego położenia można ustalić zgodnie: pod względem politycznym zarówno projekty zmian, jak i szczere o nich rozprawy są przedwczesne; pod względem ekonomicznym—warunki pogor-

szyły się, szczególnie przez zupełne unieruchomienie przemysłu, a w znacznym stopniu i rolnictwa, co ma być podobno związane z jednej strony z warunkami stanu wojennego, z drugiej zaś — i to naprawdę twierdzić można — łączy się z brakiem instytucji, ześrodkowującej w sobie ogólne zabiegi o polepszenie anormalnych stosunków ekonomicznych i dobrze z miejscowymi warunkami obeznanej. Dla ludzi, oryentujących się w poglądach społeczeństwa naszego, rozdział tymczasowy, ale całkowity, pomiędzy sprawami ekonomicznymi, a ściśle politycznymi, jest nie tylko możliwy, ale wręcz pożądany. Niestety, trudność przekonania o tem innych nie została przewyciężona i nieporozumienie trwa ciągle.

Naturalnie, w społeczeństwie, tak wrażliwem, jak polskie, skutki sposobu postępowania z nami zaznaczyły się bezpośrednio w pewnych „oryentacjach”, które często bardzo mianem dezoryentacji trafniej określone by być mogły. W warstwach naszego ludu wiejskiego, wyciągającego bezpośrednio i natychmiastowe wnioski z swojej niedoli, powstała opinia, że wszyscy dokuczają, ale że ten, kto ostatni dokucza, jest zawsze najgorszy. Sfery drobnej burżuazji, oraz ludzi zarobkujących w przedsiębiorstwach o charakterze luksusowym, rozbudziły w sobie coś w rodzaju tęsknoty za rozpustą pieniężną, ze wschodu idącą i jeśli nie pobożnie, to w każdym razie gorąco wzdychają do zmiany obecnych stosunków. Bez wątpienia nostalgii tego rodzaju nie mają nic wspólnego z patryotyzmem ekonomicznym, dążącym do ogólnego dobrobytu narodu, a nie jednostek, lecz walka z niemi, uzasadniona i celowa, robi czasem na zewnątrz wrażenie, że chodzi tu o spór z jakimś ideowym przeciwnikiem, a nie ze zwykłą mechaniczną, jeśli tak powieźć można, interpretacją faktów. A rolą warstw oświeconych, t. j. patryotycznych i inteligentnych, i to rolą, z której wywiązują się one wcale pocześnie, jest zwalczanie wszystkiego, co o mechaniczne rozwiązania, zarówno w sprawach politycznych, jak i ekonomicznych, potracić może.

W pierwszym rządzie to ideowe stanowisko zaznaczyło się w łącznym potępieniu wszelkich kombinacji politycznych, dających do t. zw. mechanicznego podziału Polski — niezależ-

nie od tego, jakie państwa tej ponownej wivisekcji dokonać by miały. Silne ideowe tezy tego poglądu, opierające się nie na machiawelizmach kongresu przyszłości, lecz na wrodzonym instynkcie samoobrony, zostały docenione nawet przez prasę niemiecką. Unia ideowa w społeczeństwie naszym jeszcze i pod innym względem coraz szersze zatacza koła. Chcemy mieć własne, u nas w kraju zapewnione podstawy ogólnego ekonomicznego rozwoju. I z chwilą, kiedy postulaty te przejdą do świadomości ogółu, polityka polska nie będzie już szukać błędnych, bo zbyt nietrwałych, na zewnętrznych koniunkturach politycznych opartych, a więc od nas całkowicie niezależnych „oryentacji”. Humor ulicy określił to polityczne stanowisko doskonałą, jak na nasze stosunki, grą słów: „Chcemy mieć Polskę nie za Wisłą” (niezawisłą). Nie przesądzając momentu realizacji tych pragnień, powinniśmy w chwili obecnej dążyć do uzdrowienia stosunków wewnętrznych i do rewizji naszych zasad politycznych.

Bogaci doświadczeniem — i jak ciężkiem — przeszłości; panując nad odruchami serca i nerwów, aby zapewnić tryumf polskiej myśli, nie konspiracyjnej i nie anonimowej; wyleczeni z niedomażeń sentymentalnej naiwności, stosowanej do życia politycznego i pomni słów Staszica o niemożności upadku narodów wielkich; dalecy od rozhulanego optymizmu, a nieskłonni zarazem do trucizną zaprawnego zgorzknienia — w wzmocnieniu struktury ideowej polskiej (i teraz trzeba powiedzieć polskiej „bez zastrzeżeń”) powinniśmy widzieć, zdaniem naszym, główne zadanie chwili obecnej. Określając stanowisko nasze¹⁾, staraliśmy się uzasadnić potrzebę supremacji interesu narodowego nad polityką dzielnicową i nad walką klas. Śledząc z zajęciem głosy pojedynczych ludzi i organów prasy, dążące do ustalenia tego prawa pierworodztwa dla interesu narodowego, spotkaliśmy z radością niemało komilitonów ideowych. Znamy odezwę Lubomirskiego, wzywającą, aby w imię „samozachowawczego instynktu narodowego” akcja ratunkowa na rzecz

¹⁾ Patrz *Sfinks* II—III 1915 „Po roku wojny”.

ludu polskiego nie ograniczała się „do podziału dochodu”, lecz i do poświęcenia majątku w razie potrzeby; powodzenie nietylko platoniczne, jakie osiągnęła — wszystko to stanowi wspaniały przyczynek do zaniechania tematów „walkoklasowych”. Przyczynków takich nie brak i w pojedynczych głosach naszej prasy — że wyliczymy tylko opinie „Dziennika Polskiego” lub „Nowego Ogniska”, rozpalonego przez warszawskiego benjamina politycznego, t. zw. „stronnictwo narodowe”, które radzi, aby społeczeństwo „w momencie przełomu i burzy, kiedy się sprawa polska w całej swej wielkości rozstrzyga i waży” wzniosło się na stanowisko, „dziś jedynie wskazane i konieczne, a tem jest stanowisko nadpartyjne”. Identyczne poglądy zaczynają z całą samowiedzą przejawiać się i w Galicyi, gdzie, jako znak widomy tak pożądanej nadpartyjności, ma powstać miesięcznik redagowany przez Żeromskiego, Kasprowicza i mnicha-dominikanina. Takie same poglądy, miejmy nadzieję, uzyskają prawo obywatelstwa w najbardziej im dotąd nieprzyjaznej warstwie — w sferach robotniczych, które na razie z niekłamanym zapałem prowadzą „bellum omnium contra omnes” za przykładem szlachty polskiej w XV i XVI ww.

Jak „nadpartyjność” powinna obecnie zapewnić „Burgfriede” międzyklasowy, tak również „naddzielnicowość” polityki polskiej wydaje nam się postulatem koniecznym do osiągnięcia powodzenia politycznego. Mając zamiar powrócić do sprawy tej w przyszłości, na razie poruszmy inną jeszcze chroniczną bolączkę naszych stosunków wewnętrznych — mamy na myśli kwestyę żydowską. Ani niebezpieczny filosemityzm, a tem mniej niekulturalny i jątrzący antysemityzm nie odpowiadają — w naszym przekonaniu — interesom polskim i powadze chwili. Prawa narodowości, współżyjących z nami w naszym kraju, muszą być określone na zasadach równouprawnienia, z którego dotąd my, biedniejsi od Żydów, korzystaliśmy tylko w Austrii. Obrona kulturalna naszych interesów politycznych i ekonomicznych wraz z dążeniem do wytworzenia własnego handlu i to w ręku naszego „stanu trzeciego”, nie egzystującego dotąd, sprowadzić musi nasz stosunek do Żydów do

t. zw. „asemityzmu“¹⁾, nie wyłączającego realnej asymilacji, ale takiej, która nie ulega wątpliwości.

Dla wszystkich, którzy chcą twardo i jasno „wśród narodu swego stać“, jedna tylko może istnieć wieczysta dewiza: jesteśmy Polakami. To bardzo wiele.

Dr. August Popławski.

¹⁾ Patrz „Sprawa Polska“ przez Eug. Starczewskiego — str. 285 i następne.

SĄDY OBYWATELSKIE.



d niepamiętnych czasów wymiar sprawiedliwości stanowił zawsze przywilej władzę dzierzącego. W układzie współczesnej budowy państwowej stał się on przywilejem korony, władzy najwyższej; sprawowano też wszędy czynności sądowe i wydawano wyroki w imieniu tej władzy, w imieniu monarchy, albo rzeczypospolitej.

Organizacja wymiaru sprawiedliwości stanowiła nie tylko przywilej i najpiękniejszy brylant korony, cechę władzy zwierzchniej,—stanowiła zarazem jej obowiązek wobec narodu. Tak dalece posuwało się to obowiązkowe znaczenie sprawiedliwości, że musiało ono, w wypadkach sporu pomiędzy poddanym a koroną, doprowadzać do wyodrębnienia się władzy sądowej w najwyższą, bezstronną mimo wszystko, szczytną służbę społeczną.

Zadaniem służby tej było iść, w miarę sił ludzkich, w ślady sprawiedliwości Bożej, a złożony na stronę wszelkie względy uboczne, wedle sił i rozumienia, dążyć do wyjaśnienia prawdy umysłowi i sumieniu dostępnej i prawdzie tej nadania cech prawomocnego, rygorem wykonania opatrzonego wyroku.

Oderwana sprawiedliwość i prawda w wyroku sądowym otrzymywać ma formę realną i siłę przymusowego urzeczywistnienia.

Stąd znowu wymiar sprawiedliwości musi posiadać w sobie cechę władzy, tam bowiem, gdzie sentencja wyroku naj-słuszniejszego nie będzie oparta o siłę wykonawczą, nie będzie miała mocy i znaczenia.

A społeczeństwo ludzkie bez sądu istnieć nie może. Zbyt wielka jest różnorodność dróg człowieczych, ażeby się mogły nie pokrzyżować, zbyt wielka złożoność życia społecznego, ażeby mogło w niem nie być sprzecznych dążeń i starć.

Nie tylko nie świadczy obfita praca sądu o wadliwości organizacji społecznej, ale wprost przeciwnie, im wyższy stopień uspołecznienia, tem większa ilość punktów stycznych pomiędzy ludźmi, tem częstsze wypadki, gdzie konieczna jest interwencja rozjemcy, sprawiedliwego sędziego. Im większy stopień uspołecznienia, tem sprawiedliwszy sędzia, tem większe do niego zaufanie, tem większa praca sędziego.

Niestety niezawsze harmonia panuje pomiędzy sędzią, a społeczeństwem. Czasami staje się on narzędziem tendencji obcych sprawiedliwości, służy mniej lub więcej przemijającym interesom politycznym tych, którzy go powołali.

Przez długi szereg lat doświadczaliśmy na sobie tych praktyk sprawiedliwości nienormalnej, społeczeństwu obcej i obojętnej, formalnej, niezrozumiałej i nierozumiejącej, w obcym języku wymierzanej.

A jednak musieliśmy się jej wymiarowi poddawać tak samo, jak musieliśmy się poddawać wszelkim zarządzeniom mającej siłę władzy państwowej.

Ale oto, nieznaną koleją rzeczy, odeszła ta władza, straciła siłę panowania nad nami.

Jeśliby organizacja wymiaru sprawiedliwości w Polsce była zbudowana w sposób jedynie słuszny, t. j. z żywołu polskiego i z zastosowaniem do potrzeb polskiego narodu, to, rzecz prosta, nie mogłaby nigdy nastąpić chwila pozostawienia społeczeństwa bez sądów. Ponieważ zaś sądy te były tylko narzę-

dziem panowania obcej władzy, odeszły wraz z tą władzą, poprzedziły ją nawet w ucieczce.

I sądom tym, które uzurpowały sobie pozory służby publicznej i władzy tej, która opierała się tylko na sile fizycznej, nie chodziło bynajmniej o społeczeństwo nasze, o jego normalny rozwój i byt. Przeciwnie, chodziło im właśnie o to, ażeby ten rozwój normalny uniemożliwić, a zabierając i usuwając tak społecznie doniosły czynnik, jakim jest organizacja sądowa, społeczeństwo zdeorganizować.

Jednakże zamiar ten, oparty na przypuszczeniu o absolutnego nakazu potrafiło społeczeństwo polskie podstawić siłę karnej społecznej. Dokonał się niezmiernie ciekawy z punktu widzenia socjologicznego eksperyment: miejsce obcych, wadliwych sądów państwowych zajęły własne, zastosowane tylko do potrzeb służby społecznej, sądy „obywatelskie”.

Myliłby się, ktoby w tej nazwie chciał dopatrywać się jakiegoś specyficznego piętna na organizacji i pracy sądów. Działy one tak samo, według tych samych zasad, na jakich opierać się mogły sądy państwowe, tylko siłę nakazu władzy państwowej, sankcjonującej wykonanie wyroków, zastępowała tu kultura społeczna.

Spółeczeństwo potrzebowało sądów tak samo, jak potrzebowało innych atrybucji władzy i życia państwowego i nie szukając długo, powołało do życia to, co mu było potrzebne, nie zastanawiając się nad historyzoficzną zagadką, jaka wynika stąd dla teoretyków.

Spółeczeństwo dowiodło w ten sposób zarówno wielkiej zdolności organizacji, jak dojrzałości, dokumentując, że potrafi samo zaspakajać swoje zwierzchnicze potrzeby i prawa.

Niestale i przemijające okoliczności wojny sprawiły, że organizacja sądów „obywatelskich” nie była trwałą na razie. Nie o jej trwałość wszakże tu chodzi, bowiem rzeczą jest jasną, że trwałość ta nie zależała od niej samej, ale od okoliczności postronnych, na które wpływu mieć nie mogła,—chodzi o jej powstanie i zdolność życiową.

A pod tym względem mamy bogaty i ciekawy materiał do

zestawień. Okazuje się z niego, że gdyby ta organizacja opierała się nie o Komitet Obywatelski, jak to było w danym wypadku, a—jak to było być powinno—o władzę zwierzchnią; gdyby miała za sobą formalny chociażby akt państwowy, jednym słowem, gdyby nie była organizacją sądową „obywatelską”, ale „państwową”, nietylko by posiadała jeszcze większe, niż obecnie, znaczenie, ale i trwałość jej byłaby zapewniona. Niestety, akt ten, nietylko zresztą dla organizacji sądowej, ale i dla całokształtu życia naszego tak niezbędnym, jeszcze nie nastąpił, tak samo wszakże, jak samorzutnie powstały w chwili właściwej sądy, tak samo zapewne i dla niego właściwa chwila nadejdzie. Tymczasem możemy mówić o pewnym objawie społeczno-historycznym i rozważać szczegóły jego trwania.

Kiedy wobec niepewności wypadków wojennych poczęto ku jesieni 1914 roku organizować milicję, spostrzeżono zaraz konieczność sądownictwa policyjnego, któreby mogło współdziałać sprawie zachowania porządku publicznego. Powstał tedy projekt „sądów straży obywatelskiej”, urzędujących przy okręgach straży, uzupełniających niejako tę straż w zakresie nakładania kar za drobne przewinienia, nieposłuszeństwo zarządzeniom milicji w pierwszym rzędzie. Przewidywano bowiem, i słusznie, że, przynajmniej z początku, zadanie milicji będzie bardzo trudne i znajdą się żywioły krnąbrne, do których trzeba będzie stosować kary, a nie chcąc stosować tych kar w drodze ściśle administracyjnych zarządzeń komendantury, powołano sądy z udziałem ławników, tem większą powagę nadając ich zarządzeniom.

Najwyższa kompetencja tych sądów straży miała sięgać 25 rb. grzywny i 7 dni aresztu — rzecz prosta, że w tych granicach o właściwym sądownictwie trudno było mówić; tembardziej, że projekt regulaminu tych sądów nie określał rzeczowo ich kompetencji, słusznie rozumiejąc, że w takim zakresie obywatelskie sumienie będzie najwłaściwszym probierzem stosowanej kary.

Zresztą, prócz samego wymiaru kary, chodziło o pewną prawniczą opiekę zarówno nad czynnościami członków straży,

jak i tych osób, które w sprzeczności z zarządzeniami straży staną i przeciw którym zajdzie potrzeba stosowania przymusu.

O projekcie tym wspominamy nie ze względu na jego znaczenie dla ustawy sądowej, ale głównie ze względu na to, że około niego skupiła się znaczna grupa przeważnie młodszych prawników, którzy w większości stanowić mieli później skład osobisty organizacyi sądów pokoju.

Tak rzecz się miała do lipca 1915 r. W lipcu sprawa zajęcia Warszawy przez wojska niemieckie stawała się coraz bardziej realną, władze rosyjskie odeszły, sądów nie było przez kilka tygodni, brak wymiaru sprawiedliwości dawał się we znaki.

Niezależnie tedy od inicjatywy policyjno-sądowej straży obywatelskiej zaczęto się zastanawiać nad wznowieniem przerwanego wymiaru sprawiedliwości we właściwym zakresie.

Zwracano się z przedstawieniami do rosyjskich władz cywilnych w Warszawie, telegrafowano do ministrów, wszystko to jednak pozostało bez echa.

Z innej znów strony, wychodząc z założenia, że społeczeństwo polskie może i powinno samo sobie radzić, nie oglądając się na pozwolenie ze strony władz, zajętych przedewszystkiem ewakuacją ruchomości i własną, że prawo tworzenia sądów czerpią te władze nie skądinąd, jak właśnie z aprobaty społeczeństwa, że wreszcie brak sądów z dniem każdym staje się dotkliwszym, a jeśli potrwa dłużej, zastanie nas zupełnie dezorganizowanych w najbardziej doniosłej chwili, kiedy pozostaniemy sami sobie, że o nas tylko tu chodzi, a o sobie przedewszystkiem sami rozstrzygać i troszczyć się powinniśmy,—zgłoszono do Sekcyi prawnej Komitetu Obywatelskiego m. Warszawy całkowity projekt organizacyi sądowej.

Nastąpiło chwilowe przeciwstawienie projektów, niektórzy zwolennicy t. zw. „Sądów przy Okręgach Straży Obywatelskiej”, nie chcieli się rozstać z tą organizacją specjalną, uważając ją za praktyczną i realną, podczas gdy organizacja ogólna wydawała się im mrzonką.

Jednakże opozycja ta ustąpiła wkońcu, pozostawiając po

sobie tylko ślad pewien w postaci kompromisu, jaki się odbił na ogólnej organizacji sądowej, przez uzależnienie sądów pokoju od Sekcji Straży Obywatelskiej. Jest to pozostałość pierwotnych sądów policyjnych, które, pochłonięte przez szerszą i ogólniejszą organizację, ze względów raczej przypadkowych wywarły niewłaściwy wpływ na sądy pokoju. Wszakże ta zależność, która z biegiem czasu musiałaby zapewne zniknąć, nie była ani tak istotna, ani tak doniosła, ażeby miała się stać przeszkodą ku skoordynowaniu pracy z różnych stron, ale ku jednemu celowi zmierzającej.

Zresztą projekt całkowitej organizacji sądowej spotkał najlepsze i najgorętsze przyjęcie, praca kilku dni w sekcji prawnej i wyłonionej z jej składu komisji uzupełniła kilka punktów projektu i 27 lipca Komitet Obywatelski m. Warszawy na wniosek Sekcji Prawnej uchwalił „Organizację Sądową Obywatelską”.

Projekt stał się więc „prawem”, jeszcze jednak nie był rzeczywistością, a o to wszak chodziło przedewszystkiem. Względnie długotrwałe narady co do nominacji sędziów, zakończone pomyślnie 3 sierpnia, przygotowały możliwość urzeczywistnienia, a 5 sierpnia stało się ono faktem.

Niektórzy sędziowie pokoju już od rana 5 sierpnia rozpoczęli urzędowanie przy okręgach Straży Obywatelskiej, w południe odbyło się zebranie Kolegium Sędziów Pokoju, po południu posiedzenie Sądu Głównego i Trybunału, na którym obrano prezesów i ukonstytuowano sądy.

I już dziś niezapomniane będą historyczne chwile, kiedy po szarych ciasnych lokalach komisaryatów, przy klekotniu kartaczownic, otwierano posiedzenia Sądów pokoju.

Kilka dni jeszcze upłynęło, zanim stało się możliwem zajęcie pałacu Rzeczypospolitej (Kraśińskich) i Paca.

Wreszcie objęliśmy je w posiadanie.

Głoszono, że pałac Rzeczypospolitej jest zniszczony, że nie można w nim być wcale;—weszliśmy jednak;—otwarły się szeroko drzwi:—w wielkiej sali na piętrze, niewiadomo przez kogo ustawione stały w podkowę stoły, przygotowane do posiedzenia sądów polskich.

Posiedzenie otwarto.

A było to w dwa tygodnie potem, jak projekt organizacji sądowej uzyskał zatwierdzenie Komitetu Obywatelskiego.

Znów kilka dni zaledwie i w sali Paca publiczne posiedzenie Trybunału w uroczystej ciszy i powadze, jakby wczoraj dopiero przerwane, otworzono na nowo.

A pracy czekało już wiele, jakkolwiek wstrząśnięty przez wypadki wojenne, a częstokroć właśnie z tego powodu, bieg życia domagał się interwencji sądów i czekał na nie.

Doczekał się wreszcie i z całym zaufaniem i pośpiechem poczęła się tłoczyć ludność Warszawy do swoich sądów.

Największa praca spadła oczywiście na Sądy Pokoju. Kompetencya ich objęła wszystkie sprawy cywilne, w których przedmiot sporu nie przekraczał rb. 300 i sprawy karne o czyny zagrożone karą nie wyższą, niż rok więzienia, stosownie do obowiązującego dotąd prawodawstwa.

Ponadto sędziowie pokoju pełnili w niektórych wypadkach czynności sędziów śledczych, i musieli sprawdzać podstawy zatrzymania wszystkich aresztowanych w komisaryatach straży w ciągu 24 godzin.

Pracy tedy było niemało. 60 sędziów w 25 okręgach pracowało czasami w ten sposób, że po dwa i trzy posiedzenia odbywano w ciągu dnia.

Za czas od 5 sierpnia do 10 września wpłynęło okrągło spraw cywilnych około 12,000, a karnych około 5,000, prawie połowę tych spraw osądzono.

Statystyka ta daje słabe tylko pojęcie o ogromie pracy, bo ponadto trzeba było dokonywać czynności organizacyjnych, opracowywać technikę pracy sądowej, bez doświadczenia, z wiedzą tylko teoretyczną, dobrą wolą obywatelską i zapalem.

Jednakże to można twierdzić z całkowitą pewnością, że sprawiedliwość wymierzano w tych sądach z poczuciem wysokiej służby publicznej, że w historii sądownictwa w Warszawie okres ten stanowić będzie wspaniałą oazę dbałości i sumienności sędziowskiej.

Całe dni upływały sędziom i ławnikom na posiedzeniach

sądowych; w święta odwiedzać musieli okręgi, ażeby zadość uczynić przepisowi, nakazującemu rozważenie okoliczności każdego aresztowania w ciągu 24 godzin; wieczorami dokonywali badań śledczych, czynności gospodarczych i kancelaryjnych; wreszcie na zebraniach kolegium poruszali wynikające z praktyki kwestye prawne i organizacyjne, opracowywali terminologię sadowniczą, wzory aktów, protokółów, wyroków, nakazów, wezwań i t. p. A w to wszystko kłaść trzeba było, prócz dobrej woli, wiedzę i inicjatywę, bo terminologia prawnicza polska była wysoce zaniedbana, trzeba ją tedy było wprost stworzyć na nowo.

W ciągu kilku tygodni trwania tej pracy nastąpiło z konieczności już różniczkowanie, systematyzacja, wreszcie maszyna cała stawała się coraz bardziej sprawną we wszystkich szczegółach. Rzadkie bardzo wypadki błędów prawniczych, ujawnione natychmiast, świadczą, jako wyjątki, o powszechnej prawidłowości funkcjonowania sądów.

Zresztą ani pod tym, ani pod żadnym względem działalność ta nie mogła być normalną, jak nie był normalny czas, który ją powołał.

Największą ilość spraw cywilnych stanowiły sprawy o komorne i o eksmisye z lokalów, następnie spory pomiędzy robotnikami i przedsiębiorcami o zapłatę dwutygodniowych odszkodowań z powodu zamknięcia fabryk i t. p. aktualne sprawy. Wszystko to były sprawy zasadnicze, mające znaczenie dla całego społeczeństwa, jeden wyrok stawać się mógł łatwo wzorem dla następnych—wobec analogiczności podstawy pretensyi.

W takich pozornie jednostajnych sprawach należało właśnie zastosować najściślejsze zbadanie okoliczności w każdym poszczególnym wypadku i sądy pokoju czyniły to, stereotypowych wyroków nie było.

Zapewne dalsza praktyka wytworzyłaby musiały specjalne orzecznictwo w tych bieżących kwestyach, zapewne też niektóre z nich zostałyby przeniesione na grunt ogólny i rozstrzygnięte zasadniczo przez instytucye obywatelskie, — jednakże na to wszystko czas nie pozwolił jeszcze.

Pośród spraw karnych najwięcej było zatargów z milicyą,

nieposłuszeństwa jej rozkazom, obelg słownych i czynnych pod jej adresem.

Tu również stereotypowych wyroków nie było. Sędziowie rozumieli, że wymiar sprawiedliwości wymagał tu wielkiej uwagi i zastanowienia. Z jednej strony bowiem istotnie lekceważono niekiedy milicję, jako nie opatrzoną pozorami brutalnej władzy policyjnej; uważano za uzurpatorów tych ludzi z przepaskami, którzy pozatem nie różnili się niczem od zwykłych śmiertelników, nie rozumiano, że tem większą powinni posiadać powagę. Taki „policyjny” punkt widzenia doprowadzał niekiedy do targów z milicją i należało wdrażać społeczeństwu, a przynajmniej niektórym jednostkom poszanowanie dla tych skromnych i pełnych poświęcenia pracowników publicznych.

Z drugiej jednak strony tak samo, jak nie każdy mógł się pogodzić z tem, że jego znajomy z opaską staje się nosicielem władzy, tak samo ten, kto opaskę włożył, nie umiał się dokładnie zorientować co do istoty i zakresu tej władzy. Zdawało mu się, że ta przemijająca kilkugodzinna władza domaga się widomych oznak. Stąd gorliwość szła czasem zbyt daleko i nieraz obywatel był pokrzywdzony przez zbytnią gorliwość członka straży obywatelskiej.

Znów tedy takt sędziego jedynie mógł rozpoznać, gdzie leżał błąd i należyte z tego wyprowadzić konsekwencje. Czasami wyroki musiały być surowe, czasami łagodne i sędziowie z całą troskliwością różniczkowali winy i kary w każdym poszczególnym wypadku. Przynajmniej do tego zdążali.

Praca kipiała.

Ktokolwiek widział burzliwe posiedzenia kolegium Sędziów Pokoju, ich burzliwe debaty, to przejęcie, z jakim przystępowano do każdej kwestyi, ktokolwiek czuł to tętno pracy obywatelskiej, ten zrozumie, że w pracy tej przeistoczyli się wprost ci ludzie, złączyli się między sobą i nawiązali z życiem społeczeństwa nici, które dotąd usiłował zawsze trzymać obcy urzędnik.

Przed sędziego zbiegały się najrozmaitsze codzienne sprawy życiowe, sędzia stawał się rozjemcą, powiernikiem; wszystkie te drobne, a tak dla uczestników ważne spory dnia powszedniego, znoszone przed swojego sędziego przez ludność okręgu,

po raz pierwszy otwierały przed nami tę stronę naszego codziennego życia i dawały przedsmak warunków zgoła cudownych dla nas, w jakich wszak żyją wszystkie społeczeństwa Europy, wszystkie wolne narody.

Powoli stawało się to proste i naturalne, zaczęliśmy rozumieć, że tak być musi, że istotnie rola sędziego pokoju, to rola człowieka, który z pewną grupą społeczną współżyje, trosk ich słucha, spory łagodzi, nieporozumienia wyrównywa, karcie wreszcie, kiedy zachodzi potrzeba nieodzowna i karze.

Jeszcze jaskrawiej zrozumieliśmy krzywdę, jaka się społeczeństwu naszemu działa przez sędziów-Rosyan, nie znających języka naszego, którzy raczej obcym bogom, a nie interesom społeczeństwa naszego służyli.

Zrozumieliśmy, że taki ustrój sądownictwa, taki wymiar sprawiedliwości, który się nam dotąd marzeniem wydawał, jest nieodzownym warunkiem normalnego życia i rozwoju społecznego.

Tu też w zakresie sądów pokoju najjaskrawiej wyraziła się doniosłość Organizacji Sądowej Obywatelskiej.

Ale nie tylko ten udział ludzi obywatelskim duchem przenikniętych stanowił dodatnią stronę nowej organizacji sądowej; niezależnie od ludzi, którzy mogliby, rzecz prosta, każdej organizacji nadać właściwy sobie charakter, w tym wypadku sama konstrukcja prawna zasługuje na rozważenie.

Wziąwszy za podstawę obowiązujące prawo rosyjskie, jako znane i jedynie nadające się, tymczasowo oczywiście, w stanie przejściowym, do stosowania, organizacja sądowa obywatelska, w granicach możliwych bez pogwałcenia tego prawa, obowiązującego ze względu na przepisy Konwencji Haskiej (art. 43), starała się jednak wprowadzić jeszcze konieczne uproszczenia i udoskonalenia.

Organizacja sądownictwa musiała być tedy taką samą, jaką była w ogólnych zarysach organizacja rosyjska, ale zarazem musiała być odmienną.

Nie mówię o języku, ten ulegał zmianie z istoty rzeczy. Ze względów teoretycznego uzasadnienia i praktycznej celowości uznano za konieczne skasowanie Zjazdów Sędziów Pokoju; ja-

ko drugą instancję dla sądów pokoju ustanowiono Trybunał, będący zarówno instancją pierwszą dla spraw, wychodzących poza zakres kompetencji Sądów Pokoju.

W ten sposób osiągnięto z jednej strony ściślejszą łączność całego sądownictwa, większą jednolitość wymiaru sprawiedliwości, upraszczano skomplikowaną kolejność instancji i zastosowywano się do dawnych tradycji polskich i współczesnego stanu sądownictwa na zachodzie.

Drugą instancję dla Trybunału stanowił Sąd Główny. Trzecią, kasacyjną instancję, usunięto.

Sprawa dwóch, trzech, czy wreszcie jednej instancji jest przedmiotem sporu proceduralistów. Przeciwko nagromadzeniu instancji powstają wkońcu wszyscy, jednakże sposób ich zastąpienia może być rozmaity.

Teoretycznie najlepszym i może dla warunków normalnych jedynie wskazanym byłby układ instancji taki, gdzie od razu sąd stanowiłby wyrok ostateczny, od którego strony mogłyby się odwoływać tylko w drodze kasacyjnej do sądu najwyższego.

Odwołanie dotyczyłoby tylko okoliczności formalnych i prawnych, a nie istoty sporu sądowego; treść wyroku nie ulegałaby zaskarżeniu.

Jednakże taki stan rzeczy może mieć rację bytu tylko w warunkach normalnego, spokojnego wymiaru sprawiedliwości przez doświadczone i wypróbowany sąd. Tam, gdzie sądownictwo było jeszcze tak młode, jak nasze, wchodziło po dłuższej przerwie do pracy, należało pozostawić możliwość kontroli nie tylko pod względem formalnym, ale i merytorycznym nad wyrokami pierwszej instancji.

Pozostał jednak niemniej słusznym fakt zbędności drabiny instancji i słusznem wydawało się ich ograniczenie do dwóch.

Org. Sąd. Ob. stanęła tedy na gruncie apelacyjności. Od każdego wyroku strony odwołują się wedle woli do instancji drugiej i ostatecznej. Ta zaś rozważa zarówno formalną, jak merytoryczną stronę wyroku i orzeka co do obydwóch. W ten sposób osiągnano większe gwarancje sprawiedliwości, jakkolwiek uprawomocnienie wyroku ulegałoby pewnej, niezbyt wielkiej zresztą, zwłóce.

Rozumiejąc wszakże, że bywają wypadki takich zagadnień prawniczych, które należy rozstrzygnąć w sposób miarodajny i obowiązujący dla wszystkich sądów, że mogą one wynikać przy rozważaniu spraw w którejkolwiek instancji, Org. Sąd. Obyw. nadała prawo orzecznictwa wyjaśniającego Sądowi Głównemu, stwarzając zarazem specjalne postępowanie wyjaśniające.

Postępowanie to rozpoczynało się na skutek przedstawienia którejkolwiek instytucji sądowej, lub urzędu specjalnego referentów Sądu Głównego. Rzecz prosta, że do nich zwracać się mogły zainteresowane osoby prywatne. W ten sposób jakakolwiek praktyczna kwestya prawna, sporna i wymagająca orzeczenia miarodajnego, przychodziła do rozpoznania w Sądzie Głównym nie w drodze kasacyi, ale w drodze przedstawienia, niezależnie od sprawy konkretnej. Wyjaśnienie stawało się wskazówką postępowania dla sądów.

Przykład: art. 43 Org. Sąd. Ob. przewiduje prawo zmniejszenia kary osobistej poniżej normy w kodeksie przewidzianej, art. ten mieści się w dziale, traktującym o organizacji Trybunału;—czy Sądowi Pokoju przysługuje takie prawo?

W postępowaniu kasacyjnem zagadnienie to mogłoby przyjść pod obrady orzekającej instancji tylko po zapadnięciu ostatecznego wyroku w konkretnej sprawie, na skutek skargi oskarżonego lub prokuratora.

Do Sądu Głównego zapytanie to przyszło na skutek podniesionych na posiedzeniu Kolegium Sędziów Pokoju wątpliwości. Sąd Główny wątpliwości te usunął, wyjaśniając, że prawo, o którym mowa, przysługuje również sądom pokoju.

W ten sam sposób pod obrady Sądu Głównego przychodziły rozmaite kwestye wątpliwości prawnych mniej lub więcej zasadniczych, czasami wprost wynikających z niedoświadczenia, z trudności organizacyjnych, czasami istotnie wymagających skomplikowanych rozważań.

Wypełniło to działalność Sądu Głównego w ciągu całego okresu istnienia; posiedzenia odbywały się co drugi dzień i zawsze miały coś do rozstrzygnięcia. Sprawy, w którychby Sąd Główny miał wyrokować jako druga instancja, jeszcze nie do-

szły do niego. Wpłynęło wprawdzie kilka skarg, ale zawieszenie czynności nie pozwoliło na ich rozpoznanie.

Trybunał natomiast sądził już, a na wokandzie wydziału cywilnego w d. 10 września, t. j. w dniu zawieszenia czynności, było trzydzieści spraw.

W Trybunale normalna praca sądowa, tak samo jak w sądach Pokoju, posuwała się szybko, powództwa i apelacje napływały, akty oskarżenia wnosił prokurator, posiedzenia gospodarcze zarządzały bieg spraw, posiedzenia publiczne rozważały je i wyrokowały.

Prezes Trybunału wyznaczył komorników, wezwał do rozpoczęcia czynności rejentów, nakazał otwarcie archiwum akt stanu cywilnego.

Łączne posiedzenia Sądu Głównego i Trybunału usiłowały wykończyć całość sądownictwa, stanowiąc w rozmaitych kwestiach organizacyjnych, powołując wreszcie organ łączący, „urząd sprawiedliwości”, — Wydział Sądowy.

Kupcy-sędziowie dawnego Sądu Handlowego zwrócili się do Sądownictwa Obywatelskiego z prośbą o wznowienie specjalnej jurysdykcji handlowej; poczyniono odpowiednie zarządzenia, Trybunał Handlowy ukonstytuował się, nie mógł już jednak czynności rozpocząć.

Konsystorz Ewangelicko-Reformowany prosił o delegowanie prokuratora do Sądu Konsystorskiego i o sankcję dla jurysdykcji tego sądu. W miarę możliwości uczyniono temu żądaniu zadość.

Zbyt krótkotrwałą była działalność Sądów Polskich, ażeby na tym materiale statystycznym, cyfrowo dość nawet imponującym, jaki zgromadzono w sprawozdaniach miesięcznych i likwidacyjnych, można już było budować jakieś wnioski, a wreszcie i perspektywa jest jeszcze zbyt mała. Całokształt działalności tych sądów obejmie zapewne wydawnictwo specjalne materiałów, zainicjowane przez Sąd Główny, a zamierzone przez Wydział Sądowy.

Zresztą może nie tylko dla nas, którzyśmy w pracy tej bezpośredni brali udział, ale i dla obiektywnego, obojętnego ba-

dacza znaczenie istotne sądownictwa polskiego w sierpniu r. 1915 polegać będzie nie na ilości osądzonych spraw i nie na statystycznych z nich wywodach. Conajwyżej wielka ta ilość, jako probierz palącej potrzeby sądów i natychmiastowego do nich zaufania cytowana być może.

Punkt ciężkości wszakże tkwi w organizacji samej, w tem budownictwie społecznem, co więcej—w tym rozpędzie twórczym w zakresie pracy publiczno-państwowej, w tej woli i zdolności do kierowania sobą nie tylko w zakresie gospodarki finansowej, ale i tam, gdzie o zasadnicze prawa państwowości chodzi, — jakie wykazało społeczeństwo polskie.

Z małymi wyjątkami ludzi zawodowo chwiejnych i lękliwych, albo rozpieranych przez osobiste ambicje, nikomu nie przyszła wątpliwość ani co do potrzeby, ani co do prawa społeczeństwa polskiego stanowienia dla siebie takich sądów, jakie mu były potrzebne.

Przez tyloletnią systematyczną demoralizację i usuwanie od pracy publicznej, zdeorganizowane społeczeństwo musiało być mało do organizacyjnej roboty podatnym materiałem. A jednak potrzeba organizacji, przez wiekową kulturę zaszczerpiona, była tak wielka, że przewyciężyła wszelkie obawy i skrupuły bezwładu. Jak nieporządnie rozsypane opiłki żelazne w gwiazdę cudną ułożą się wokół magnetycznego bieguna, tak w jednej niemal chwili dokoła projektu organizacji sądowej skupili się ci paryasi sprawiedliwości, jakimi dotąd czyniono prawników polskich.

I nie to także najważniejszą jest rzeczą, że organizacja ta zdołała zastosować i wcielić w życie kilka udoskonaleń prawnych w postaci warunkowego skazania, obrony na śledztwie, rehabilitacji i t. p., a zamierzała w dalszym ciągu wprowadzać sąd dla nieletnich i t. d., że w ten sposób usiłowała dotrzymać kroku najlepszym prawodawstwom kulturalnego świata. To świadczyć może na korzyść wewnętrznej wartości „ustawy lipcowej”, ale to nie jest jej najważniejszą wartością.

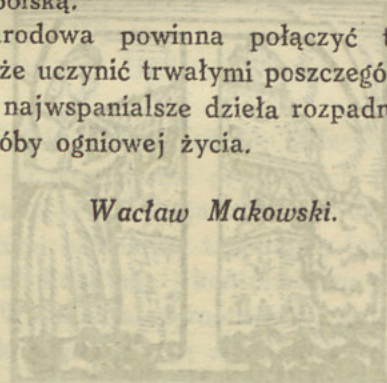
Najważniejszą jest to, że w toku wypadków, jakie się przetaczają nad Polską, do szeregu rozmaitych wysiłków polskich przybywa i wyróżnia się z pomiędzy nich rozmachem i wykoń-

zeniem akt, któremu innej nazwy prawnej prócz „ustawy” nadać nie można. Że akt ten wydany zostaje przez samo społeczeństwo polskie własną wolą; że jakkolwiek z tych, czy innych powodów mogą uleść zawieszeniu czynności sądowe, historycznego i publicznego znaczenia i społeczno-psychologicznej wagi bynajmniej nie tracą.

Życie polityczne polskie w Warszawie nie stoi może na tym poziomie, na jakim stanąby powinno, natomiast sprawność życia społecznego i rozpęd, z jakim się do urzędzenia tego życia przystępuje, wobec zahaczeń nieuniknionych spraw gospodarki społecznej, organizacji państwowej i reprezentacji politycznej nadawać musi gospodarczym zarządzeniom znaczenie szersze i donioślejsze. Ta samorzutność i ten rozpęd świadczą zarówno o zdolnościach, jak i o potrzebie narodowej.

Mniej więcej wszystkie, a przynajmniej wszystkie ważniejsze dziedziny życia publicznego, jak wykazało już życie, są lub mogą być bez wielkich trudności ogarnięte przez rozumną i sprawną organizację i pracę polską.

Jednolita świadomość narodowa powinna połączyć to wszystko, ona bowiem jedna może uczynić trwałymi poszczególne wysiłki. Jeśli jej nie będzie, najwspanialsze dzieła rozpadną się w gruzy, nie wytrzymają próby ogniowej życia.



Wacław Makowski.

ANGLIA WOBEC SPRAWY POLSKIEJ W WIEKU XIX.

(Dokończenie).



ymczasowy rząd narodowy polski próbował na początku umiejscowić pozar powstania. Wzmacniając wojsko i szykując się do walki, której pragnął uniknąć, formę rządów utrzymywał możliwie najbardziej zbliżoną do formy, określonej przez konstytucję, próbował nawiązać rokowania z monarchą. Nie sposób jednak było utrzymać równowagę między naciskiem radykalnych żywiołów, a oporem powołanego do władzy przez opinię, choć przeciwnego wojnie dyktatora, gen. Chłopickiego; między wolą narodu, pragnącego żyć własnym życiem, i stanowiskiem monarchy, który nie uznawał żadnego porozumienia. Zwlekano z działaniem, liczone na skuteczność deputacji, wysłanej do Petersburga, na ustępstwa prawno-polityczne i nie przenoszono walki na Litwę. Tymczasem wypadki posuwały się szybko. Nastąpił manifest eksterminacyjny Mikołaja

(22/XII 1830) i detronizacja cesarza (25/I 1831). Stanowcza walka stawała się nieuniknioną.

Wśród Polaków istniały różnice co do pojmowania działań przeciwrosyjskich, nie było ich na polu stosunków do Europy. Wszyscy od początku byli jednego pewni: sprawy polskiej nie można traktować, jako wewnętrznej rosyjskiej, ani tylko, jako kwestyi ustrojowej, konstytucyjnej Królestwa. Obejmuje ona całe terytorjum Rzplitej, a że zamknięta w granicach stosunku polsko-rosyjskiego musi oprócz Królestwa ogarnąć także zachodnie prowincye Rosyi, t. j. Litwę z ziemiami ruskimi. Jako sprawa par excellence międzynarodowa musi być postawiona na gruncie międzynarodowym. Należało zatem odwołać się do kontrahentów Kongresu Wiedeńskiego i gwarantów jego aktu końcowego, złamanej podstawy dotychczasowego stosunku polsko-rosyjskiego, tembardziej, że interes Europy, oparty na powszechnej równowadze, teraz zachwianej, tego wymagał, należało rozpocząć rokowania dyplomatyczne. Przed innymi wysłano na początku agenta dyplomatycznego do Londynu, Aleksandra margrabiego Wielopolskiego. Wkrótce po nim wyjechali przedstawiciele Polski powstańczej do Berlina, Wiednia i Paryża.

Stosunek do agentów Polski był wszędzie jednakowy. Przyjmowano ich co najwyżej w charakterze prywatnych podróżujących, bytność ich ukrywano przed czujnym okiem dyplomatów rosyjskich, stosunki z nimi osłaniając tajemnicą, tolerowano ich w Berlinie, Paryżu lub Londynie i konspirowano prowadzone z nimi rokowania w Wiedniu, a równocześnie, zwłaszcza w Berlinie, przejmowano korespondencyę agentów polskich do rządu warszawskiego i odsłaniano ich treść przed rządem rosyjskim.

Na Berlin i Wiedeń zwrócone były tylko uboczne wysiłki. Szło o pozyskanie przychylniej neutralności, później w miarę rozwoju wypadków o zapewnienie ewentualnej Habsburskiej kandydatury na tron wakujący Królestwa Polskiego (Mettelnich gotów był zgodzić się na secundogeniturę austriacką w Warszawie w osobie arcyksięcia Karola, niejednokrotnie na tron polski powoływanego, bez angażowania sił swoich przeciwko Ro-

syi¹⁾. Właściwe jednak starania prowadzone być miały w dwóch zachodnich mocarstwach, przyczem stopniowo ośrodek działania przenosi się z Londynu do Paryża. Misya polska w Paryżu staje się centralną instytucją dyplomatyczną na całą zachodnią Europę. Stąd wychodzą instrukcye do agentów w innych miastach, którzy dostosowują swoje postępowanie do działań paryskich.

Wielopolski w Londynie spotkał się z bardzo zimnym przyjęciem. Członkowie rządu, dawni liberałowie, w dobie opozycyi przyjaciele Polski, unikali teraz zetknięcia z margrabią. Lord Palmerston wprawdzie przyjmował Wielopolskiego u siebie, lecz zastrzegał się stale, że nie może mu odpowiadać, jako minister. Wielopolski ogranicza się więc do nawiązywania stosunków, do urabiania opinii publicznej przez ogłaszanie artykułów w pismach, przemawianie na bankietach, lub publikowanie książki informacyjnej o Polsce.

8 marca 1831 roku misya paryska z jednej strony, Wielopolski z drugiej wystąpili z żądaniem poparcia wysiłków polskich. Żądali oni uznania niezależności Królestwa, insynuowali możliwość powołania na tron polski kandydata austriackiego. Odpowiedź Palmerstona, zdawało się, przesądzała całą sprawę. Była to chwila, kiedy Europę obiegały płynące z pruskich źródeł wiadomości o zwycięstwach rosyjskich i upadku Warszawy. Bezwzględne utrzymanie traktatów, jak zapewniał Palmerston, jest jedyną podstawą działań gabinetu angielskiego. Gdyby cesarz rosyjski chciał wcielić Królestwo do Rosyi, Anglia sprzeciwiłaby się temu stanowczo, lecz cesarz takiego zamiaru nie ujawnił. Co się zaś tyczy Litwy, to tam nie było rewolucyi, a zatem i nie może być mowy o niej. Inne było stanowisko Anglii w sprawie greckiej, gdy rząd turecki nie mógł się uporać z powstaniem, które trwało długo, inne w sprawie belgijskiej, w której król holenderski sam odwołał się do Europy. Oczywiście, gdyby powstanie w Polsce trwało, gdyby ruch przeniósł się na

¹⁾ Typowe w tym sensie jest wypowiedzenie się przychylnego nam konsula austriackiego w Warszawie, Oechsnera: „Polska jest to posażna panna, lecz niezmiernie trudno windykować jej posag”.

Litwę, co jest zupełnie nieprawdopodobne, sprawa przybrałaby inny obrót. W obecnej chwili Palmerston zalecał tylko uległość wobec zwycięzcy.

Pod wpływem wystąpienia misji paryskiej, rząd francuski polecił ambasadorowi swemu w Petersburgu ująć się za zwycięzonymi, lecz sposobem ogólnym, by nie urazić zwycięzcy, a jednocześnie wystąpił z inicjatywą łącznego działania w Londynie. W obawie przed opinią publiczną, lecz z myślą o nieurazaniu Rosyi, gabinet londyński nakazał 22/III 1831 r. upomnieć się o utrzymanie w mocy urzędzeń traktatu Wiedeńskiego, przyłączyć do wystąpienia ambasadora francuskiego, lecz jednocześnie kazał unikać nieprzyjaznej dyskusji.

Mimo depresji, w jakiej się znajdował dwór petersburski z powodu niepowodzeń Dybicza, odpowiedź Nesselrodego była odmowna. Rosya zapewniała, że nie zejdzie z drogi ścisłego przestrzegania traktatu i odmawiała równocześnie Europie prawa wtrącania się do sprawy, która interesowała tylko ją, Prusy i Austryę. Komunikujący tę wiadomość do Londynu, ambasador angielski Heytesbury dodawał, że w razie zwycięstwa obecna konstytucya będzie jeżeli nie formalnie, to faktycznie usunięta. Rząd angielski zadowolnił się tą odpowiedzią, nie poparł swego stanowiska nowem wystąpieniem; nie miał poruszać sprawy polskiej, nawet wtedy, kiedy Francya czynić będzie nowe zabiegi w Londynie w sprawie starań o zawieszenie kroków nieprzyjacielskich między Rosyą a Polską i przyznanie tej ostatniej charakteru państwa niezależnego. Dalsze zabiegi polskie, pomysły Talleyranda zastąpienia kandydatury Habsburskiej przez kandydaturę pruską nie doprowadziły do rezultatu, nie mogły wywołać łącznego działania angielsko-francuskiego. Tylko nacisk opinii publicznej lub walne zwycięstwo polskie mogły wpłynąć na gabinet londyński; a tymczasem opinia publiczna angielska zajmowała się przedewszystkiem projektem reformy parlamentarnej, 8-go zaś września kapitulowała Warszawa.

Jeszcze przed upadkiem stolicy polskiej czynione w Paryżu i Londynie zabiegi miały ten tylko skutek, że oba gabinety, każdy zresztą z osobna, sposobem ostrożnym i przyjaznym zwracały się do Rosyi z żądaniem utrzy-

mania urzędzeń kongresowych. Stanowisko Rosyi było jasne. Zwycięstwo dało jej ostateczną przewagę w Europie. Faktyczny środek ciężkości polityki międzynarodowej z Londynu przesunął się nad Nową. Na stronę rosyjską przeszły nie tylko stale ciężące ku niej Prusy, lecz i Austria. Cesarz Mikołaj wysuwa się na czoło monarchii europejskich, jako bezwzględny obrońca zasad absolutyzmu. W zwyciężonem Królestwie rozpoczyna się okres surowych represyi, polityka tępienia odrębności administracyjnej i niszczenia kultury polskiej. W odpowiedziach gabinetom europejskim Rosya formułuje nową teorię: Polacy sami zniszczyli konstytucję Królestwa, nic nie może przymusić cesarza do jej przywrócenia. Lecz równocześnie w obawie przed naciskiem państw europejskich, które w osobach swoich ministrów, zmuszanych do tego przez dyskusye parlamentarne, domagały się utrzymania zobowiązań kongresowych, ogłasza akt prawodawczy, rzekomo czyniący zadość tym zobowiązaniom. Dnia 26/II 1832 r. został Królestwu nadany statut organiczny, który nigdy nie wszedł w życie i nigdy nie został skasowany.

Rysując plany dalszej akcji antypolskiej główny doradca cesarza Mikołaja, zdobywca Warszawy, ks. Paskiewicz, pisał: „Kraków należy zająć natychmiast wojskami trzech mocarstw. Jeżeli nie można tego uczynić odrazu, w obawie przed francuskim i innymi gabinetami i ażeby nie przekraczać postanowień Kongresu Wiedeńskiego, w takim razie wywołać można u nich powstanie i korzystając z tego natychmiast wprowadzić wojska”. Kraków wprowadzie na zlecenie rządu rewolucyjnego polskiego, zachował najściślejszą neutralność podczas powstania, lecz jako miejsce azylu dla zbiegów z Królestwa, jako ośrodek niezależnego życia polskiego, mimo przeszkód trzech dworów opiekuńczych rozwijającego się nieustannie, wydawał się cesarzowi Mikołajowi „złem gniazdem polskości”, które należało „unicestwić w zarodku”. Rosya chce Kraków oddać Austrii, „łakomej” na to miasto, która jednak obawia się zbyt jawnego

pogwałcenia uchwał Kongresu Wiedeńskiego i spółzawodnictwa Prus. Prusy, korzystając z wolno-handlowego położenia Krakowa, ciągną z tego korzyści ekonomiczne i coraz bardziej wiążą się pod względem gospodarczym z terytoryum krakowskiem. Przeszkody ze strony pruskiej wzrosły zwłaszcza po roku 1840, odkąd na tronie pruskim zasiadł niezależny od Mikołaja Fryderyk Wilhelm IV.

Z inicjatywy Rosyi na zjazdach w Münchengrätz (1833) i Cieplicach (1835), przyznano w zasadzie Kraków Austrii. W r. 1836 nastąpiła zbiorowa okupacja Krakowa, jako kara za sprowokowanie do wystąpienia żywiołów gorętszych w mieście. Pozbawione znaczenia i całkowicie od konferencji ministrów trzech państw opiekuńczych zależne władze Rzplitej Krakowskiej zmuszone były do wydalenia wszystkich emigrantów. Rzplita próbowała się bronić i odwołała się do gwarantów traktatu, Francyi i Anglii, w roku 1839. Protest pozostał bez skutku, dla ratowania reszty niezależności trzeba było się poddać samowoli konferencyi. Tymczasem Rosya i Austria zaczynają stosować do Krakowa represye ekonomiczne, a jednocześnie Metternich podsyca w mieście nadzieje na niezależność. Związek z przygotowanym powstaniem w Galicyi i Poznańskiem (1846) miał posłużyć za punkt wyjścia do ostatecznego zniszczenia Krakowa. Rosya coraz wyraźniej domaga się aneksyi wolnego miasta. Łącznym wysiłkom Rosyi i Austrii udało się wreszcie złamać opór Berlina. Mimo to Metternich zwleka: boi się pono powikłań międzynarodowych, liczy na niecierpliwość Mikołaja, zamierza zająć Kraków z prawem dowolnego ufortyfikowania. Teraz Rosya stawia sprawę jasno: albo Austria zajmie Kraków natychmiastowo, albo musi się go wyrzec na rzecz Rosyi. 16 listopada 1846 Kraków wcielono do Austrii. Europa postawiona była wobec faktu dokonanego. I znowu interpelacye w parlamentach zmusiły rządy Francyi i Anglii do zajęcia pewnego w tej sprawie stanowiska. I znowu Palmerston uchylił się od łącznego działania z Francją. Francya ograniczyła się do formalnego wystąpienia i usiłowała ze złamania zobowiązań międzynarodowych na Wschodzie wyciągnąć dla siebie analogiczne

konsekwencye we Włoszech. Palmerston zaś mocno protestował przeciwko aneksyi Krakowa, ale jako przeciwko projektowi aneksyi, i na tem poprzestał. Kraków pod naciskiem i opieką Mikołaja zagarnęła Austria.

Przed kapitulacją (wrzesień 1831 r.) Warszawę opuścili wojsko, urzędy i władze, podążając poza granice zdobytego przez Rosyę kraju. Odtąd najlepsza część społeczeństwa polskiego miała żyć na emigracyi, w warunkach ciężkich materialnie i moralnie, i pracować dla jedynej odtąd idei, dla walki o zdobycie niepodległości Polski. Emigracya składała się z dwóch wielkich odłamów. Odłam demokratyczny, domagający się głębokich reform społecznych w własnym kraju, wierzył, że z upadkiem absolutyzmu w Europie zniknie wszelka niesprawiedliwość i stał na stanowisku solidarności działania wszystkich narodów w walce z tym absolutyzmem. Na czoło tego odłamu wysunęła się t. zw. Centralizacya Wersalska, a jego przedstawiciele, prowadząc działania spiskowe i konspiracyjne na własnej ziemi polskiej, biorą jednocześnie udział w walkach wolnościowych Europy (w ruchach ludowych Francyi, walkach o zjednoczenie Włoch, o konstytucyę Niemiec, o reformę wyborczą w Anglii).

Odłam drugi, zorganizowany naokoło hotelu Lambert, rezydencyi ks. Adama Czartoryskiego, trzymał się zasad konserwatywnych i liczył na konieczność zerwania stosunków pokojowych Europy w związku ze sprawą Wschodnią, kiedy to wypłynąć będzie musiała na forum międzypaństwowe sprawa polska. Stronictwo ks. Czartoryskiego opierało się o stosunki parlamentarne i gabinetowe i liczyło przedewszystkiem na działania dyplomatyczne.

W miarę rozbudzania się świadomości społecznej w Europie rosły przygotowania powstańcze wśród emigrantów. Przygotowania te jednak, miast powodzenia, przyniosły klęskę. W Galicyi w r. 1846 utopiono ruch w rzezi chłopskiej. W zabo-

rze pruskim ruch uprzedzono i wytoczono olbrzymi proces rzeczywistym i rzekomym spiskowcom. Represye zatrzymały, lecz nie zdusiły dążeń wolnościowych. Sprawa polska, w aureoli nowego męczeństwa, stawała się czynnikiem nowego fermentu u ludów środkowo-europejskich.

Kiedy zaś w r. 1848 fala rewolucyi ogarnęła całą zachodnią Europę, sprawa polska wysunęła się na czoło zagadnień powszechnych. Jako postulat sprawiedliwości będzie stawiana, zwłaszcza na początku, wraz z innymi zagadnieniami wolnościowymi (żądanie konstytucyi) przeciwko rządowi przez wszystkie grupy rewolucyjne lub szczerze liberalne. Stanie się ona przeto przedmiotem solidarnej nienawiści rządów, zagrożonych przez rewolucję (Prusy, Austria) i pośrednio przez nią dotkniętych (cesarz Mikołaj, występując do walki z rewolucją Węgierską, zaznaczał, że w ten sposób walczy z Polskością i Polakami, jako czynnikiem rewolucyi). Jako zagadnienie realnych interesów narodowych (żądanie wyodrębnienia Poznańskiego z Niemiec i Galicyi), poparte siłą zbrojną zorganizuje przeciw Polakom łączny odpór rządu i panującej narodowości (niemieckiej). Po krótkim okresie liberalizmu, nastanie twarda i bezwzględna, nietylko polityczna, lecz i społeczno-ekonomiczna walka przeciw-polska, jeden z fundamentów odradzającej się reakcyi w Europie.

Po zbombardowaniu Krakowa i Lwowa, po zduszeniu powstania w Poznańskim, demokraci polscy prowadzić będą następnie niedobitków rewolucyi włoskiej (Sycylia), niemieckiej (Wiedeń, Drezno, Pfalz), czy węgierskiej w r. 1849 i ostatni zjedną z placówki, nie dającej się więcej obronić.

W Europie zapanuje ostatecznie reakcja, a na dwóch jej krańcach stać będą nietknięte przez rewolucję — autokratyczna Rosya i konstytucyjna Anglia, jednakowo zainteresowane w sprawach blizkiego Wschodu. W r. 1853, na gruncie pożądań rosyjskich na tym terenie dojdzie do wojny, w której obok Anglii i Turcyi udział weźmie cesarz Francuzów Napoleon, do której przystąpi później Sardynia i Austria. Urzędowa opinia Anglii od początku tej wojny jest wyraźnie anti-rosyjska. Za cel

Sfinks

wojny uważano zamknięcie państwa rosyjskiego w granicach zakreślonych przez naturę i historię. Lecz cel ten pojmowano niejednakowo. Część opinii angielskiej pragnęła odepchnąć Rosję od morza Czarnego i odciąć ją od Azji, część druga myślała o osłonięciu Europy od nacisku i wpływów Rosyi. W promieniu tej drugiej koncepcyi, popularnej w szerokich sferach ludności, wysuwała się możliwość, a nawet konieczność odbudowania Polski (projekt pruskiego ambasadora Bunsena—por. *The polish question of the german point of view*. 1855). Anglia rządowa rozpoczynała kampanię z niewielkimi siłami, potem miała je powiększyć, na początku nie konkretyzowała swych pomysłów.

Dla Napoleona kampania krymska nie była wojną o materialne interesy na Wschodzie, lecz o mocarstwowe wpływy w Europie i osobisty autorytet dla cesarza. Napoleon pragnął musiał blasku łatwych zwycięstw i od razu rzucał wielkie siły. Rozumiał on niemożność zupełnego zgniecenia Rosyi, lecz nie mógł wyrzec się narodowościowych założeń własnej polityki, to też nie mógł być głuchym na starania Hotelu Lambert, obecnie żywo krzającego się w interesach Polski i na równi z demokratami zabiegającego o utworzenie własnej siły wojskowej. Napoleon parokrotnie ujawniał przed Anglią potrzebę wysunięcia koncepcyi polskiej, zgadzając się na Polskę w granicach choćby Księstwa Warszawskiego, lecz stale spotykał się z wymijającą odpowiedzią rządu angielskiego. Natomiast nie angażował się zbyt w czynnościach, które miały doprowadzić do uformowania siły polskiej. Mickiewicz np. pragnący udać się na pole walki otrzymał misję na Wschód dopiero po długich staraniach przy ogromnej protekcji i tylko pod pozorem ekspedycyi literackiej. Zabiegi głównego agenta Hotelu Lambert, Władysława Zamoyskiego, uwieńczone zostały częściowo pomyslnym rezultatem. Z Anglią doszła do skutku umowa, z której mocy powołano do życia na żołdzie angielskim wojskowe formacje polskie. Na przyznanie im nazwy „Polskie” rząd angielski zgodzić się nie chciał: Polacy mieli wziąć udział w walce pod nazwą Kozaków Sułtańskich. Liczono nadto na dezercję Polaków, którzy w liczbie około 300.000 udział brali w kampanii w szeregach rosyjskich.

Dezercy prawie nie było, z kraju tylko nieliczne grupy udawały się do Konstantynopola, a tam formacja Polska była gotowa dopiero w chwili zawarcia pokoju.

Dla rozwiązania sytuacji, wynikłej z wojny, zwołany został kongres do Paryża, w którym prócz państw walczących udział wzięły i Prusy, w ciągu całej kampanii wytrwale stojące po stronie rosyjskiej. O pokoju myśli Napoleon od upadku Sebastopola. Pragnie on mimo Anglii, która nie może zapomnieć mu jego Napoleońskiego pochodzenia, wejść w bliższe zetknięcie z Rosją. Anglia odrazu przejrzała grę Francji i postanowiła temu zapobiedz. Teraz ona wyraża gotowość do pomagania Francji w sprawie przywrócenia Polski, co najmniej stanu rzeczy, opartego o uchwały kongresu z 1815 r. Po pierwszej jednak rozmowie z przedstawicielem Rosji, Orłowem, Napoleon zrozumiał, że na punkcie Polski Rosya będzie nieprzejednana, i postanowił nie mieć rodzącego się porozumienia. Równocześnie oziębiają się znacznie stosunki angielsko-francuskie. Ostatecznie na Kongresie Paryskim sprawy Polskiej nie poruszano. A kiedy po podpisaniu traktatu z inicjatywy Anglii miano się na jednym z końcowych posiedzeń zająć organizacją Polski rosyjskiej, Orłow zapowiedział, że poruszanie tej sprawy pogorszyłoby tylko los Polaków, zagroził nawet, że gdyby o sprawie tej mówiono, reprezentanci Rosji usuną się od narad. Sprawy polskiej nawet tu nie tykano; długoletnie starania stronnictwa Czartoryskiego i ich stosunki nie dały rezultatów żadnych (kwiecień 1856).

Nie rozwiązana i nie postawiona nawet w momencie powikłań międzynarodowych, sprawa Polska miała wypłynąć na skutek samodzielnej akcji Polaków. Dn. 22/I 1863 r. wybuchło powstanie w Królestwie Polskim i, na początku przynajmniej, rozszerzało się ogromnie szybko. Ruch polski był wymierzony *jedynie przeciwko panowaniu rosyjskiemu*, mimo to na gruncie powstania odrodziła się i umocniła solidarność państw rozbio-

rowych—Prus i Rosyi. 8 lutego 1863 r. z inicjatywy Bismarcka, od niedawna pierwszego ministra pruskiego, na jego natarczywą propozycję, *skwapliwie* przyjętą w Petersburgu, podpisano tajną konwencję rosyjsko-pruska, która zapewniała łączną akcję przeciwko powstaniu. Jakie były motywy postępowania Bismarcka specjalnie w stosunku do sprawy polskiej, ściśle określić nie sposób. Mógł się on lękać o pruskie ziemie polskie, mógł liczyć na to, że Prusy zostaną wciągnięte do akcji i zaokupują Królestwo, że zmęczona fermentem polskim Rosya wyrzeknie się go łatwo, a czasowa okupacja pruska zamieni się na stałą („Poland... be erected into a separat kingdom joined with Prussia by a personal union only”). W stosunkach polskich widział Bismarck w owej chwili tylko środek, który mu miał zapewnić realizację innych celów. Przez wysunięcie sprawy polskiej pragnął on stworzyć w Prusiech warunki faktyczne, któreby ułatwiły rozbitcie rosnącej opozycji i zapewniły koronie zwycięstwo w walce z parlamentem. Ażeby zaś móżd nadto zrealizować cele zewnętrzne (usunąć Austryę z Rzeszy, wyeliminować wpływy francuskie, Prusom rozszerzonym terytoryalnie zapewnić pierwsze miejsce w Niemczech), na to potrzeba było trwałej podstawy operacyjnej, jaką dać mógł tylko sojusz z Rosyą. Lecz sojusz taki trzeba było zdobyć. To też Bismarck zdobywa go swoją gotowością do walki ze wspólnem rzekomo niebezpieczeństwem polkiem, a jednocześnie przez niezachowanie tajemnicy o konwencji wytwarza dla Rosyi trudności, które nakazują jej tem wyżej cenić przyjaźń pruska. Zacieśniała się łączność rosyjsko-pruska i groziła dobrym w owej chwili stosunkom francusko-rosyjskim.

W ten sposób pojęto całą sprawę w Paryżu. Z mozołem od Kongresu Paryskiego nawiązywana przyjaźń, która miała dla Francyi przedewszystkiem sens praktyczny, jako podstawa oparcia przy rywalizacyi z Habsburgami (1859) i dążenia do zdobycia Renu, przyjaźń francusko-rosyjska zachwiać się mogła, odkąd trzeba było określić ściśle stosunek Francyi do sprawy polskiej: przez rozgłoszenie konwencji określenie tego stosunku staje się koniecznem. Napoleon pragnie ile możności skierować ostrze ewentualnego wystąpienia przeciwko Prusom i oszczędzać

Rosyę, pragnie wciągnąć do akcji Anglię i Austryę, coby doprowadzić musiało do osłabienia stosunku Anglii z Prusami, bez narażania Francji ze strony rosyjskiej. Próba wystąpienia zbiorowego przeciwko Prusom nie powiodła się. Austria odmówiła udziału, lecz wyraziła zgodę na porozumienie z Francją; Anglia nie dała się wciągnąć do akcji i sama wręczyła Rosji notę umiarkowaną, umotywowaną wymaganiami traktatu z r. 1815.

W zaraniu zabiegów dyplomatycznych, wynikłych na skutek powstania, ujawniły się zatem dwie odmienne grupy interesów: solidarność Prus i Rosji z jednej strony, z drugiej zaś obok umiarkowanej wobec ruchu Polskiego życzliwej neutralności Austrii, która od roku 1859 weszła na drogę faktycznych ustępstw konstytucyjno-narodowych, rzekoma solidarność i faktyczna rozbieżność Francji i Anglii. Mocarstwa zachodnie poruszają odtąd sprawę Polską w miarę rozwoju wypadków w sensie dywersyi, której rezultaty mają się odbić korzystnie na innych, dla nich ważniejszych terenach.

Rozbudzona opinia w Anglii a zwłaszcza Francji, zmuszała jednak rządy tych państw do dalszej akcji. Długotrwałe rokowania między gabinetami francuskim, angielskim i austriackim doprowadziły do równoczesnego, lecz niejednakowego wystąpienia tym razem już przeciwko Rosji. Złożone ks. Górczakowowi 17 kwietnia 1863 r. noty, ujawniły, choć jeszcze nie zbyt jaskrawo, niezgodność poglądów na środki oddziaływania.

Niezadowolona z nadawania sprawie Polskiej zbyt wielkiego rozgłosu, Austria obawiała się wojny, widziała możliwość utraty Galicji, a nawet Wenecji, unikała wbrew własnym interesom starcia z Prusami, które miało nastąpić później, w czasie przez Prusy wybranym, dążyła do mocnego oparcia się o Anglię i nie chciała narażać się Rosji. W nocie swej Austria wskazywała na ferment umysłów w Galicji na skutek powstania w Królestwie i wyrażała nadzieję, że Rosya wkrótce doprowadzi do uspokojenia tego kraju.

Stanowisko Francji było niejasne i chwiejne. Równocześnie wysuwano myśl żądania niepodległości (z monarchą Habsburgiem lub w. ks. rosyjskim) i domagano się powrotu do sto-

sunków z r. 1815. W Paryżu przeceniano osobisty wpływ cesarza i autorytet Francyi. Fantastyczny charakter Napoleona, rozdzielenie opinii w najbliższym jego otoczeniu, sympatyje polskie w szerokich warstwach publiczności nadawały akcyi rządu francuskiego cechy zmienności i fantastyczności. W swej nocie rząd francuski nie wspominał o traktacie Wiedeńskim, liczył na „szlachetne” zamiary Aleksandra, wskazywał na konieczność uspokojenia Europy, stawał na gruncie najszerszym i najzupełniej nieokreślonym.

W Anglii hr. Russel nawiązywał do tradycyi Palmerstona, bronił zasady niezmienności urzędzeń kongresowych, wyrażał „gorącą nadzieję”, że rząd rosyjski potrafi przywrócić narodowi polskiemu i Europie spokój, zachwiany przez powstanie. Anglia w polityce swej liczyła się przedewszystkiem z troską o niedopuszczenie do wojny z Prusami i do sojuszu Francyi z Austryą, a także myślała o tem, by ostatecznie zapobiedz porozumieniu francusko-rosyjskiemu. Obawa przed ewentualnym wzrostem moralnej lub materyjalnej potęgi Francyi zasłania Anglii drugie zagadnienie — potrzebę obrony dostępu na Bałtyk i nietykalności Danii, rodzi chwiejność wobec Prus w sprawie duńskiej i względność wobec Rosyi. Na tem tle sprawa Polska malała, co najjaskrawiej ujmuje Napier (6 kwietnia 1863 r.). Utworzenie Polski w granicach historycznych uważa on za szkodliwe dla Anglii. Groziłoby ono jednoci protestanckich Niemiec, a możeby ją udaremniło, wzmocniłoby potęgę katolicyzmu i Francyi w Europie, t. j. osłabiłoby Anglię. Okrojenie terytorium rosyjskiego i zmniejszenie wpływów rosyjskich w Europie nie zrównoważyłoby tej straty. Utworzeniu Polski w granicach Królestwa stanąć muszą na przeszkodzie interesy rosyjskie. Rosya mogłaby za takie ustępstwa zażądać od Europy, względnie Anglii, gwarancyi, którychby ona dać nie mogła.

Nie czekając wystąpienia Europy, Rosya ogłosiła amnestyę dn. 12 kwietnia r. 1863 dla wszystkich powstańców, którzy dn. 13 maja wrócą do zwykłych zajęć. Na Litwie i Rusi od amnestyi wyłączono jednak tych wszystkich, „którzy przystąpili do band zbuntowanych i którzy byli więźni przez nasze wojska, lub tych, których udział w powstaniu został stwierdzony wszelkim

wojna f. Uhm

innym sposobem". W ten sposób uprzedzając, zwichnięto wartość żądań państw europejskich, choć nic Polakom nie dawano, i przygotowano grunt do kampanii dyplomatycznej. Pierwsza odpowiedź wicekanclerza Rosyi, Gorczakowa, była uprzejma, zwał on, mimo to, odpowiedzialność za wszystko, co się stało w Polsce, na cichy współdziałł Londynu i Paryża.

Pierwsze (zbiorowe) wystąpienie dało nieoczekiwane rezultaty. Prusy na swoją rzecz zapisały zasługę ogłoszenia amnestyi i domagały się tem ściślejszego zespolenia z Rosyą. W Królestwie amnestyę odrzucono: do powstania przystępowały żywioły umiarkowane, a zachęca ich do tego Władysław Czartoryski, syn Adama, który w Paryżu pozostaje w stosunkach z półurzędowemi sferami francuskimi. W kraju umacnia się przekonanie o konieczności przetrwania. Ustała się przekonanie, że według zapewnień Napoleona granice Polski będą tam, gdzie w walkach lać się będzie krew ofiarna. Ruch ogarnia Litwę, zjawia się i na Rusi. Trzy mocarstwa zachodnie, które zyskały w pierwszym wystąpieniu poparcie Hiszpanii, Szwecyi, gotowej do wystawienia przeciwko Rosyi stutysięcznej armii, młodych Włoch, Holandyi, Danii, Portugalii, Turcyi, musiały myśleć teraz o dalszych, bardziej stanowczych krokach. Rządowi rosyjskiemu zostały przez nie nadłane noty z dnia 17-go czerwca 1863 roku, zawierające jednakowe żądania: 1) amnestyi; 2) przedstawicielstwa narodowego; 3) wyłącznego nominowania Polaków na urzędy; 4) wolności sumienia i zniesienia ograniczeń dla obrządku katolickiego; 5) wyłącznego używania języka polskiego, jako języka urzędowego; 6) urządzenia regularnego i legalnego systemu poboru wojskowego. Złożenie jednakowych i konkretnych żądań w momencie, kiedy władze wojskowe nie mogły się uporać z powstaniem polskiem, byłoby poważną groźbą dla Rosyi, gdyby jedność działania państw europejskich była istotną. Tej jedności nie było. W samych notach znajdowały się różnice formalne tak istotne, że ks. Gorczakow mógł nie uwzględnić naczelnego żądania, które domagało się dla uregulowania tej kwestyi *zwołania konferencyi państw, uczestniczących w Kongresie Wiedeńskim*. Wicekanclerz odrzucił projekt konferencyi, odmówił Europie prawa wtrą-

cania się do wewnętrznych spraw rosyjskich, dowodził, że konstytucja Królestwa była rezultatem li tylko wspaniałomyślności Aleksandra I, i zapewniał, że cesarz Aleksander II jest najprzychylniej dla Polaków usposobiony, że pragnie on wprowadzać i nadal rozpoczęte reformy, lecz do wszystkich wysuniętych żądań przychylić się nie może (14 lipca). Równocześnie odwoływał się wicekanclerz do opinii publicznej rosyjskiej, która jednomyślnie stanęła po jego stronie wołając o represyje przeciwko Polakom. W Warszawie Wielopolski podał się do dymisyi. Władzę faktycznie, choć nieoficyalnie jeszcze, obejmował Berg. Na Litwie rozpoczynał się okres panowania Murawiewa.

Spodziewano się odmowy, choć może nie w takiej formie, i przygotowywano do dalszych zbiorowych wystąpień. Minister francuski, Drouyn de Lhuys, proponował rządowi angielskiemu i austriackiemu porozumienie się co do wspólnego działania w sprawie polskiej i umówienia względem „środków przekonywania”, dla przynaglenia Rosyi do przyjęcia postawionych żądań. Sytuacya stawała się groźna, wojna wisiała w powietrzu. Ale Anglia po doświadczeniu kampanii Krymskiej — wojny nie chciała, w stosunku do Francyi osiągnęła cel upragniony (w Londynie mówiono do Francuzów: „nous voulons vous amener à ce que vous ne vous entendiez pas si bien avec la Russie”), i propozycyę francuską odrzuciła, nie zgadzając się nawet na przedstawienie Rosyi noty jednobrzmiącej z notami innych gabinetów. W połowie sierpnia trzy dwory przesłały akty odrębne, rozpoczynając raczej polemikę ze stanowiskiem rosyjskiem. Wśród nich najmocniejszą była nota francuska.

W pierwszej chwili cesarz Aleksander myślał o wypowiedzeniu wojny Francyi, nie był jednak pewien stanowiska Austrii i dla jej unieruchomienia musiał sobie zapewnić poparcie Prus. Jednak Wilhelm I i Bismarcki w owej chwili unikali walki. Wojna mogła ich odciągnąć od najbliższego celu własnego, od zagarnięcia księstw Duńskich, do czego zbliżali się powoli a stale, wyzyskując sprawę Polską na rzecz osłabienia Danii. Wobec odmowy Prus, trzeba było wyrzec się myśli o wojnie. Górczakow odpowiedział krótko i sucho, od-

mówił państwom europejskim prawa wtrącania się do spraw rosyjskich.

Teraz inicjatywa dalszego ostrego wystąpienia powinna być należeć do Francji, gdyby Napoleon istotnie przygotował się do wypadków i przewidział konsekwencje swej akcji. Po nowych wahaniach wysuwa on plan pozostający w sferze jego planów ulubionych, nie wymieniając Polski, dla uregulowania wszystkich spraw europejskich proponuje zwołać kongres międzynarodowy (4 listopada). Myśl ta, na którą Rosja zgodziła się w zasadzie pod warunkami, spotkała się z najostrożniejszym oporem Anglii. Już we wrześniu Anglia zmieniła swoje postępowanie. W Foreign Office szykowano się wtedy do akcji stanowczej. Wygotowano notę, która miała ogłosić Rosję za pozbawioną praw do Polski, wskutek złamania przez nią zobowiązań kongresowych; porozumiano się z Francją w sprawie łącznego wystąpienia u rządu rosyjskiego; poinformowano o wszystkim rezydującego przy nim ambasadora Napiera. Nagle w Foreign Office zjawił się hr. Bernstorff i w imieniu Prus zakomunikował, że, o ile cesarz będzie pozbawiony praw swoich do Królestwa, równocześnie i rządy niemieckie mogłyby podobny środek zastosować przeciwko królowi duńskiemu (względem Szlezewiku i Holsztynu). W ten sposób Bismarck, odżegnywujący się dotąd od myśli solidarnej akcji anti-duńskiej, nagle odsłonił prawdziwe swoje zamiary. Wystąpienie Prus poskutkowało. Ministryum londyńskie telegraficznie wstrzymało wysłane już depesze i zawiadomiło lorda Napiera, że nie nastąpi żadna ważna komunikacja. Anglia wycofała się z akcji. Kiedy zaś Francja wysunęła projekt kongresu, Anglia rozpoczęła gwałtowną przeciwko tej myśli kampanię, choć pomysł kongresu byłby i bez tego zniknął na skutek realnych trudności.

Początkowa rozbieżność Austrii, Francji i Anglii ustąpiła miejsca zupełnemu rozdwojeniu. W ogniu sprawy polskiej roztopiła się jedność Europy, a umocnił aljans prusko-rosyjski. Możliwość łącznego działania europejskiego ze sfery czynów przeszła do dziedziny fantazyi. Z tego odrazu Bismarck wyciągnął odpowiednie konsekwencje. W r. 1864 rozpoczął za zgodą Rosji, a przy pomocy Austrii egzekucję wojskową przeciw-

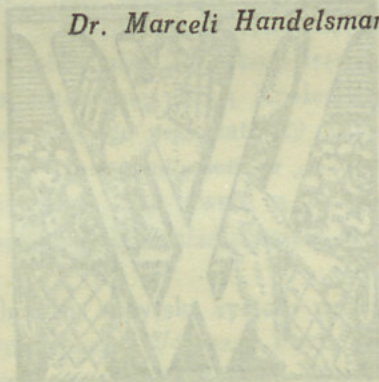
ko Danii, którą uprzednio za poręką Anglii sparaliżował i rozbroił własnymi jej rękoma. A następnie, oparty o tę samą podstawę działania, po wypróbowaniu skuteczności nowego narzędzia, ostrze jego obrócił przeciwko Austrii i Francji. Na terenie zaś polskim, rząd rosyjski wolny od wszelkiej ingerencji europejskiej, mógł teraz poprowadzić samodzielną akcję. Zaczynał się okres najstraszniejszych represyi, tępienia i duszenia wszystkich żywiołów gorętszych i żywszych, po którym przyjdą długie lata niszczenia polskości, i „jednoczenia kresów” z Rosją w duchu absolutyzmu, rusyfikacyi i prawosławia.

Sprawa polska na pozór zesła ostatecznie z widowni międzynarodowej. Rozpoczynał się okres wchłaniania poszczególnych części narodu polskiego i dzielnic dawnej Rzplitej przez trzy odmienne organizmy państwowe. Proces ten, przybierający w każdym z państw jemu właściwą postać, odbywał się w promieniu stałej solidarności prusko-rosyjskiej i na pozór zmieniał zupełnie istotę kwestyi polskiej.

Ale tylko na pozór. Faktycznie było zgoła inaczej. W dobie równowagi o niezmienności sprawy polskiej świadczyło nie słabnące poczucie łączności poszczególnych dzielnic i stale rosnąca świadomość jedności narodu, który mimo przeszkód zewnętrznych rósł w liczbę, w siłę społeczno-ekonomiczną i własną kulturę. W chwili zaś najmniejszego zachwiania równowagi europejskiej, nawet w razie zatargu lokalnego, w którym zawadzono o interesy jednego choćby z wielkich mocarstw, sprawa Polska musiała wpływać na forum międzynarodowe, wśród innych zagadnień ogólnych (dyskusya w parlamencie angielskim w sprawie unitów w przeddzień wojny rosyjsko-tureckiej, myśl o stworzeniu ruchawki polskiej w r. 1878, popierana przez konserwatystów angielskich, memoriał polski na Kongresie Berlińskim, r. 1909, 1912 i w. in.). Tem większego nabiera ona znaczenia obecnie w momencie istotnego złamania pokoju europejskiego, w chwili zerwania solidar-

ności rosyjsko-niemieckiej. Jak w końcu w. XVIII, tak i obecnie sprawa polska wysuwa się na czoło zagadnień powszechnych *międzynarodowych*; nie przestała bowiem Polska być według obrazowego wyrażenia Napoleona „zwornikiem równowagi europejskiej“, którą zwichnął jej rozbiór, która przywróconą być może tylko równorzędnie z rozwiązaniem sprawy polskiej. Fakt ten proklamują pierwsze odezwy niemiecko - austriackie, fakt ten wbrew własnej intencji podkreśla wezwanie rosyjskiego wodza naczelnego; fakt ten zwłaszcza wystąpił w całej jasności, odkąd pod naciskiem zwycięstw państw centralnych Rosya ustąpiła z większości ziem polskich swego zaboru, *odkąd większość ziem Polskich znalazła się pod znakiem zapytania*. Przed Europą powstało znowu pytanie, które w interesie Europy musi być przez nią na rzecz narodu polskiego rozwiązane.

Dr. Marcei Handelsman.



STAN ROLNICTWA POLSKIEGO W DOBIE POWOJENNEJ, A PROGRAM EKONOMICZNY LUBECKIEGO.



rosyjskiej polityce handlowej widzimy w tym czasie gwałtowny przeskok od zasady wolnego handlu do wybitnie prohibicyjnej polityki handlowej i to w krótkim okresie. Pod presją mocarstw zagranicznych, a jednocześnie postępując w myśl doktryny wolnohandlowej, ukazem z d. 14 grudnia 1819 obwieszczona została „Ustawa celna dla handlu zagranicznego, prawie bezzwłocznie po jej wprowadzeniu dnia 1 stycznia 1820 roku, ujemnie wpłynęła na rozwijający się przemysł w Królestwie i Rosyi. Wartość przywiezionych towarów do Rosyi wzrosła ze 183.5 mil. rb. w roku 1819 do 254.4 mil. rb. w roku 1820¹⁾. Słusznie wyraził się o tej taryfie Kankrin, późniejszy minister skarbu²⁾, twierdząc, „iż zabiła ona przemysł krajowy“. Zgubny wpływ

¹⁾ J. Bloch. *Finanse Rosyi*. Tom I, str. 117.

²⁾ Dnia 23 kwietnia 1823 Kankrin został mianowany ministrem skarbu na miejsce Gurjewa.

nowej taryfy niebawem się uwidocznił i już w roku 1822 wprowadzono zmiany, utrudniające dowóz zagranicznych towarów. Polityka handlowa Lubeckiego względem Rosyi polegała na tem, aby uzyskać dla polskiego przemysłu wschodni rynek zbytu. Stosunki celne pomiędzy Rosją a Polską ulegały kilkakrotnym zmianom. (Nieograniczona wolność handlu pomiędzy wszystkimi dzielnicami Polski przyznana trakta-tem wiedeńskim z dnia 3 maja 1815 r. pozostała martwą literą). Ukaz z dnia 3/15 października 1819 roku zniósł graniczną linię cłową pomiędzy Cesarstwem a Królestwem i przesunął komory na zewnętrzną (zachodnią) granicę Królestwa. Dwa lata trwała ta unia cłowa; runęła z całym wolno-handlowym systemem Aleksandra. W roku 1822 rosyjskie komory cofnięto po dawne-
mu na wewnętrzną granicę, ustała wolność handlu między Kró-
lestwem a Cesarstwem. 12/24 marca 1822 ogłoszona została ro-
syjska prohibicyjna taryfa cłowa, a jednocześnie wskutek żądań
rosyjskich fabrykantów, którzy obawiali się konkurencji
przemysłu polskiego, przywrócono autonomię cłową Królestwa.
Dzięki zabiegom Lubeckiego i Grabowskiego pod datą 29 grud-
nia 1823 ogłoszono imienny ukaz do rządzącego senatu „o uła-
twieniu stosunków handlowych między Cesarstwem a Króle-
stwem”. Od końca roku 1823 przemysł polski miał otwartą gra-
nicę wschodnią.

Dla pruskiego przemysłu i handlu rosyjski system prohi-
bicyjny z roku 1822 był dotkliwym ciosem. Wówczas Fryderyk
Wilhelm chwycił się najostrzejszych represaliów. Drogą odwetu
została ogłoszona pruska taryfa z 10 kwietnia 1823 r., obciążając
wysokiem cłem polskie zboże, spławiane Wisłą do Gdańska
i Elbląga, jak również spław litewskich produktów rolniczych
do Królewca i Kłajpedy. Był to dotkliwy cios wymierzony w in-
teresy rolnictwa polskiego.

Negocjacje z Prusami w sprawie obniżenia cła na produk-
ty rolnicze trwały przez 2 lata. Myślą Lubeckiego było utoro-
wanie dróg handlowych do nadbałtyckich portów rosyjskich (Li-
bawa, Ryga) bez pośrednictwa pruskich domów handlowych,
w razie jeśliby układy handlowe z Prusami nie doprowadziły
do pomyślnego rezultatu.

Przerwanie stosunków handlowych z Polską wskutek taryfy pruskiej z dnia 10 kwietnia 1823 r. było również szkodliwe dla pruskich portów, gdzie obroty handlowe znacznie się obniżyły¹⁾. Równocześnie oba rządy, rosyjski i polski, zajęły się energicznie ułatwieniem komunikacji między Królestwem a Rygą i przystąpiono do budowy Kanału Augustowskiego, łącząc dopływy Wisły i Niemna z rosyjskimi wybrzeżami Bałtyku.

Projekt konwencji, podpisany w dniu 22 kwietnia 1824 roku w Berlinie przez sekretarza W. Ks. Konstantego Mohrenheima a posła niemieckiego Bernstorffa, przyznał znaczne obniżenie ceł przewozowych do portów pruskich. Kwietniowa taryfa pruska 1823 r. nakładała na łaszt polskiego zboża bez wszelkiej różnicy 10 talarów cła, na podstawie konwencji znizono cło na żyto do 4 talarów, na wszystkie inne gatunki zboża do 2 talarów.

Ratyfikacja traktatu handlowego z Prusami nastąpiła 11 marca 1825 roku; traktat został zawarty na 9 lat; dopiero w r. 1834 jednej i drugiej stronie służyło prawo półrocznego wypowiedzenia. Otwarcie rynku wschodniego dla przemysłu polskiego, przy jednoczesnej opiece celnej od zachodu, z drugiej strony ułatwiony dostęp do morza dla produktów rolniczych — były to ważne zdobycze dla ekonomicznego rozwoju kraju. Lubecki w tych układach odegrał nie małą rolę, wpływając przez sekretarza stanu Grabowskiego na politykę Aleksandra.

Ułatwienie zbytu ziemiopłodów, aczkolwiek ważne, nie było w stanie wyratować polskiego rolnictwa z upadku. Należało zająć się oddłużeniem majątków ziemskich, gdyż spleta procentów od kapitałów hipotecznych, zaciągniętych na niedogodnych warunkach jeszcze z czasów pruskich, pochłaniała olbrzymie sumy z dochodów.

W roku 1824 szacunek hipoteczny dóbr ziemskich w Królestwie Polskiem wynosił około 818 milionów złp., czyli 122.7 mil. rb., obciążenie zaś 504 mil. złp., czyli 75.6 mil. rb.¹⁾ Włas-

¹⁾ O wysokości taryfy. Ob. Smolka II, str. 388.

¹⁾ Por. Pamiętnik Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem, Warszawa, 1884 r. Str. 4.

ność ziemską była obciążona długami niemal do $\frac{2}{3}$ wartości (62%). W stosunku do ogólnego szacunku majątków 16% było obciążone długami, przewyższającymi wartość szacunkową. Przeciążenie długami ówczesnych majątków pochodziło z czasów rozbiorowych Polski, gdy przy ogólnym upadku moralności, życie nad stan szlachty popychało ją do zaciągania długów prywatnych na niedogodnych warunkach.

Największe długi pochodzą z czasów pruskich. Ogółem 42 instytucje kredytowe, w ich liczbie królewski bank w Berlinie, morska kompania handlowa (Seehandlungsocietaet), ulokowały przeszło 150 milionów złp. na hypotekach majątków polskich ¹⁾. Pruscy kapitaliści, korzystając z wysokiej konjunktury gospodarczej, wypożyczali chętnie znaczne sumy właścicielom rolnym; dążyli tą drogą w ostatniej linii do wywłaszczenia Polaków, gdy ich majątki poddane zostaną subhastacyi.

Skarbek podaje niezmiernie charakterystyczne sposoby, jakich się chwycił rząd pruski w celu wynarodowienia Polaków po upadku Rzeczypospolitej w r. 1795/6. Obrął do tego celu trzy drogi: kolonizację niemiecką, wychowanie publiczne, jako narzędzie polityczne i ułatwiony kredyt ziemski dla wyrzucia dawnych właścicieli Polaków z ich posiadłości. Pomyślny stan handlu zbożowego i produkcji rolniczej podwyższył wartość ziemi. Zachęcał rząd pruski do otwarcia kredytu pod zastaw ziemi. Pieniądze, na których zawsze zbywało panom polskim, były pożądaną, której nie potrafili się oprzeć. „Nieomylną była rachuba rządu pruskiego, pisze Skarbek ¹⁾, że skoro się tylko dziedzicom dóbr poda sposobność dostania pieniędzy na zastaw ich majątków, niebaczni, lekkomyślni i marnotrawni zaciągną wkrótce tak wielkie długi, iż wyzuwszy się z majątków, wierzycielom z siedzib będą musieli ustąpić”.

Słusznie całkiem twierdzi dalej Skarbek: „Jest to zawsze wysoki stopień niemoralności, gdy władza państwowa demoralizuje rządzonych lub z ich demoralizacji korzysta; a to nie zdoła

¹⁾ Por. Jasiukowicz. Der Landschaftliche Kreditverein im Kgr. Polen. Str. 7.

¹⁾ Skarbek. Op. cit., tom I, str. 42.

usprawiedliwić takich zamiarów, że je zręcznie jakim bądź pozorem dobra publicznego pokrywają. Wszystkie zaś postępowania rządu pruskiego zawsze taki pozór miały".

Już za czasów Księstwa Warszawskiego poczęto myśleć o utworzeniu instytucji kredytu długoterminowego dla rolnictwa; powstały różne projekty, które nie doczekały się urzeczywistnienia (posła Bielskiego z Kalisza, Knoblocha, Wyczechowskiego i t. d.). Dopiero Lubecki, dzięki swej niezwyklej energii i zrozumieniu ważności sprawy, zajął się gorliwie sprawą oddłużenia większej własności rolnej, którą doprowadził do pomyślnego rezultatu, powoławszy do życia Towarzystwo Kredytowe Ziemskie.

„W tej instytucji, pisał Lubecki do Grabowskiego, widzę jedyną podwalinę całej budowy finansowej Królestwa; przyjęcie tego systemu może dopiero dostarczyć środków, od których zależy ustanowienie innych niezbędnych instytucji... Jest to jedyny środek uzdrowienia kredytu, przywrócenia rzec można dobrej wiary we wszelkich interesach; jedyna droga, by u nas można wypełniać przyjęte zobowiązania, a nie narażać się na osobistą ruinę; by wybrnąć z położenia bez wyjścia, w którym ludzie nie mogą obchodzić się bez wykrętów, bez rozmaitych kruczków, uchylających wymaganiom prawości".¹⁾

Towarzystwo Kredytowe miało uwolnić dłużników od gniojących długów, wierzycielom miało zapewnić regularną spłatę procentów, uruchomić znaczną ilość kapitałów bezczynnych, rozbudzić zaufanie do operacji kredytowych, powołać do życia nowe instytucje. Książę minister, oceniając całą doniosłość instytucji, którą miał stworzyć, zwlekał z wniesieniem projektu pod obrady sejmu. Zdawał sobie sprawę, że nowa instytucja musi się oprzeć odrazu na mocnych podstawach, by wzbudzić zaufanie w społeczeństwie. W roku 1823 i 1824 rolnicze społeczeństwo znajdując się „pod pruskim haraczem”, było bankrutem w całym tego słowa znaczeniu. Towarzystwo założone przed rokiem 1825, t. zn. przed utrwaleniem stosunków handlowych z Prusami, musiałyby upaść, a z tem znikłaby ostatnia nadzieja ratun-

¹⁾ Ob. Smolka. Op. cit. I, str. 374.

ku. Lubecki użył nawet swych wpływów, aby odroczyć sejm, mający się odbyć w roku 1823, na którym miał być rozpoznawany projekt Towarzystwa Kredytowego.

Projekt został wniesiony pod obrady sejmu w roku 1825 i przyjęty przez izbę poselską w dniu 21 maja przez senat w dniu 3 czerwca; sankcyę monarszą otrzymał w dniu 13 czerwca.

Lubecki, poddając projekt pod obrady izby poselskiej, przedstawił opłakany stan rolnictwa wskutek niskiej ceny ziemi, „zrządzonej brakiem handlu i bezczennością produktów; ziemia nawet za połowę wartości nie może znaleźć nabywcy, a dojdzie daleko gorszej kolei za wystawieniem na sprzedaż publiczną ogromnej dóbr liczby“. Dochodzi do wniosku, „że nieprzerwane pasmo wywłaszczeń domierzy zguby rolnictwa i bez zaspokojenia wierzycieli wzruszy pierwsze podstawy pomyślności krajowej“. ¹⁾ Lubecki tak motywuje niezbedność założenia Towarzystwa Kredytowego na posiedzeniu Senatu Sejmu w dniu 3 czerwca 1825 r. Przedmiotem Towarzystwa „jest ugruntowanie praw wierzycieli, kiedy niezawodnym jego skutkiem będzie dźwiganie własności, zachowanie właścicieli, zaspokojenie długu i odrodzenie obumarłego kredytu... Rząd przystępuje do Towarzystwa z częścią dóbr narodowych, a listy zastawne przeznaczają już na spłacenie części długu publicznego, już na wsparcie właścicieli dostateczną pewnością stanowiących“. ²⁾

W celu zrozumienia znaczenia Towarzystwa Kredytowego dla ówczesnego rolnictwa, należy zastanowić się nad istotą kredytu ziemskiego.

Korzyści płynące z kredytu wytwórczego, o nim jest mowa, są oczywiste, zwłaszcza w obecnym ustroju gospodarczym, opartym na wymianie: umożliwia jak najlepsze zużytkowanie kapitału, przenosi go z rąk bezczynnych do rąk producentów, którzy wytwarzają przy jego pomocy nowe wartości.

¹⁾ Ob. Pamiętnik i t. d. Str. 5.

²⁾ Dyaryusz Senatu Sejmu Królestwa Polskiego 1825. Warszawa, 1828. Tom III, str. 17.

Zasadnicza doniosłość kredytu rolniczego jest natury społecznej i ekonomicznej. Korzyść społeczna polega na tem, że rozszerza koło ludzi, mogących nabyć na własność posiadłość rolniczą; gdyby kredytu wcale nie było, nabywcami ziemi mogliby się stać tylko ci, którzy byliby zdolni całą cenę uiścić odrazu; przez to zaostrzałby się monopoliczny charakter własności ziemskiej; z drugiej strony działy spadkowe odbywałyby się za pomocą realnego podziału spadkowego gospodarstwa, w ten sposób nastąpiłoby silne rozdrobnienie warsztatu rolniczego.

Ekonomiczne znaczenie kredytu rolniczego polega na tem, że umożliwia ulepszanie produkcji, intensywną uprawę; bez kredytu postęp rolniczy byłby powolniejszy, odbywałby się w szczyplejszym zakresie, wiele pól pozostawałoby odłogiem.

Kredyt dla kupna ziemi i wprowadzenia melioracji przy intensywnem gospodarstwie musi być z samej natury produkcji rolniczej długoterminowym; oprócz tego rolnik potrzebuje kredytu krótkoterminowego dla pokrycia bieżących potrzeb produkcji, kapitału obrotowego. Produkcya rolnicza daje dochód w końcu roku; rolnik potrzebuje nieraz zaliczek podczas trwania produkcji.

Kapitał zakładowy jest unieruchomiony w ziemi. Spłata jego wraz z procentami może nastąpić tylko po dłuższym okresie; kredyt ziemski albo rolniczy musi być długoterminowym. Najprostszą formą tego kredytu jest pożyczka na hypotekę; przedmiot zastawu — ziemia (pozostająca w rozporządzeniu dłużnika) przedstawia dostateczne zabezpieczenie dla lokowanego kapitału; ziemia zachowuje swą wartość trwale, wartość nawet wzrasta, chyba że nastąpi przesilenie gospodarcze, które ją czasowo obniży, poczem cena wraca do pierwotnej wysokości, gdyż ziemia zupełnie zniszczyć nie może. Udzielenie pożyczki do wysokości $\frac{2}{3}$ wartości ziemi przedstawia zupełne zabezpieczenie lokaty.

Obok stron dodatnich posiada kredyt i strony ujemne — jest mieczem obosiecznym; nosi w sobie niebezpieczeństwo nadmiernego zadłużenia, nakłada obowiązek na dłużnika opłacania procentu, rzadko kiedy niższego od 5%, podczas gdy poczynione wkłady w rolnictwie dają niekiedy niższy dochód. W razie nad-

miernego zadłużenia majątku, spłata procentów staje się dla dłużnika uciążliwą. Dla wierzyciela ulokowanie kapitału na hipotece przedstawia niedogodność, że kapitał nie prędko może być odzyskany.

Licząc się z właściwościami kredytu rolnego tak dla dłużnika jak i wierzyciela, powstały różne typy instytucji kredytowych rolnych.

1. Banki hipoteczne lub ziemskie; są one pośrednikami pomiędzy kapitalistami a właścicielami ziemi, pożyczając pieniądze od pierwszych, udzielając pożyczek drugim, t. j. rolnikom. Typowym bankiem tego rodzaju jest we Francji „Crédit Foncier de France“, używający monopolu od roku 1858. Towarzystwo to udziela pożyczek na 75 lat. Procent wynosi 5⁰/₀, lecz odsetki obejmują już w sobie i roczne spłaty, obrachowane na umorzenie kapitału w ciągu 75 lat. Do tego samego typu odnosi się Allgemeine Bodenkreditanstalt w Austrii, ziemskie banki w Rosyi.

2. Rolę pośrednika pomiędzy wierzycielem a dłużnikiem, zamiast towarzystwa akcyjnego, przejmuje państwo; mamy wówczas do czynienia z rządowymi bankami ziemskimi, jak np. rosyjski bank włościański i szlachecki.

3. Stowarzyszenia dłużników, do składu których wchodzi właściciele ziemscy, poszukujący kredytu. W tych instytucjach niema pośrednika pomiędzy kapitalistami a dłużnikami-rolnikami. Stowarzyszenie dłużników samo zaspokaja swe potrzeby kredytowe, wypuszczając listy zastawne zabezpieczone na majątku stowarzyszonych, i odpowiadając solidarnie za dług każdego członka do wysokości zaciągniętej pożyczki. W ten sposób dowody dłużne w formie listów zastawnych są zabezpieczone na majątku stowarzyszonych i chętnie nabywane przez kapitalistów, gdyż przynoszą stały procent aż do czasu ich wylosowania. Wymienione stowarzyszenia oparte są na zasadach współdzielczych, gdyż usuwają pośrednika i łączą w jednej osobie (stowarzyszonych dłużników) funkcje spełniane w bankach hipotecznych przez dwie osoby. Pierwsze stowarzyszenia tego typu powstały za panowania Fryderyka Wielkiego w Prusach pod nazwą Landschaft'ów. Na wzorze pruskich Landschaft'ów

oparta jest organizacja Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem, które było najpierwszą formą samopomocy w rolnictwie, zorganizowaną na zasadach współdzielczych.

Nie jest moim zamiarem szczegółowe rozpatrzenie zasad organizacyi Towarzystwa. Wskażemy tylko na jego istotne znamiona w rozwoju historycznym, na korzyści i znaczenie dla polskiego rolnictwa.

Istotę Towarzystwa w tej formie, w jakiej powołał je do życia Lubecki, określa art. 1 ustawy z roku 1825¹⁾. „Połączenie się właściciele ziemskich w formie poniżej przepisanej, przy poddaniu dóbr swoich urządzeniom prawa niniejszego, dla zaciągnięcia pożyczki listami zastawnymi i używania dobrodziejstw temże prawem zapewnionych, stanowi Towarzystwo Kredytowe Ziemskie“. Prawo przystąpienia do Towarzystwa zostało ograniczone tylko do większej własności ziemskiej; właściciel musiał opłacać najmniej 100 złp. podatku ofiary (art. 2). Pożyczka może być zaciągnięta w Towarzystwie na pierwszą hypotekę do wysokości $\frac{3}{5}$ szacunku (art. 4). Wartość szacunkowa ustala się w następujący sposób: Przedewszystkiem określa się czysty dochód, mnożąc podatek ofiary przez pięć. Czysty dochód pomnożony przez 20 daje wartość szacunkową majątku (art. 7).

Towarzystwo udziela pożyczek, emitując listy zastawne. Każdy członek obowiązany jest od całkowitej pożyczki zaciągniętej listami zastawnymi, płacić cztery od sta prowizyi, a po dwa od sta na umorzenie kapitału (art. 7), wnoszone w dwóch ratach półrocznych (art. 8). W przeciągu 28 lat następuje ostateczne umorzenie długu. Listy zastawne służyć mają do spłacenia długów hypotecznych, a wierzyciel obowiązany jest przyjąć listy zastawne dla pokrycia swych wierzytelności (art. 14).

Zarząd Towarzystwa spoczywa w rękach stowarzyszonych. W tym celu wybiera się następujące władze: Komitet Towarzystwa w Warszawie — władza nadzorcza, kontrolująca, Dykrecyę Główną z siedzibą również w Warszawie — główna władza za-

1) Zbiór praw i przepisów Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Warszawa, 1880. Tom I.

rzządzająca, tudzież Dyrekcyje Szczegółowe — w miastach wojewódzkich, podległe dwóm pierwszym (art. 26).

O użyteczności Towarzystwa świadczy ilość właścicieli ziemskich, którzy zaraz w pierwszym roku przystąpili do tej instytucji. Od 23 lipca 1825 roku, gdy otwarto biura, do 1 czerwca 1826 roku, przystąpiło do Towarzystwa 1.071 osób, zaciągawszy pożyczkę na 9.3 mil. rb. Oprócz tego rząd zaciągnął pożyczkę na dobra narodowe w wysokości 6 milionów rubli. W ten sposób pragnął Lubecki uruchomić dotąd bezczynny majątek narodowy, a otrzymane drogą pożyczki kapitały użyć do dalszych celów, zwłaszcza na założenie Banku Polskiego. O wzrastającym zaufaniu kapitalistów do nowo powołanej instytucji świadczy kurs listów zastawnych: w roku 1827 najwyższy kurs wynosił $85\frac{1}{2}\%$, w r. 1829 przewyższył 90% , a w roku 1830 osiągnął wartości nominalnej listów zastawnych. Listy Towarzystwa znajdowały chętnych nabywców nawet na giełdach zagranicznych i uważane były za pewne papiery.

Ilość dóbr obciążonych pożyczkami Towarzystwa, jak również nominalna suma pożyczek zahypotekowanych na dobrach w okresie istnienia tej instytucji stale wzrasta ¹⁾.

Rok	Ilość dóbr obciążonych		Nominalna suma pożyczek zahypotek. w rb.	
1836	4143	3875 prywat. 268 narodow.	38.514.870	28.572.795 prywat. 9.942.075 narodow.
1844	5746	5487 prywat. 259 rządow.	50.962.800	41.190.615 prywat. 9.772.185 narodow.
1860	6434	6064 prywat. 370 rządow.	55.104.300	44.862.390 prywat. 10.241.910 rządow.
1883	7221	(prywatnych)	88.351.015	
1893	9224	„	129.412.065	
1914 ²⁾	9916	„	201.468.450	

¹⁾ Cyfry wzięte z Pamiętnika T. K. Z. Str. 11 i nast.

²⁾ Sprawozdanie Dyrekcyi Głównej T. K. Z. Półrocze 1 — 1914.

Stwarzając Towarzystwo, Lubecki miał na myśli od-
dłużenie własności rolnej; ten cel osiągniętym nie został,
przeciwnie, w okresie 90-letniego istnienia Towarzystwa
suma pożyczek zahypotekowanych, jak i ilość dóbr, które przy-
stąpiły do Towarzystwa, silnie wzrosły. Dziś można twierdzić
o nadmiernem zadłużeniu majątków, gdyż przeszło $\frac{3}{4}$ ogółu
dóbr prywatnych korzysta z pożyczek Towarzystwa.

W historycznym rozwoju instytucji daje się zauważyć ten-
dencya do dopuszczania mniejszych majątków. Początkowo To-
warzystwo założone było tylko dla większej własności, opłaca-
jącej 100 złp. podatku ofiary.

Z mocy prawa z roku 1838¹⁾ dozwolonem zostało Towa-
rzystwu wydawać nowe pożyczki, z rozszerzeniem dobrodziej-
stwa pożyczek do dóbr, opłacających co najmniej 50 złp. podat-
ku ofiary. Rozpoczęto tedy powtórnie w 2-gim półroczu 1838
roku udzielanie pożyczek Towarzystwa, mianowicie w listach
zastawnych II okresu.

Z mocy prawa z roku 1853 rozpoczęto wydawanie poży-
czek w listach zastawnych okresu III. Rozpoczęto po raz czwar-
ty udzielanie pożyczek, mianowicie w listach zastawnych okresu
III seryi drugiej. Do roku 1869 Tow. Kr. Z. było instytucją cza-
sową; przez wydawane prawa powyższe przedłużano istnienie in-
stytucji, pozwalając na emisję nowych listów zastawnych na
czas ograniczony.

W roku 1864, wskutek uwłaszczenia włościan zmieniły się
zasadniczo stosunki rolne w Królestwie; większa własność wsku-
tek zniesienia pańszczyzny znalazła się w odmiennych warun-
kach, wreszcie listy zastawne Towarzystwa wskutek zmniejsze-
nia obszaru niemal o połowę, dzięki uwłaszczeniu włościan utra-
ciły o tyleż swe zabezpieczenie. Z ogólnej przestrzeni 13.4 milio-
nów morgów dóbr stowarzyszonych odpadło około 6.6 milionów
wskutek uwłaszczenia, a zatem prawie połowa przestrzeni usu-
nięta została z pod zabezpieczenia pożyczek²⁾.

Wskutek tych zasadniczych zmian w ustroju rolniczym

¹⁾ Ob. Zbiór praw i przepisów T. K. Z. Tom II z r. 1881.

²⁾ Ob. Pamiętnik str. 10.

w Królestwie, wydanem zostało w r. 1869 prawo, które uznało Towarzystwo, jako instytucję stałą. Tow. może udzielać pożyczki tylko do połowy wartości szacunkowej majątku. W roku 1888 wydano nową ustawę dla Towarzystwa, przystosowaną do zmienionych warunków rolnictwa, która obowiązuje do chwili obecnej.

W ewolucyi Tow. Kr. Z. widoczne jest dążenie do dopuszczenia do Towarzystwa także i mniejszej własności rolnej. Według ustawy z roku 1888 jedynymi warunkami korzystania z dobrodziejstwa Towarzystwa są: warunek prawny—urządzenie hipoteki przy sądach okręgowych; warunek gospodarczy dla osad włościańskich—90 morgów przestrzeni i gospodarza całość nie przedzielona obcemi własnościami; minimalna granica pożyczki, która nie powinna przenosić połowy szacunku dóbr, określona jest sumą 500 rubli (art. 91, 94 i 98).

Korzyść i znaczenie Towarzystwa Kredytowego dla rolników polegało w ogólnych słowach na tem, że obywatelstwo mogło wreszcie oczyścić swe majątki z prywatnych długów, zaciągnąwszy pożyczkę w Towarzystwie spłacaną w 28 latach.

Powołując T. K. Z., Lubecki miał oprócz ulżenia prywatnej własności, cel szerszy — uruchomienie kapitałów publicznych, które mogły następnie służyć do jego dalszych planów, przez zaciągnięcie pożyczki na dobra narodowe. „Przyjęcie tego systemu (Towarzystwa Kredytowego), pisał do Grabowskiego, może dopiero dostarczyć środków, od których zależy ustanowienie innych niezbędnych instytucji, Bank, Główna księga (majątku publicznego) i t. p.”

Z listów Lubeckiego pisanych do Grabowskiego ¹⁾ już w roku 1826 (27/I) i 1827 (27/IV) wynika potrzeba założenia wielkiej i poważnej instytucji bankowej; groziło niebezpieczeństwo, aby tego zadania nie dokonał kapitał pruski wbrew interesom kraju i zamiarom Lubeckiego. Zabiegliwy minister w ciągu paru lat swego urzędowania potrafił podnieść ekonomiczny stan kraju, uporządkować finanse państwowe, zmniejszyć gniotący ciężar

¹⁾ Ob. Smolka. Korespondencya Lubeckiego. Tom II, str. 267. Tom III, str. 67.

długów w rolnictwie. Pozostawało jeszcze wydobyć z ukrycia miliony, które odżywczeni sokami miały zasilać gospodarstwo społeczne. „Ożywienie cyrkulacyi” było marzeniem księcia ministra. Do tego celu miał służyć Bank Polski. „Potrzeba bodźca, pisał do Grabowskiego, coby wychodził z samego centrum i dał się uczuć na wszystkich polach działania; powinno się pchnąć wreszcie geniusz narodu w kierunku niestety tak zaniedbanym i wszelkie operacye finansowe ożywić”.¹⁾

Ustawa Banku²⁾ została zatwierdzona w dniu 29 stycznia 1828 roku. Zostaje otwarty w Warszawie Bank Polski, „którego celem być ma: Zaspokojenie długu publicznego, tudzież rozszerzenie handlu, kredytu i przemysłu narodowego” (art. 1).

Fundusze na uposażenie banku stanowiły 10 mil. złp. z zapasu skarbowego, 10 mil. złp. w listach zastawnych Tow. Kred. Ziems., zaciągnionych na dobra narodowe (art. 3).

Bankowi została nadto przekazaną pożyczka, którą rząd udzielił Towarzystwu Kred. Ziems. (na mocy art. 209 ustawy z roku 1825). W ten sposób kapitał zakładowy Banku miał wzrosnąć do sumy 30 mil. złp. Czynności banku miały obejmować umarżanie długu publicznego, bądź z funduszów skarbowych, bądź drogą skupu obligacyi; przyjmowanie depozytów i sum przekazowych od rządu, instytucyj i osób prywatnych, wreszcie obroty funduszów bankowych na wzrost handlu, ustalenie kredytu i ożywienie przemysłu narodowego.

O żywotności dzieła Lubeckiego świadczy wzrost sum depozytowych i obrotów w pierwszych latach istnienia Banku Polskiego:

Rok	Sumy depozytowe	Obroty	Czysty zysk
		w złotych polskich.	
1828 (2-gie półroczce)	473.160	185.000.000	1.279.433
1829	2.222.471	634.868.529	3.392.977
1830	13.906.480	681.608.095	2.594.087

¹⁾ Smolka. Op. cit. Tom I, str. 202.

²⁾ Opisując działalność Banku na polu rolnictwa, opieram się przede wszystkim na wyczerpującej pracy H. Radziszewskiego „Bank Polski”. Warszawa, 1910 r.

W pierwszych trzech latach widzimy odrazu znaczne ożywienie w operacjach finansowych Banku. Bank przyjmował oprócz tego depozyta opieczętowne od różnych osób i instytucji na przechowanie; te sumy, które nie wchodziły w obieg pieniężny, służyły właścicielom jako zabezpieczenie kredytu.

W pierwszym roku według cyfr przytoczonych przez Smolkę, napłynęło do Banku około 2 milionów złp. tych depozytów, w drugim roku podskoczyła ta suma do 21 mil. złp., w trzecim—do 28 milionów złp.

Bezpośrednia pomoc okazywana rolnictwu w samych początkach istnienia Banku polega na udzielaniu rolnikom zaliczek na ich produkty, przedewszystkiem zboże i drzewo, spławiane do Gdańska. Zgodnie z ogłoszeniem z dnia 23 czerwca 1828 r. zaliczki miały charakter pożyczek krótkoterminowych (od 1 do 3 miesięcy) i w wysokości do połowy szacunku zboża i $\frac{1}{3}$ szacunku drzewa. Dzięki temu gospodarz rolny nie potrzebował sprzedawać swych produktów za bezcen handlarzowi z sąsiedniego miasteczka.

Wkrótce Bank otworzył sprzedaż komisową zboża za granicę, pobierając za komis $\frac{1}{2}\%$. Zboże to sprzedawał Bank Polski nie tylko w Gdańsku, lecz i w portach niderlandzkich, francuskich i angielskich. Jął się wreszcie budowy magazynów zbożowych. Brak magazynów sprzyjał ogromnej fluktuacji cen, wskutek braku uregulowanej podaży zboża. Za miejsce najbardziej wskazane do budowy magazynów zbożowych uznano Warszawę. Wypadki rewolucyjne przerwały tę pracę ze wszechmiar pożyteczną, jak również projekt budowy przystani w Warszawie nad Wisłą.

(D. N.)

Dr. Edward Strasburger.

RABINDRANATH TAGORE.

OGRODNIK (wybór).

„Poeto, wieczór się zbliża; siwieje twój włos.

„Czyli głos wieczności słyszysz pośród samotnych dumań?”

„Wieczór zapadł“, rzekł poeta, „i wytężam słuch, albowiem ze wsi zawołać mnie ktoś może i o najpóźniejszej godzinie.

„Śledzę, czyli nie spotkały się dwa młode, zbłąkane serca i dwie pary oczu spragnionych nie błagają o muzykę, aby ciszę przerwała i przemówiła za nie.

„Któż będzie snuł ich pieśni gorące, jeśli ja siądę na kraju życia, zapatrzony w śmierć i to, co za nią się kryje?

„Zachodzi wczesna gwiazda wieczorna.

„Łuna pogrzebowego stosu zamiera powoli nad cichą rzeką.

„W świetle znużonego księżycyca wznosi się chór szakali z podwórca opustoszałego domu.

„Jeśli, opuściwszy domowe ognisko, nadejdzie tutaj wędrowiec, by czuwać wśród nocy i z pochyloną głową wsłuchiwać się w szmery ciemności, któż będzie mu szeptał do ucha tajemnice bytu, jeśli ja, zawarłszy wrota, starać się będę o wyzwolenie z więzów doczesności?

„Cóż z tego, że włos mój siwieje!

„Jestem zawsze równie młody i równie stary, jak najmłodszy i najstarszy w tej wiosce.

„Jedni mają uśmiechy, pełne słodyczy i prostoty, inni — podstępne błyski w oczach.

„Jedni mają łzy, lśniące w świetle dnia, inni — łzy, ukryte w mroku.

„Wszystkim jestem potrzebny i nie mam czasu frasować się o życie przyszłe.

„Jestem jednego wieku z każdym z nich, cóż z tego, że włos mój siwieje!“

Gdy nadszedł ranek, pogrążyłem sieci w morze.

Z ciemnej otchłani wyłowilem rzeczy dziwnego kształtu i dziwnej piękności — — jedne błyszcząły, niby uśmiech, inne lśniły, naksztalt łez, a inne jeszcze rumieniły się, jak oblubienica.

Gdy powróciłem do domu z brzemieniem dnia całego, ukochana moja siedziała w ogrodzie, obrywając niedbale płatki kwiatu.

Zawahałem się chwilę, potem, złożywszy u jej stóp wszystkie połów, stanąłem w milczeniu.

Ona spojrzała i rzekła: „Cóż to za dziwne rzeczy? Nie wiem, ku czemu służyćby mogły!“

A ja pomyślałem, skłoniwszy głowę ze wstydem: „Nie walczyłem o nie, nie kupiłem ich na targu; nie są stosowne dla niej dary“.

Potem przez noc całą rzucałem je w pył ulicy, jeden po drugim.

Rano nadeszli podróżni, pozbierali je i wywieźli w kraje dalekie.

Ach — czemuż zbudowali dom mój przy drodze, która wiedzie na targ do miasta?

Przywiązują koło mych drzew ładowne swoje łodzie.
Przychodzą, idą, krążą wedle woli.
Siedzę i patrzę na nich; czas mój uchodzi.
Oddalić ich nie mogę. I tak mijają moje dni.

Dniem i nocą kroki ich rozlegają się u moich wrótni.
Napróżno wołam: „Nie znam was!”
Jednych palce moje znają, innych nędrza, krew moich
żył zdaje się ich witać, a niektórzy znani są moim snom.
Oddalić ich nie mogę. Przywołuję ich i mówię: „Przyjdźcie
do mnie wszyscy, którzy tego pragniecie. Tak, przyjdźcie”.

Rankiem rozlega się dzwon świątyni.
Nadchodzą z koszykami w ręku.
Zaróżowiły się ich stopy i wczesny poblask świtu jest na
ich twarzach.
Oddalić ich nie mogę. Przywołuję ich i mówię: „Wejdźcie
do mego ogrodu zrywać kwiaty. Wejdźcie tutaj”.

W południe rozlega się gong u bram pałacu.
Nie wiem, czemu porzucają pracę i zatrzymują się u mo-
ich wrót.
Kwiaty w ich włosach zbladły i powiędły; melodye omdle-
wają w ich fletniach.
Oddalić ich nie mogę. Przywołuję ich i mówię: „Pod moimi
drzewami jest cień, pełen chłodu. Wejdźcie, przyjaciele”.

Nocą świerszcze dzwonią po lasach.
Któż to podchodzi zwolna do moich drzwi i cicho w nie ko-
łacze?
Majaczy mi czyjaś twarz, ani jedno nie rozlega się słowo,
otacza nas pokój nieba.
Oddalić milczącego gościa nie mogę. Wpatruję się w obli-
cze ono poprzez mrok, i na snach mijają godziny.

Nie znam spoczynku. Spragniony jestem rzeczy dalekich.

Dusza moja zamiera z tęsknoty, by dotknąć szaty omgłonej dali.

O Wielkie Nieosiągnięte, o przejmujące wołanie twej fletni!

Zapominam, zapominam wciąż, że brak mi skrzydeł do lotu, i że z tym szmatem ziemi związany jestem na zawsze. Spragniony jestem i czujny, jestem obcym przybyszem wśród obcego lądu.

Twój powiew przyplływa do mnie, szepcząc nieziszczalne nadzieje.

Mowę twą rozumie serce moje, jako swoją własną.

O tęsknoto Rzeczy Dalekich, o przejmujące wołanie twej fletni!

Zapominam, zapominam wciąż, iż nie znam drogi, i nie mam skrzydlatego rumaka.

Nie dbam o nic, jestem pielgrzymem w głębi serca.

W słonecznych oparach omdlałych godzin, jakąż olbrzymia wizja ciebie ucieleśnia się w błękicie nieba!

O Najdalszy Krańcu, o przejmujące wołanie twej fletni!

Zapominam, zapominam wciąż, że wrota zawarte są wsząd w domu, gdzie przebywam samotnie.

O matko, młody Książę mijać ma nasze wrota, — jakże mogę całym sercem pracować dziś rano?

Pokaż mi, jak włosy mam zapleść, jaki przywdziać strój.

Czemu patrzysz na mnie w zdumieniu, matko?

Wiem dobrze, iż nie spojrzysz on ni razu w moje okno; wiem, że w mgnieniu oka przejdzie, i widzieć go nie będę; tylko gasnąca nuta fletni, łkając, przyplłynie do mnie z oddali.

Lecz młody Książę będzie mijał nasze wrota, i dla tej chwili chcę odziać się jak mogę najpiękniej.

O matko, młody Książę minął nasze wrota i wóz jego promieniał rannem słońcem.

Z twarzy uchyliłam zasłonę, zerwałam sznur rubinów z szyi i cisnęłam je na gościniec.

Czemu patrzysz na mnie w zdumieniu, matko?

Wiem dobrze, iż nie podniósł on naszyjnika mego; wiem, iż zmiażdżyły go koła, zostawiając purpurową smugę wśród pyłu, i nikt nie wie, czem był mój dar, ni dla kogo.

Lecz młody książe miał nasze wrota, i rzuciłam klejnoty z mej szyi przed jego wóz.

Gdy przy łożu mojem zgasła lampa, zbudziłam się z ranem ptactwem.

Siadłam przy oknie otwartem, z wieńcem świeżych kwiatów na rozsypanych włosach.

Młody wędrowiec szedł wzdłuż drogi, w różanej mgle poranku.

Sznur pereł owijał mu się wkoło szyi, a na jego koronę padały promienie słońca. Zatrzymał się u moich wrót i spytał w okrzyku łaknącej tęsknoty: „Gdzież ona jest?”

W pomieszeniu i wstydzie nie umiałam odrzec: „Ona, to ja, młody wędrowcze, ona, to ja”.

Zapadał zmierzch, a nie zapalono jeszcze lampy.

Niedbale zaplatałam włosy.

Na wozie swoim przyjechał młody wędrowiec w łunie zachodzącego słońca.

Konie jego ociekały pianą i pył pokrywał mu szaty.

Zeszedł z wozu u moich wrót i spytał zmęczonym głosem: „Gdzież ona jest?”

W pomieszeniu i wstydzie nie umiałam odrzec: „Ona, to ja, znużony wędrowcze, ona, to ja”.

Oto jest noc kwietniowa. Lampa płonie w mojej komnacie. Powiew z południa przepływa łagodnie i śpi w klatce hałaśliwa papuga.

Mieni się mój napierśnik, niby szyja pawia, a płaszcz jak wschodząca zieleni się trawa.

U okna na podłodze siedzę i wyglądam na opustoszałą ulicę.

Śród mroków nocy nucę i nucę pocichu: „Ona, to ja, zrozpaczony wędrowcze, ona, to ja“.

Gdybyś chciała być skrzętną i napełnić dzban, przyjdź, o przyjdź nad jezioro moje.

Woda twe stopy obejmie i wyszemrze swą tajemnicę.

Cień nadchodzącego deszczu snuje się po piaskach i chmury zwisają nisko nad błękitnym konturem drzew, jak ciężkie włosy twoje ponad łukami brwi.

Rytm twoich kroków znanym mi jest dobrze, tętni on w mojem sercu.

Przyjdź, o przyjdź nad jezioro moje, jeśli zechcesz napełnić dzban.

Gdybyś pragnęła usiąść w beztrosce nie dbając o nic, podczas gdy dzban twój unosić się będzie na fali, przyjdź, o przyjdź nad jezioro moje.

Na zboczach zieleni się trawa i mienią się niezliczone dzikie kwiaty.

Z ciemnych źrenic twoich wymkną się myśli, niby ptaki z gniazd.

Zasłona zesunie ci się do stóp.

Przyjdź, o przyjdź nad jezioro moje, jeśli masz usiąść, pograżona w beztrosce.

Gdybyś zechciała porzucić zabawę i zanurzyć się w toń, przyjdź, o przyjdź nad jezioro moje.

Pozostaw na brzegu błękitny płaszcz; błękitna woda spowinie cię i okryje.

Fale będą się wspinać, aby całować twą szyję i szeptać ci do ucha.

Przyjdź, o przyjdź nad jezioro moje, jeśli chcesz zanurzyć się w toń.

*Jeśli sądzonem ci jest w szaleństwie skoczyć ku śmierci,
przyjdź, o przyjdź nad jezioro moje.*

Chłodne jest i głębokie bezdennie.

Jest pełne mroku, jak sen bez marzeń.

*Przyjdź, o przyjdź nad jezioro moje, jeśli masz zejść ku
śmierci.*

*Gdy obie siostry idą razem po wodę, przechodzą tędy
z uśmiechem.*

*Muszą wiedzieć, że stoi ktoś za drzewami, ilekroć idą po
wodę.*

Siostry coś szepczą jedna drugiej, przechodząc tędy.

*Musiały odgadnąć tajemnicę tego, kto za drzewami stoi,
ilekroć idą po wodę. Zachwieją się nagle ich dzbany i woda
przelewa się przez brzegi, kiedy mijają tę kryjówkę.*

*Musiały odgadnąć, iż bije serce tego, kto za drzewami stoi,
ilekroć idą po wodę.*

*Siostry spoglądają po sobie, przechodząc tędy, i uśmiecha-
ją się.*

*Śmiechem brzmią drobne ich kroki, śmiechem, siejącym za-
męt w serce tego, kto za drzewami stoi, ilekroć idą po wodę.*

Dzień po dniu przychodzi on i oddala się.

Pójdź, i podaj mu kwiat z mych włosów, przyjaciółko moja.

*Jeśli spyta, kto mu go posyła, nakazuję ci, nie wyjawiaj
mu mego imienia — — gdyż on przychodzi tylko i oddala się.*

Siada w pyle pod drzewem.

Rozściel tam kobierce z kwiatów i liści, przyjaciółko moja.

Oczy jego są smutne i smutek sączą w moje serce.

*Nie wypowiada on tego, co ma na myśli, a tylko przycho-
dzi i oddala się.*

„Biorę to, co mi dają twoje szczodre dłonie i o nic więcej nie proszę“.

„Tak, tak, znam cię, pokorny żebraku, żądasz wszystkiego, co człowiek posiada“.

„Jeśli znajdzie się dla mnie kwiat zapomniany, będę go w sercu nosił“.

„A jeśli będą ciernie?“

„Wycierpię“.

„Tak, tak, znam cię, pokorny żebraku, żądasz wszystkiego, co człowiek posiada“.

„Gdybyś wzniosła choć raz miłujące oczy ku memu obliczu, życie stałoby mi się słodkiem aż po za śmierć“.

„A jeśli będą jedynie spojrzenia okrutne?“

„Jako strzały zachowam je w sercu“.

„Tak, tak, znam cię, pokorny żebraku, żądasz wszystkiego, co człowiek posiada“.

„Zawierz miłości i wtedy jeszcze, gdy niesie cierpienie. Nie zamykaj serca“.

„Ach nie, przyjacielu, słowa twoje są mgliste, i pojąć ich nie mogę“.

„Serce jest na to jedynie, byśmy oddali je w łzie i w pieśni, kochanie moje“.

„Ach nie, przyjacielu, słowa twoje są mgliste, i pojąć ich nie mogę“.

„Radość jest zwiewna, niby kropla rosy, i kona, gdy się uśmiecha. Lecz smutek silny jest i nieprzemijający. Niech smutna miłość czuwa w twoich oczach“.

„Ach nie, przyjacielu, słowa twoje są mgliste, i pojąć ich nie mogę“.

„Lotos zakwita w słońcu i traci wszystko, co ma. Nie chciałby w paku pozostać pod wieczną zimową mgłą“.

„Ach nie, przyjacielu, słowa twoje są mgliste, i pojąć ich nie mogę“.

Pełne smutku są pytające oczy twoje. Pragną odgadnąć mnie, jak księżyc chciałby zgłębić morze.

Życie moje od końca do końca obnażyłem przed tobą, i nic nie zostało ukryte, ani przemilczane. Oto dlaczego nie znasz mnie.

Gdyby to był jedynie drogocenny kamień, mógłbym roztrzaskać go w tysiączne odłamki i uczynić z nich naszyjnik dla ciebie.

Gdyby to był jedynie kwiat, okrągły, drobny i pachnący, mógłbym z łodygi go zerwać, by wpleść go we włosy twoje.

Lecz to jest serce, miłości moja. Gdzież są jego brzegi, gdzie dno?

Nie znasz granic tego państwa, choć jesteś jego królową.

Gdyby to była jedynie chwila radości, zakwitłaby w beztroskim uśmiechu, który mogłabyś dojrzeć i przeczytać w przełocie.

Gdyby to był jedynie ból, przetopiłby się w lzy przezrocze, i odzwierciedlił bez słów najgłębszą swą tajemnicę.

Lecz to jest kochanie, miłości moja.

Rozkosz jego i cierpienie nie znają granic, nieskończone są jego pragnienia i bogactwa.

Jest blizkiem ciebie, jak życie twoje, lecz nie możesz zgłębić go nigdy.

Zerwałem twój kwiat, o świecie!

Przytuliłem go do serca, i zranił mnie ciernią.

Gdy zagaśł dzień i mroki spowiły ziemię, ujrzałem, iż kwiat uwiądnął, a pozostał ból.

Liczne kwiaty przyjdą do ciebie, wonne i pyszne, o świecie!

Lecz minął dla mnie czas zbierania kwiatów i wśród ciemnej nocy nie masz już mojej róży, a pozostał ból.

Pokoju, o serce moje, niech chwila rozstania będzie słodką.
Niech nie będzie śmiercią, lecz dopełnieniem.

Niech miłość przetopi się we wspomnieniach, a ból —
w pieśni.

Niech łot podniebny skończy się stuleniem skrzydeł nad
gniazdem.

Niech ostatnie dotknięcie twych dłoni będzie nieuchwytnie,
niby kwiat nocy.

Zatrzymaj się, o Dokończenie Piękne, i wymów ostatnie
słowa w milczeniu.

Oddaję ci pokłon i wznoszę lampę, by świecić drodze
twojej.

Poszedłem zapyłoną ścieżką snu, by odnaleźć tę, która była
moją w poprzednim żywocie.

Dom jej stał na krańcu opustoszałej ulicy.

W wieczornym powiewie ulubiona jej papuga drzemała na
drażku, i bez ruchu w zakątku swoim siedziały gołębie.

Lampę na ziemi u wrót postawiła i stała przedemną.

Wzniosła głębokie oczy ku mnie i spytała bez słów: „Jak
się miewasz, przyjacielu?”

Chciałem odrzec coś, lecz mowa nasza zabląkała się była
i poszła w zapomnienie.

Myślałem, myślałem wciąż; nie mogłem przypomnieć so-
bie naszych imion.

W oczach błysnęły jej łzy. Wyciągnęła ku mnie rękę. Ują-
łem ją i stałem w milczeniu.

Lampa nasza pełgała w wieczornym mroku, aż zgasła.

Choć wieczór wolnymi zbliża się krokami i pieśniom wszelkim nakazuje milczenie;

Choć towarzysze twoi udali się na spoczynek, a ciebie znużenie ogarnia;

Choć lęk czai się w mroku i przesłonięte jest oblicze nieba;
Jednak usłuchaj mnie, ptaku, o ptaku mój, i skrzydeł nie zwijaj.

To nie cień liści lasów pobliskich majaczy w oddali, to wzdymają się grzbiety fal, nakształt czarnego węża.

To nie korowód kwitnących jaśminów, to bryzgi morskiej piany.

Ach, gdzież jest słoneczne, zielone wybrzeże, gdzież jest twoje gniazdo?

Usłuchaj mnie, ptaku, o ptaku mój, i skrzydeł nie zwijaj.

Samotna noc zaległa twój szlak, świt drzemie za pasmem wzgórz cienistym.

Gwiazdy wstrzymują dech, licząc godziny, i błądy księżyc płynie wśród nocy głębokiej.

Usłuchaj mnie, ptaku, o ptaku mój, i skrzydeł nie zwijaj.

Niemasz nadziei, ni lęku dla Ciebie.

Niemasz słowa, ni szeptu, ni krzyku.

Niemasz domu, ni łoża spoczynku.

Jest tylko para twych skrzydeł i bezdroże nieba.

Usłuchaj mnie, ptaku, o ptaku mój, i skrzydeł nie zwijaj.

Czemu tak cicho szepcesz mi do ucha, o Śmierci, Śmierci moja?

Kiedy wieczorem kwiaty omdlewają i z pastwisk wracają stada, skradasz się do mnie i mówisz słowa, których zrozumieć nie mogę.

Czyliż tak zalecać się do mnie musisz i posiąść mnie narkotykiem słów odurzających i zimnych pocałunków, o Śmierci, Śmierci moja?

*A więc nie będzie nasze wesele uroczystością wspaniałą?
A więc nie opaszysz mnie wieńcem miedzianych, wijących
się pękli?*

*Czyż niema nikogo, kto poniosłby chorągiew twoją przed
tobą, i czyż noc nie zapłonie purpurowym blaskiem twoich po-
chodni, o Śmierci, Śmierci moja?*

*Przyjdź, naksztalt konch dzwoniąca, przyjdź śród bezsen-
nej nocy.*

*Purpurowy płaszcz zarzuć mi na ramiona i uprowadź mnie.
Niech wóz twój stoi w pogotowiu u moich wrót i niech rzą
niecierpliwie konie.*

*Zasłone mą podnieś i spójrz mi dumnie w twarz, o Śmierci,
Śmierci moja!*

*Kim jesteś, ty, który poematy moje czytasz po latach stu?
Z bogactwa tej wiosny ani jednego kwiatu przesłać ci nie
mogę, ani jednej smugi złota z tych obłoków.*

Roztwórz wierzeje i wyjrzyj na świat.

*Z kwitnącego ogrodu twego zbierz wonne wspomnienia
kwiatów z przed lat stu.*

*W weselu własnego serca niech ci to żywe wesele zatętni,
które śpiewało pewnego wiosennego rana, śląc głos radosny po-
przez sto innych wiosen.*

Z przekładu angielskiego, doko-
nanego przez autora, przełożyła

Marya Wydźdzanka.



POEZYJE.

MODLIWA.

O łaskę zmiłowania przychodzę Cię prosić:
przed rezygnacyi rankiem jesiennym, pogodnym,
daj złote grono życia moim ustom głodnym!
Znieść mogę, Władco świata, lecz nie umiem znosić.

Nie każ mi deptać gliny, bo znam ścieżki kraju,
gdzie ptaków i jeleni jest chłodna krynica,
a myśl mą stać na łąki kwieciste, na skraju
lasów, kędy odwieczna szumi tajemnica.

Lecz może do gliniastej i zamglonej drogi
tak mi ugniesz kark twardy i wzwyczaisz nogi
Ty silny, najwytrwalszy ze świata garncarzy,

że tylko ptak, zbłąkany z blizkiego ogrodu,
zatrzepece się, kiedy odbicie zachodu
urzy w szkłe łez, zastygłych na poblądłej twarzy...

DZWONY.

Na wieczora złotym progu,
u stóp nocy rozkochanej,
dziękczynienia głosząc Bogu,
bije dzwon rozkołysany
i, na pnące winogrady
z wież spadając przezroczyście
falą—w miasta, lasy, sady
niesie życia pieśń perlistą.

A w głębiach morza, pod strażą fali,
niby u grobów wiecznie płakanych,
piers męczennicza skarży się, żali
głosem tysiąca dzwonów spętanych
i z każdą nową wichurą dźwięków,
Śmierć na złowieszczym wygrywa rogu,
głośno złorzecząc staremu Bogu —
Bogu niewoli, starców i lęków.

Pomiędzy życia i śmierci głosy
żywy dzwon serca
mego się wplata:
otchłań przewierca,
w górę ulata,
życiem i śmiercią bijąc w niebiosy!

WIERSZ WIGILIJNY.

O południu zimowem, o poblasku szklanym
marzę, żeby, po zgonie cichym i nieznanym,
zostać skałą, na której twój domek się chroni;

żeby za jej krawędzią twój kwietny ogródek
patrzył w niebo tysiącem oczu niezabudek,
fiołków i różowo kwitnących jabłoni.

*Smutki mojego serca i róż letnich wonie
lekki taniec kadzideł wiodą na gazonie.*

*Liść szepce złote plamy, bawi się ich duszą,
co w locie umierają i spać idą w trawie,
by się rodziły nowe; w te przelotne sidła
lecą muszki, by zwisnąć za tęczowe skrzydła.*

*Ostatnie słowo boli, — cień dolega czarny
i krwi żywy strumyczek po bielutkiej łożu
szybko pomyka naprzód, pochyla się w stronę,
i, na brzegu, w jezioro rozlewa czerwone;*

*plama słoneczna w chyżym je dogania biegu
i uderzyły w niebo czerwonym milczeniem!
Letnie rozkwitłe róże i jasne motyle
w cieniu drzew ogrodowych zagasły na chwilę...*

JESIEŃ.

*U horyzontu szara snuje się tęsknota,
a szczyt nieba nadzieją jaśnieje błękitną;
od stóp łubinu łąka w dal podąża złota —
— czy to kwiaty się śmieją, czy uśmiechy kwitną?*

Jesień ciche wieczoru uchylila wrota.

WRZESIEŃ.

*Dymy się ognisk, jak wspomnienia ścielą —
brat ich, zmierzch wczesny, usypia topole.*

*W gasnącym zmierzchu własną świecą bielą
romanów późnych jasne aureole.*

Włokąc u szaty mrok jesiennych czadów,
 dymów brat szarych wychodzi na drogę,
 ostatnie słowo zagrzebawszy skargi —

W gasnącym zmierzchu dopatrzeć nie mogę
 twych pocałunków drogich, krwawych śladów,
 by przylgnąć do nich gorącemi wargi...

PAŹDZIERNIK.

Z umilkłą skargą oczu, z pacierzem pociechy,
 który na liściach szepcą blade usta słońca,
 ciężkie łyzy roztapiając w ostatnie uśmiechy,
 odeszła jesień cicha, pogodna, pachnąca.

Drogą zbłąkanych wichrów, milczących kurhanów,
 spływając z mżącym płaczem przyziemnych obłoków,
 z latarką, majaczącą w pierścionkach tumanów,
 nie schodzi szara jesień zaduszek i mroków.

Czas stęzał i dzień stanął. Wicher zabłąkany
 krętym biczem kurzawy ulic smaga ściany,
 skostniałym dzwoni liściem, dymów pióropusze

strzępi. Mgieł, by zczerniałych ramion skryć niedole
 i w cmentarnym stargane liście złożyć dole —
 daremnie wyglądają drzew bolesne dusze.

LISTOPAD.

Szary ptak obudzony, przez firanek szpary
 ujrzał złotawe światło z pod bibulek zwoju,
 niskie, bielone ściany jasnego pokoju
 i ciemnego Chrystusa wizerunek stary.

Głosem wichrów wyjące, z pól zawianych zbiegłe
przykućły nocne strachy i błędzące mary
u drzwi zwartych na rygle mocnej ojców wiary
i rdzą zżarte zasuwę — wiotkie i uległe.

Kręgu domowej lampy! O światło spokojne,
obojętnie łaskawe, beznamiętnie hojne,
nie trwożysz się skrzydlatych chwil trącane lotem!

Wędrowiec — liść jesienny bez jutra i dachu
je chleb czarny o rzeźkim, jak zdrowie, zapachu,
a blask lampy łagodnym oblewa go złotem.

ROK MIŁOŚCI.

Cóż powiedzieć o wiosnie? Że gdy w pąkach jeszcze
stoją białe narcyzy w zachody różowe,
uśmiechy — wyrazami stają się napoły...

Zaś lato — nagłych pocałunków deszcze,
lecących ślepo na piersi i głowę,
jak złote, ciężkie pszczoły...

Jesień — to szarym szyty ścięgiem
zmierch długi cichych pieszczot, spowiedzi i skarg,
którym przyświeca spływająca
oknem poświata latarń drżąca —

Zima — w alei parku, zaniesionej śniegiem,
dotknięcie chłodnych warg,
przy obojętnym blasku miesiąca.

ŻYCIE WSPOMNIENI.

Śpiewając ciała swego rozkosz nienazwaną,
swą grozę i pieśczołę, omdlenia i moce,
na rozkochanych dłoniach, uwieńczonych pianą
morze dalekich wspomnień niesie mi owoce.

Do dołu, gdzie upadły dwa okruchy tęczy
i rozsypane perły pobiegły w szeregu,
złote składam owoce w słonecznej obręczy,
by przykryć je kamieniem z nad morskiego brzegu.

Ostatnie ryjąc słowa na cmentarnej bramie,
dłuto pamięci mojej ślizga się i łamie,
gubi słowa, wstchnienia, tak drogie przed laty...

A miłość, przez dal czasu, mgłę dni nieprzebraną,
włosów twych czuje zapach, krok pozna za ścianą,
a spojrzenia twe kwitną jej, jak żywe kwiaty!

NAGROBEK.

Czworogranny kamień czarny,
spadający na dno rzeki,
dół dla siebie w piasku tłoczy;
nad nim całun fal cmentarny
zasuwa się, jak powieki,
zbyt bolesne kryjąc oczy.

Nie zobaczy złotopióre
słońce, budząc dzień na niebie,
nie oświetli blask poranny
tych uśmiechów, kwiatów, które
w ciężkiem sercu z sobą grzebie
czarny kamień czworogranny.

KWIAT ZERWANY DAREMNIEM.

*Kwiat, zerwany daremnie,
ręką niedość szczęśliwą,
niechaj długo nie więdnie
zapomniany, daleki...
Niech na wodę upadnie
miłosierną i żywą —
niech w niej zniknie na wieki...*

*Noc, niech ze dniem nie dzieli
mroków, — ciemnym całunem
niech ogarnie je w łonie.
Drzewo, tknięte piorunem,
niech płomieniem wystrzeli,
niech zabłyśnie —
niech spłonie.*

SPOWIEDŹ.

*Ustrojony w polne kwiaty, ze zwieszoną ciemną głową,
stoi Chrystus dobrych ludzi spowinięty sosen cieniem;
mego ciała u stóp krzyża palę lampę purpurową,
moja dusza w niej gorącym, białym chwieje się płomieniem.*

*Mego ciała mękę krwawą z jej rozkoszą i cierpieniem,
mojej duszy wir błękitny, upojony, mściwy, rwący
opowiadam ci z uśmiechem —
mały, czarny, bolejący
Chrystusiku dobrych ludzi, ogrodzony sosen cieniem.*

Tekla Knollówna.

KRONIKA.

I. Jerzy Żuławski.

Poezya polska odrębne zgoła stanowisko zajmuje w poezyi świata. Jest ona dla narodu polskiego potrzebą codzienną, jest mu pociechą, co w nieszczęściu krzepi i pobudką, co do czynu zagrzewa, goreje w niej bowiem wielkie słońce wiary w dziejowe przeznaczenie narodu. Poeta polski nietylko jest artystą słowa, ale i kapłanem tego ognia wieczystego umiłowania ojczyzny, co przed ołtarzem polskim płonie — kapłanem sprawy narodowej być musi. Takim właśnie poetą był Jerzy Żuławski.

Kiedy Kazimierz Tetmajer w zwątpieniu gorzkim wola:

*„Więc co bo wszelka nadzieja zawiódła,
wszystkie się wiary okazały niczem,
mocy nie miały w sobie żadne godła
i wszystko było marzeniem zwodniczem“.*

Żuławski odpowiada mu w słowach, tchnących silną wiarą męską, przypominających psalmy Kraszińskiego:

*„Nam nie wolno zbywać wiary,
.....*

To hasło i ta wiara wiodły go w życie, twórczości jego najwyższym będąc tonem i najszczerzym. Poeta mózgowiec,

chłodny racjonalista, gdy mówi o Polsce, to mu z pod pióra płyną pieśni proste i serdeczne.

*Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legionami przemierzył świat,
szukając drogi przez krew i blizny*

.

Tak śpiewał poeta w przededniu swego tragicznego zgonu, zostawiając synom swoim i pokoleniom następnym w Polsce testament swój, przejęty wiarą w wieczną gotowość bojową narodu polskiego, bo wszak *jeszcze w naszej piersi jest krew na nowy świętej wolności siew*. Wiary tej w poecie nic nie było zdolne wyziębic.

*Cóż, że wróg nam ziemię bierze,
cóż, że kala nam pacierze,
cóż, że krew się leje rzeką,
że kajdany z nóg się wleka,
póki tylko w ustach płonie
mowa ojców wielka, święta,
nam nie straszny ból, ni pęta — —
duch w potopie nie zatonie . . .*

Gorące uczucie miłości Ojczyzny ożywiało poetę, wielokroć razy mówił narodowi o Polsce: ginał w nim wtedy chłód filozofa, który mu, jak cień nieodstępny, w poezji towarzyszył.

W rzędzie poetów naszych zajął Żuławski stanowisko odosobnione poety-intelektualisty. Poezja jego nie jest podobna do burzy, co nad światem szaleje i niebo krwawymi wężami błyskawic znaczy: cicha jest i łagodna, jak zielona toń morską, w której się jeno oczy ludzkie przeglądają chętne. W sonecie „Dwie moce” spowiada się poeta z walk, jakie się w duszy jego toczą: dwa żywioły się w niej zmagają—jeden zrywa się i skrzydła

do lotów górnych sposobi, drugi tłoczy ku ziemi i odziemne porywy hamuje. Filozof walczy z poetą, rozważa umysłu z porywem serca i z fantazyą się zмага. I zawsze nieomal Żuławski mózgowiec bierze górę nad Żuławskim—uczuciowcem. To zwycięstwo rozumu nadaje poezji jego charakter refleksyjny. Chroni ją może ono od wielu rozczochrań i błędów, ale jednocześnie wyrzec się każe wielkich ekstaz i uniesień, bo wszelkie uniesienia i ekstazy wielkie jedynie serce dać jest zdolne. Wysoka inteligencya przyrodzona otacza Żuławskiego szerokiem kołem zainteresowań, które za wątek poezji mu służą. Poeta pełną garścią czerpie ze skarbnicy tych zagadnień, co, w połączeniu z wyrażeniami skłonnościami dyalektycznymi, przekształca niekiedy refleksyę poetycką w roztrząsania filozoficzne i wówczas z poezji Żuławskiego wionie chłód wierszowanych rozpraw naukowych.

Tchnienie zimnego umysłu, nawskróś spekulacyjnego, mroziło w nim wonny jakimś egzotycznym zapachem kwiat poezji, który na dnie duszy jego zakwitał. Przewaga czynników rozumowych, sprzymierzona z wrodzonymi skłonnościami do dyalektyki, odbija się niekorzystnie na utworach dramatycznych Żuławskiego, wnosząc w nie pierwiastek pewnej sztuczności. Sztuczność ta najjaskrawiej może ujawniła się w „Wianku mirtowym”. Bohaterka dramatu, przed poślubieniem człowieka niekochanego, pragnie oddać swój wianek mirtowy innemu, którego kocha, a który jest przyjacielem jej narzeczonego; skoro zaś ten, w poczuciu swej uczciwości, odrzuca propozycyę dziewczyny, ona stara się przemówić mu do rozumu i usiłuje przekonać go argumentami logicznymi, iż stać się winno wedle jej życzenia. Pomijam tu pewną sztuczność sytuacji psychologicznej; jeśli wszakże zgodzimy się nawet z podobnem postawieniem kwestyi, to przecież dziewczyna ta działać chyba musi pod wpływem szału, w żyłach jej młoda krew wre pożądaniami pierwszych, nieznanych jej dreszczów miłosnych — — jakże zatem sztucznem wydać się nam musi użycie w takiej chwili chłodnych, pełnych rozsądku rozumowań gwoili przekonaniu ukochanego. Podobne, jak powyższa, sprzeczności sytuacyjne, tłumaczy właśnie brak ekstazy twórczej u Żuławskiego. Dramaty jego nie powstawały z impulsu wewnętrznego. Obdarzony niewątpli-

wym zmysłem sceniczności, chwycił tematy do dramatów z pośród przedmiotów i sytuacji, jakie nęciły go kolorytem i wabiły pozorami efektu teatralnego. W taki sposób powstał cały szereg utworów scenicznych, jak: „Eros i Psyche”, „Dyktator”, „La Bestia”, „Koniec Mesjasza”. Dramaty swoje tworzył poeta w pełnej świadomości twórczej wedle z góry już skonstruowanego planu i plan ten podjęty do końca przeprowadzał. Budzi się wprawdzie niekiedy w Żuławskim szczery poeta, o uszy nasze obije się czasami trzepot skrzydeł wielkiej poezji, tu i owdzie zatlą się iskierki szczerego natchnienia poetyckiego, lecz w wielki ogień nigdy się nie rozplomienia; autor wnet przeciera oczy, mgłą wizyi zasnutę, i odpycha wizyę natrętną, bo mu plan akcji popsuć gotowa.

Żuławski-poeta w dramatach swoich czyni znaczne bardzo ustępstwo na rzecz pisarza scenicznego, silny bardzo nacisk kładąc na stronę teatralno-dekoracyjną. Lecz wtedy w nim, znawcy warunków scenicznych, budzi się jednocześnie żal za utraconą w pogoni za efektem teatralnym wizyą poetycką, zrodzoną w chwili natchnienia. Żal ten poeta zwracał do aktorów, którzy niezgodnie jakoby z intencją twórcy dzieła jego interpretowali na scenie. Zarzuty owe nie wydają się być słuszne. Aktor z natury rzeczy największą wagę przywiązuje na scenie do efektów czysto teatralnych. Ta właściwość scenicznych utworów Żuławskiego, silnie zaakcentowana przez autora, a uwydatniona w interpretacji aktorskiej, dochodzi do przejaskrawienia, poezyę odsuwając zazwyczaj na drugi plan. I w tem należy może szukać przyczyny, że nie „Erosa i Psyche”, rzecz, która przyniosła mu największy poklask tłumu i sławę najszerszą, ale „Wianek mirtowy” autor otaczał najserdeczniejszą miłością ojcowską; utwór ten bowiem zę względu na treść i charakter najmniej może nastęrczał sposobności odtwórcom do odsunięcia obrazu scenicznego od linii zasadniczych wyobraźni poetyckiej autora. Jeśli jednak chodzi o niestarty brutalnością sceny urok poezji, to z pośród dramatycznych utworów Żuławskiego jedynie „Ijola” — ta cudna opowieść o lunatyczce, co upojenia szukała w śnie — nic właśnie z uroku wdzięcznej swej poetyczności

nie utraciła. A przecież jest mimo to w „Ijoli” jedna scena mocna, zwarta, pod względem teatralnym nadzwyczaj efektywna — scena sądu inkwizycyji. Najjaskrawsze natomiast odstępstwo od czystej poezyi na rzecz efektu teatralnego uczynił Żuławski w „Końcu Mesyasza”, gdzie przepych dekoracyjny sztuki pochłonął całkowicie jego uwagę twórczą. W tej sztuce wszakże przybył jeszcze jeden czynnik, krępujący wzloty wyobraźni poetyckiej. Czynnikiem tym jest sumiennosc erudyty. Według źródeł historycznych, fałszywy mesyasza staje się renegatem pod koniec swojego życia. Żuławski nie chce się mijać z prawdą historyczną, bo mu na to jego dokładność naukowa nie pozwala — równocześnie pragnie wyidealizować bohatera dramatu, aby nie wywierał wrażenia beznadziejnie *czarnego charakteru* na scenie; znajduje więc wyjście w sztucznej zresztą bardzo interpretacyi, opartej na podłożu przełomu erotycznego, która usprawiedliwić ma rzekomo fakt apostazy owego mesyasza fałszywego. Sumiennosc naukowa Żuławskiego pęta również silnie jego wyobraźnię poetycką w „Dyktatorze”; ten dramat historyczny nazwałoby może właściwie należało udramatyzowanym komentarzem historyzoficznym do upadku powstania 1863 r. Bohaterem dramatu jest Maryan Langiewicz, dyktator, postać, łamiąca się wewnętrznie pod brzemieniem obarczającej ją misyi. Najciekawsze momenty „Dyktatora” zawarte są w rozmowach Langiewicza z adjutantem jego, Pustowojtówną, która jest dlań w dramacie niejako głosem sumienia narodowego.

W szeregu utworów scenicznych Żuławskiego rozgłos najszerszy zdobył bezsprzecznie „Eros i Psyche”, dzieło, składające się z siedmiu obrazów dramatycznych. Jest to jakby siedm postojów duszy ludzkiej, w postać kobiecą wcielonej, w wędrówce jej do nieskończoności.

Każdy z osobna obraz tchnie zapachem świeżej poezyi, aczkolwiek zbanalizowanej niekiedy za cenę efektu teatralnego, pomiędzy jednak obrazami poszczególnymi brak jest wszelkiej spistości wewnętrznej.

Gdyby chcieć pokrótce scharakteryzować bogatą działalność poetycką Jerzego Żuławskiego, należałoby powiedzieć, że powstawała ona wśród ciągłego pasowania się zimnego zmysłu

spekulacji ze szczerym porywem uczucia, przyczem zimna rozważa zawsze zwalczała w nim natchnienie poety. Na tem baczniejszą przeto uwagę zasługuje ta sfera jedyna, w której Żuławskiego opuszcza zmysł spekulacji filozoficznej, kiedy oddaje się on uczuciu całkowicie i niepodzielnie. Tą sferą uczuć jest dla Żuławskiego Polska. Poeta nawet w chwilach uniesień erotycznych zdolen jest zimnej oddać się rozwadze, lecz kiedy o struny polskie potrafi na swej lutni, wydobywa z nich dźwięk szczerości niehamowanej. Uczuciu patryotycznemu poeta najdobitniejszy daje wyraz w prologu do „Dyktatora”. Obraz to świetny w utrzymaniu napięcia dramatycznego, rozgrywa się w styczniu r. 1863 — w przededniu wielkich wypadków dziejowych w małym dworze szlacheckim. Cisza jakaś złowróźbna panuje w tym dworze modrzewiowym. Jakieś zapatrzenie w siną dal tajemną, jakoweś zasłuchanie w odgłosy dalekie, w poszumy wichru, co za oknami świszczę; a w izbie stary zegar kurantowy wydzwonić ma niebawem oczekiwaną z dawna godzinę. Przecucie tej chwili okrywa cieniem bladeści oblicza kobiet, zadumą legło w oczach starego rezydenta, co dawne czasy pomni. Kiedy pada wreszcie krótki okrzyk „do broni!” — wszyscy zrywają się, kto żyw. Idzie jeden z synów, pozostawiając w domu żonę z małym dzieckiem, a idzie bić się za świętą sprawę, mimo, że w powodzenie powstania nie wierzy. A i ojciec, starzec sędziwy, który przedtem ruchowi przeciwdziałał, za dwururkę chwyta i do szeregów wstępuje, bo i on w domu zostać nie potrafi.

Żuławski nie dopuszcza tu żadnych momentów rozumowych do głosu. Kiedy Ojczyzna w grę wchodzi, tylko poryw serca decydować w nim może. Szczerość swego stanowiska literackiego dowodnie w życiu zadokumentował. Kiedy bowiem krwawa zawierucha zwała się na ziemię naszą, Żuławski nie daje do siebie przystępu chłodnej rozwadze; zaciąga się do legionów, z wiarą, że lepszą przyszłość Ojczyźnie wywalczy. Lecz czyn ten stać się miał największą tragedją i życia jego i pieśni. On, który marzył życie swe Ojczyźnie w ofierze poświęcić i krew swą na polu bitew za honor sztandarów Polski przelać, zgasł nie jak bohater, lecz jak męczennik. Nie sądzone mu było zginąć na polu chwały. — Zmarł na łożu szpitalnem, zanosząc ze sobą do

mogły wiele pragnień nieziszczonych, wiele tęsknot niewyspiewanych, wiele bólów i ran niezabliźnionych.

Konrad Olchowicz (syn).

II. Teatr.

Świadectwem jest pewnej kultury życia codziennego, aby po wyniesieniu się sublokatora poddać orzeźwieniu powietrznemu zamieszkiwane przezeń pomieszczenie. Warszawa ma to poczucie higieny. Otwiera tedy lufciki dla wpuszczenia powietrza, którem nie oddychaliśmy od paru pokoleń. Jakkolwiek czynność ta jest zupełnie zrozumiała, to jednakże trudno oprzeć się wrażeniu, iż stosuje się ją, w pewnych zwłaszcza dziedzinach życia naszego, bez wyboru i zastanowienia, rzecz można z uniesieniem, któremu brak rozważań. Ten właśnie brak rozważań, a może raczej wyboru, najbardziej niezdolnym staje się w dziedzinie teatru. Na scenach warszawskich w chwili obecnej odbywa się istna orgia t. zw. widowisk patryotycznych. Z jakiegokolwiek bądź, najwięcej nawet pobłażliwego sądząc punktu widzenia aktualny obecnie repertuar scen warszawskich — należy otwarcie i głośno powiedzieć, iż nie tylko celu zamierzonego nie osiągnie, lecz może nawet spowodować obniżenie wartości duchowych narodu. Jeżeli bowiem chodzi o kształcenie poczucia patryotycznego w masach, to droga, jaką wybrano, stanowczo jest błędna: publicystyczne, o miernym poziomie, widowiska sceniczne, zdolne są tylko zamącić czystość uczuć polskich przez brak dla nich wyrazu artystycznego, który jedynie zawiera w sobie cenny pierwiastek wzruszeń. Te parę uwag powyższych nasunęło się nam przy rozważaniu zadań sceny polskiej w dobie obecnej, spełniającej wszak i nadal zaszczytną rolę jedynej prawie trybuny publicznej.

Obawy powyższe, niestety, oparte wprawdzie na innych przesłankach, aniżeli te, które stosujemy do nazbyt może lic-

nych teatrzyków, dadzą się w pewnej mierze utrzymać przy omawianiu repertuaru scen pierwszorzędnych. Wprowadzono na nie t. zw. wielki repertuar. Zdawałoby się na pozór, iż uczyniono godziwie i słusznie. A jednak wyznać trzeba, że nie liczono się z najbardziej kardynalną zasadą sceny, która głosi: wartościowem jest nie tylko to, co się gra, ale i jak się wystawia. Parę ostatnich premier zarówno w teatrze Rozmaitości, jak i w Polskim nastęrcza szereg przykładów niezmiernie pouczających. „Horsztyński”, jeden przecież z najbardziej subtelnych pomysłów dramatycznych Słowackiego, zaledwie parę wytrzymał przedstawień, równie, jak i Wyspiański w Polskim — oparowała zaś Warszawę Zapolska, dobrą wprawdzie robotą sceniczną, nie mającą jednakże najmniejszych pretensyi do wielkiego reperturu. Więc nie wielka poezya, ale zręczność, nie Królowie-Duchy, ale zwykła znajomość techniki scenicznej, otrzymała królowanie niepodzielne i bezapelacyjne.

„Tamten” Maskoffa zdystansował i Mickiewicza, i Słowackiego, i Wyspiańskiego; publiczność warszawska nie zawieńczyła zapewnieniom krytyki, lecz poszła za instynktem, który okazał się słusznym. Kierownictwo literackie teatrów warszawskich ciężko zawiniło wobec poezyi wieszczów, zrażając do niej, bądź też budząc poważną nieufność widowni przez niestaranne, pozbawione należytego pietyzmu i przygotowania wystawienie pereł polskiej twórczości scenicznej.

Eksperyment z „Horsztyńskim” i „Konfederatami” zasłużył sobie na jaknajżywsze potępienie: nie wolno bowiem, jak to uczyniono ze Słowackim, sztukować poezyi jego wtrętami obcymi, jak też wogóle nie wypadało lepić z fragmentów wieczoru teatralnego. Rzucić ocalałe strzępy zaginionej całości na nieznaną flukta surowych upodobań publiczności warszawskiej, znaczyło nie tylko, że z góry już skazywano na niepowodzenie całe przedsięwzięcie, lecz, co więcej, ośmielano przez to do wystąpienia i upowszechnienia bardzo osobliwych sądów o twórczości dramatycznej wieszczów.

W repertuarze sceny polskiej najbardziej może wyjątkowem zjawiskiem jest „Pieśń z 1831 roku”. Wszystko, cokolwiek dzieje się na scenie, ma dla serca pol-

skiego tyle wagi i tyle czaru, scenerya utworu posiada tak wiele mocy i wyrazu, że prawdziwie „Pieśń” ta, to najprzedniejszy klejnot twórczości scenicznej polskiej. Poeta wziął za kanwę do fabuły chwilę ważenia się mocy narodu w czasie bitwy pod Olszynką. Naród porwał za broń przeciwko ciemnicy, dał wyraz swej woli do niepodległego bytu, idąc w bój o wolność, wszystkie swe moce zestrzelił w wiarę w zwycięstwo, jak Archanioł Boży z mieczem jarzącym porazić wroga bieży, „rycerz, a sokół, orzeł, zeusowy ptak, żołnierz hartowny”. I w tych oto, pierwszych żołnierzach sławnych Europy, w tym narodzie, powstającym do walki o byt swój własny, dostrzega twórca skazę, która ofiarę jego czyni bezpłodną. Czał się zawiść, prywata, samolubstwo i pycha i pętać będzie porywy bohaterów, aż zęgnie ich w obroże niewoli i złamie. W tem właśnie załamaniu się bohaterstwa polskiego w polską niezgodę leży zawizek tragedyi. Chłopiński, ten „geniusz walk”, zbędzie swej pychy i poprowadzi bój, lecz nie zwycięży. Wiemy o tem, nim wyjdzie z salonu na czele sztabu, wieszczy mu o tem Marya w słowach, okropną mających moc:

*„Wam oto wiara się rozwiła,
Przeznaczeń twoich gwiazda leci mimo...
Więc rycerze i boje stracone —”*

I przeto chwila, gdy salon opustoszał po wyjściu jenerałów, jest punktem kulminacyjnym tragedyi, bo — za progiem czekała na nich śmierć, która im „wrota podziemi otwarła”.

„Pieśń z 1831 r.” w swej koncepcyi psychologicznej jest bolesną łzą poety, w której odbija się i polskie bohaterstwo daremne i polska niewola niesławna. Tragedya osobista Maryi jest tylko ilustracją, potrzebną poecie do uwydatnienia motywu naczelnego; z takich przeto przesłanek stworzona, urasta do potęgi symbolu Polski, wyzwolonej przez bohaterstwo, lecz nie wyzwolonej przez własną synów jej niewolę ducha („bom dłoń wzniosła, skowaną dłoń nieudolną”). Wystawienie „Pieśni” nastęrcza wiele bardzo trudnych do rozwiązania zagadnień, ale też jeśli ma być wogóle grana — niechajże ta gra będzie bez

zarzutu, każdy bowiem ton fałszywy psuje nastrój całości i pozostawia drażniące wspomnienie. Każda w niej rola jest ważną, każde słowo, ruch i gest muszą być przemyślane, jest bowiem „Pieśń” symfonią, która dźwięku fałszywego nie zniesie.

Teatr Polski, którego działalność znamionuje nieustanne usiłowanie wzwyż, nie sprostął zadaniu. Reżyserya nie zrozumiała zasadniczej podstawy utworu — która jest odtworzeniem tragedii *wewnętrznej* narodu. Dziać się wszystko powinno na scenie w dwóch planach: osoby dramatu, działające i tło, ale nie obojętne akcyi, owszem z nią wraz zwarte w jeden obraz żywy. Przecież autor wyraźnie mówi: „na sali głośna rozmowa, która w miarę gry ustępuje”. Bo i naturalnie. Drugoplanowej akcyi wydaje się, że skoro rzecz dzieje się w salonie, przy fortepianie, to właśnie należy wałęsać się po scenie z kąta w kąt, rozmawiać, uśmiechać się i t. d. w chwili np. kiedy na pierwszym planie rozgrywa się najboleśniej tragedya ich własna, bo ich narodu; spojeni być winni i zwarci, uszykowani w obraz, zamknięci w klamrę akcyi, akcyi tej współdziałać grą wewnętrzną, odzwierciadlającą i potęgującą nastrój. Nie słodycz uśmiechów salonowych, lecz groza, którą tchnie Chłopicki i Marya panować winna na scenie. Jeżeli aktorzy, czy statyści sami nie zdobyli się na zrozumienie, że, będąc w grze, grać też powinni nieustannie, a nie tylko wtedy, kiedy swą „kwestyę” wypowiedzą — to obowiązkiem było reżyseryi nauczyć ich tego. Ta obojętność i lekceważenie dla akcyi ze strony zespołu artystów, na którą widz patrzy, irytuje i drażni w najwyższym stopniu. A teraz jeszcze słów parę o Wiarusie. Bodaj w całym repertuarze europejskim niema roli, któraby jak ta, bez słowa, tak szalone wywołać mogła wrażenie na widownię. — Jest to zadanie dla aktora niesłychanie wdzięczne: wejść, nie przemawiając nic, wręczyć raport i wyjść i temi dwiema minutami ujarzmić widza. P. Bogusławski nie uczynił z tej roli arcydzieła. Szedł po scenie krokiem splątany z wybałuszonymi oczami, wygięty w pałąk odśrodkowo — sprawiając wrażenie wysoce ujemne. Potęgą wyrazu tej roli polega właśnie na tem, iż ten poseł nieszczęścia i klęski, ostatni żołnierz dywizyi, „zblócony, schlapany”, okryty ranami i broczący krwią wchodzi nie jak

sztynniejący trup, lecz jako ten „ostatni”, który wodzowi swemu raport z pola bitwy przynosi: idzie więc krokiem żołnierskim w takt głuchy melodyi, wplatającej się w słowa, maszeruje staniając się, ale maszeruje. Należy odtworzyć w tej roli ostatni moment przedśmiertny, w którym spełnia się ostatnim już wysiłkiem obowiązek żołnierza karnego.

O wszystkich „osobach dramatu” trzeba powiedzieć, iż nie mówią, lecz krzyczą. Prawda, że wiersz Wyspiańskiego jest silny, że zawiera w sobie moc, którą należy ujawnić, że w „Pieśni” specjalnie może potężne, wybuchowe nieomal są ustępy, które „krzykiem są pokolenia” — jednakże pamiętać przecież należy, iż ma się do czynienia przedewszystkiem z poezją, która wszak wymaga dykcji umiejętnej. Dotyczy to zwłaszcza roli Maryi. P. Duninówna, która na ogół poprawnie odtworzyła postać jednej z córek domu, w chwili jednakże, kiedy Marya widomie przekształca się w symbol, kiedy staje się dla Chłopickiego wyrzutem, a dla narodu wieszczką, w momencie, w którym przybiera na siebie kształty posagowe zakuwanej w żelazną kolczugę Polski, przez zbyt nierealizm splakanej po stracie ukochanego panny pozbawia się całej potęgi wyrazu tej niesłychanie odpowiedzialnej roli. — Pamiętam pomysłowość Siemaszkowej w tejże roli. — Artystka w scenie wieszczby, wyprężona, z wyciągniętymi rękami, stanęła tuż przed rampą, oświetlona jej światłem, górną połową ciała idąca w mrok widowni, przez te właśnie załamania świetlne zyskująca wiele na posagowości — była istotnie uosobieniem Tej „czyim głosem” wołała. — I widząc ją taką, słuchacz zapominał o Maryi i o jej nieszczęściu osobistem, miał bowiem przed oczami postać Polski, odgadującej swe losy okrutne.

Trudno mi na tem miejscu wytykać błędy wszystkich ról w akcyi. Wrażenie ogólne sztuki było fatalne: nikt z aktorów, ale to nikt dosłownie, nie wyłączając znakomitego skądinąd odtwórcy ról wielkich, Sosnowskiego, nie okazał się na wysokości zadania. Przykrą zwłaszcza była p. Janiczówna, która przez niefortunną charakterystycę i wdzięczny może gdzieindziej szczebiot, stanowiła dysonans wprost nieznośny.

Drugim z kolei eksperymentem nieudanym było wystawienie fragmentu p. t. „Zygmunt August i Barbara”. I tutaj reżysera winna podać ręce aktorom, dzieląc wraz z nimi odpowiedzialność za niepowodzenie sztuki. Ani bowiem nie należało jej wystawiać, a już w każdym razie w innej zgoła obsadzie. Dlaczego np. Teatr Polski nie szykuje „Pana Tadeusza”, albo „Beniowskiego”, czy „Pana Balcera”. Uczynić by to można było z równą słusnością, jak wystawiając ów fragment zamierzonej tragedyi Wyspiańskiego. Dwugłos miłosny, pełen cudownych miejsc najczystszej liryki, ma temat tragedyi nie rozwiniętej w akcyę. Inne też zadania czekają w nim aktora. P. Dulębianka zawdzięczając swym warunkom zewnętrznym, mogła być dać złudzenie optyczne, grając Barbarę. W grze jednak, dzięki znów naturze talentu, była jedynie Gizanką. I może nie jej to wina. Wybitnej artystce charakterystycznej powierza się rolę liryczną! Rwie ją tedy aktorka realiami, pragnąc przecież wykrzesać postać rzeczywistą; usiłowania jej wieńczy powodzenie, z jakim miast tragicznej małżonki ostatniego Jagiellona, tworzy gamratkę niepokieszonego króla. P. Węgierko robił, co mógł, aby sprostać zadaniu, miał nawet wyraz twarzy nie tyle może włoski, ile też południowy, dalekim był jednak od wcielanej postaci najbardziej może rasowego monarchy polskiego. Wyspiański nie miał tedy szczęścia na scenie Teatru Polskiego. Tem większa to szkoda i tem cięższa odpowiedzialność prekursorów jego kultu, że rozumienie teatru Wyspiańskiego w Warszawie stoi jeszcze bardzo nisko.

Los, czy wypadek łaskawszym był tym razem dla Słowackiego. Wystawienie „Księdza Marka”, okrzyczanego za utwór, pozbawiony wartości scenicznych, było miłą niespodzianką i zasługą rzetelną reżysera. Jakkolwiek niektórzy wykonawcy, drugorzędni zwłaszcza, poważne mieli braki, to jednakże całość, dzięki świetnej wprost grze Broniszówny i Sosnowskiego, utrzymała się na poziomie należnym. Z tym większym przeto żalem podnieść należy bezwzględność, z jaką potraktowano „Pieśń Konfederatów”, tę najcudniejszą perłę liryki polskiej. — Jej, co sama jest muzyką, dodano nikłą melodyę, co burzą jest i gromem, modlitwą i przysięgą i wyznaniem wiary, kazano kryć się

w nieuczzonej piosence. Jak parabaza greckiej tragedyi winna być „Pieśń” mówioną przed odsłonięciem kurtyny, każde jej słowo rzuconem być musi w widownię, jako ekspozycja dramatu.

Niedbałość, z jaką Teatr Polski wystawił Wyspiańskiego, zemściła się na dalszych usiłowaniach wprowadzenia wielkiego repertuaru. Na premierze „Dziadów” III części teatr nie był wypełniony. Publiczność, zrażona do wielkiej sztuki, tłumnie podąża co wieczór do Rozmaitości, przekładając dreszcze sensacyi aktualnej nad skupienie poezyi mickiewiczowskiej. Ale bo też i trudno się jej dziwić. Wykonanie „Dziadów” z chlubnym wyjątkiem roli senatora, było mierne. Zelwerowicz stworzył postać wprost świetną, opracowaną w szczegółach najdrobniejszych, plastyczną; święcił też zupełnie zasłużony tryumf w akcie II-im, najtroskliwiej też przemyślany w przygotowaniu. W akcie I-ym natomiast, w scenach więziennych, role były wyraźnie po nad siły aktorów: widocznym był szlachetny wysiłek Kuncewicza, który w scenie „Improwizacyi” wiele dokonał, całości jednak nie objął, dzięki asocyacyom melodramatycznym, w jakich się splątał; p. Buszyński w scenie „Opowiadania” Sobolewskiego pogwałcił kardynalnie linię wewnętrzną epiki owego ustępu: krzyczał, machał rękami, ustawiał się w pozie bohatera romantycznego, a już zupełnie chybił głosem płaczącym w ustępie końcowym, niepotrzebnie przytem klękając. Były to wyraźnie szyte fałszy teatralne, jak również i owe niewiedzieć skąd wzięte szloch i płacze p. Tańskiego, które tylko niesmaczne wywołać są zdolne wrażenie. Sosnowski, w roli X. Piotra dał typ, pokrewny nieco X. Markowi, opracowany sumiennie i z pietyzmem.

Wystawienie „Dziadów” dosadnie poucza, jak wdzięcznem byłoby zadaniem i jak wielką zasługą kult wielkiego repertuaru na scenie Teatru Polskiego, niechby tylko chciano zrozumieć, iż wystawianie dzieł poezyi wieszczów specjalne też nakłada obowiązki, których byle czem zbyć się nie da. Mieć zawsze trzeba w pamięci różnicę między zwykłą premierą importowanej sztuki, a uroczystością i świętem teatralnem, jakim istotnie winno być wystawianie klejnotów poezyi polskiej. Jedną ich miarą wysiłku mierzyć nie wolno. I lepiej by może się nie porywać li tyl-

ko z dobrą wolą na te nasze słońca poetyckie, skoro się nie rozporządza odpowiednim materiałem wykonawczym. Powyżej omówione wieczory w teatrze na Oboźnej tego właśnie braku sił aktorskich fatalnie dowiodły.

Wł. Kłyszewski.

III. Organizacja robót publicznych i kwestya robotnicza w prasie warszawskiej.

Okoliczności od nas niezależne, które w ostatnich czasach powstrzymywały powolny i niepewny bieg całego życia ekonomicznego Królestwa, wysunęły na pierwszy plan zawsze palące zagadnienie podtrzymania klasy robotniczej w Polsce. Zagadnienie to w danej chwili zostało sprowadzone do formy obowiązku narodowego, wymagającego okazania niezbędnej i bezzwłocznej pomocy tej warstwie społecznej, której byt najbardziej zagrożony został przez kryzys przemysłowo-ekonomiczny, przeżywany obecnie. Całkowite unieruchomienie fabryk, t. j. usunięcie sposobu zarobkowania z jednej strony, a z drugiej — niebываła drożyzna przedmiotów pierwszej potrzeby, wytworzyły najodpowiedniejsze warunki do powolnej śmierci głodowej dla robotników i ich rodzin. Na pomoc powinna była przyjść świadoma celowa akcja społeczna, rozwinięta nie w imię filantropii i urzeczywistniona nie w formie zasiłku-jałmużny, lecz zrealizowana pod postacią dostarczenia pracy zastępom jej spragnionych, umożliwiona i uświęcona poczuciem ścisłego narodowego współobywatelstwa. Nasza prasa codzienna zdawała sobie sprawę nie tylko z potrzeby pomocy, lecz również i z jej kierunku. Do ratowania głodnych przez umożliwienie im pracy przy robotach publicznych nawoływać zaczęły „unisono” takie dzienniki, które rzadko na zgodny śpiew chóralny zdobyć się mogą. A więc np. *Gazeta Poranna* (31-go sierpnia) stwierdza niebezpieczeństwo i wskazuje środki ku jego zmniejszeniu, zgodnie z poglądami *Kuryera Warszawskiego* (1-go września—art. p. Ed. Dutlingera), na potrzebę szukania „ratunku w pracy”, a nie w filantro-

pii i na obowiązek społeczeństwa rozłoczenia „opieki nad pracą i obrony praw nabytych przez pracę długoletnią”.

Do chóralnego rowijania tematu: „chleba i pracy” przyłączył się również i *Przegląd Poranny* (z d. 9-go września), który od czasu „pospolitego ruszenia” swoich redaktorów i wydawców, walczy z K. O. m. Warszawy: ta orientacja ma, zdaje się, być dowodem troskliwej pieczy o dobro robotników, traktowanych po macoszemu i bez zrozumienia ich potrzeb przez instytucje obywatelskie o charakterze burżuazyjnym.

Jak na złość potrzeba chwili — i głosy prasy — wkrótce znalazły oddźwięk w łonie K. O. i przy komitetowej sekcji pracy została utworzona „komisya robót publicznych” dla opracowania planów robót, które choć do pewnego stopnia mogłyby łączyć zasadnicze zadanie — dostarczenia pracy, z drugim — pobocznem w danej chwili — wykonania robót rzeczywiście pożytecznych dla miasta. Wskazówki dla komisji oraz przyjęty przez nią plan robót, przytaczamy za jedną z gazet:

„W wyborze robót Komisya kierować się powinna zasadami: dawania zajęcia jaknajwiększej liczbie ludzi, przy zużywaniu jaknajmniejszej ilości materyałów, oraz wykonywania robót istotnej użyteczności publicznej. Pewna liczba robót projektowanych jest w takim stanie, że może być rozpoczęta natychmiast i ta została od razu przekazana do wykonania w porozumieniu z Sekcją Budowlaną Zarządu Miejskiego, inne zaś potrzeby wymagają szczegółowego opracowania ze strony technicznej, prawnej i finansowej i temi zająć się musi Komisya robót publicznych.

Komisya wspomniana ustaliła, iż narazie przystąpić można do robót następujących:

- 1) Sypanie wybrzeża w porcie w łasze Wiślanej; znajdzie tu stopniowo zatrudnienie około 200—250 ludzi dziennie, przez trzy miesiące.
- 2) Wykończenie robót plantacyjnych w parku Praskim.
- 3) Takież roboty w parku Skaryszewskim.
- 4) W nowym parku na Powiślu.
- 5) Urządzanie dróg w parku Młocińskim, gdzie można będzie zatrudnić około 300 ludzi dziennie, przez 3 do 4 miesięcy.
- 6) Rozbiórka zburzonych części mostu Ks. Józefa; znajdzie tu zatrudnienie znaczna liczba robotników i rzemieślników.
- 7) Wykonanie ul. Moskiewskiej na Saskiej Kępie.

Poza tem istnieje cały szereg robót, wymagających planów i ponowania pewnych trudności, a mianowicie:

- 1) Bicie na tłużeń szabru ze zburzonych fortów, wymaga to jed-

nak przychyłnej decyzji władz; 2) urządzenie zjazdu na Powiślu, od wiaduktu przy ulicy Smolnej, przez posesję Czerwonego Krzyża; 3) pobudowanie tramwajowych linii konnych do miejscowości podmiejskich, jak Ząbki, Młociny, Ochota, Brudno i t. p.; 4) uregulowanie i uporządkowanie zaniedbanych ulic, jak rozszerzenie ul. Parkowej, przedłużenie ul. Wspólnej, Alei Belwederskiej; rozszerzenie i uregulowanie ul. Grochowskiej, Petersburskiej, Śliwickiej, Wileńskiej i innych; 5) urządzenie szeregu plantacji miejskich pod Cyta-
delą i na Kamionku; 6) naprawianie dróg kołowych pod miastem i sypanie nowych; 7) uruchomienie kolejek dojazdowych; 8) wykonanie robót sanitarno-kanalizacyjnych na przedmieściach i t. d.; z tem stałoby w związku uruchomienie cegielni. Plany wszystkich prac wykonane będą przez Komisję robót przy sekcji pracy K. O. m. W., przy udziale członków Sekcji Sanitarnej i Prawnej i obywateli zawodowców.

Komitet O. m. W., tworząc wspomnianą Komisję przy Sekcji Pracy, zamierzył budżetowo znaczną miesięczną sumę na związane z projektowanymi robotami wydatki, wyznaczając na razie 100.000 rb. na pierwsze roboty."

Oryginalny projekt został złożony K. O. w formie memoriału przez p. J. Skokowskiego; zwrócił on uwagę na leżące odłogiem grunty podmiejskie i, mając na oku drożyznę produktów wiejskich, opracował plan zużytkowania niedochodowych terenów. *Goniec wiecz.* (z d. 4-go października) streszcza memoriał p. Skokowskiego:

„W memoriale tym na wstępie zaznaczono, że brak pracy z jednej strony i brak produktów spożywczych, który na rok przyszedł może się spotęgować, skłania do zwrócenia uwagi K. O., iż najwłaściwszym zużytkowaniem ziemi i zastosowaniem pracy dla tysięcy bezrobotnych, byłoby w chwili obecnej uprawianie terenów w okolicach Warszawy. Załączony spis wykazuje 1.350 morgów, dotychczas zarejestrowanych. (Uprawianie gruntów rządowych wymagałoby uprzedniej zgody władz niemieckich).

Uprawa terenów wyżej wzmiankowanych dostarczyłaby narazie pracy dla 1.000 ludzi w ciągu 40 dni, t. j. do pierwszych mrozów.

Projektowane roboty wymagają nakładu rb. 200.000, z czego w sezonie obecnym tylko rb. 40.000, reszta zaś na wiosnę, na kilka miesięcy przed zbiorami, czyli prawie bezpośrednio przed zwrotem sum wyłożonych.

W razie otrzymania nawozu od miasta, suma nakładu zmniejszy się do 150 tysięcy, z czego 80 proc. przypadnie na robociznę.

Uprawa roli pod Warszawą przy obecnych cenach produktów spożywczych dałaby dochód bardzo znaczny, licząc nawet ceny bliższe do normy (do czego przyczynić się powinna właśnie uprawa terenów podwarszawskich), dochód podług sporządzonego obliczenia wynosiłby około 67.000 rubli. W najgorszym zaś razie zupełnie pewny jest zwrot kosztów uprawy w pierwszym już roku eksploatacji gruntów.

Uprawa tych terenów na rok przyszły dać może około 25.000 pudów zboża i 400.000 pudów warzyw, które instytucje gospodarcze Komitetu Ob. otrzymają bezpośrednio bez opłaty kosztów drogiego pośrednictwa.

Prace około uprawy terenów podmiejskich należałoby podjąć prawie wyłącznie za pomocą rąk ludzkich, z zastosowaniem pługa i siły pociągowej końskiej tylko w razach koniecznych, a to celem dostarczenia pracy jaknajwiększej ilości ludzi.

Projektodawcy zaznaczają przytem, że wobec bliskiej zimy, każdy dzień zwłoki pociągnie za sobą skutki nieobliczalne i że wobec tego odroczenie wykonania projektu na czas dłuższy równoznaczne będzie z pogrzebaniem całej sprawy.

Do projektu złożonego dołączono szczegółowy wykaz gruntów, nadających się pod uprawę, rozklasyfikowanych przez rzeczoznawców, oraz obliczenia kosztów uprawy i spodziewanych plonów".

Ponieważ w bieżącym przeglądzie chodzi nam głównie o ustalenie zasad, promulgowanych w prasie w celu prawidłowego postawienia kwestyi pomocy dla robotników i zorganizowanie robót, uważamy za celowe również wskazać poglądy Zarządu miejskiego na zajmującą nas sprawę. Cytujemy dla informacji notatkę *Kur. Warsz.* (z d. 22-go września):

„Zarząd miejski uchwalił, aby wszystkie jego sekcye starały się wykonywać roboty miejskie w ten sposób, iżby miasto możliwie bezpośrednio wchodziło w stosunki z rzemieślnikami i robotnikami; obecnie zaś projektują dalszą uchwałę następującą:

„O ile roboty powierzane być mają przedsiębiorcom za określoną cenę, wtedy przedsiębiorcy winni uprzednio złożyć oferty ze wskazaniem robót, niezależnie od sumy, za którą podejmują się wykonania robót, także i przyjętego przez nich pod uwagę w ofercie wynagrodzenia dziennego tych kategorii robotników, jakich przewiduje się powołać do tych robót.

Przy porównaniu tych ofert i powierzaniu robót pierwszeństwo przy równych innych warunkach należy oddać temu przedsiębiorcy, który w ofercie wykaże wyższe ceny dziennej płacy robotniczej.

Przedsiębiorca, któremu robota powierzona będzie, winien wypłacać robotnikom płacę dzienną nie niższą od tej, która przez niego była podana w ofercie. Przez ten warunek jednak przedsiębiorca nie jest skrepowany w wyborze, powołaniu lub zwalnianiu robotników.

Konieczność takiej uchwały motywuje się tem, że warunki pracy są dla warstw robotniczych nader krytyczne, istnieje wielka podaż rąk, a zarazem brak pracy. Ci więc, którzy posiadają w rękach swych robotę, są w możności dyktować dowolnie warunki. W takiej więc chwili, gdy wszystkie warsztaty pracy stanęły i gdy prawie jedynie tylko zarząd miasta może roboty udzielać, winien on zwracać uwagę na to, aby roboty oddawane przez niego przedsiębiorcom, nie wywoływały obniżki płacy roboczej".

Komitet Obywatelski powyższą uchwałę zatwierdził.

Poza organizacją robót publicznych na szpaltach dzienników znalazło się odbicie rozłamów i sporów partyjnych, które w łonie warstw robotniczych ze szczególną siłą wystąpiły pomiędzy różnymi organizacjami ściśle klasowymi. Organizacje te dzielą się na trzy grupy: 1) związki robotników chrześcijańskich, 2) związki zawodowe polskie, 3) związki zawodowe klasowe (marksowskie), w których udział przeważny biorą partie: socjal-demokratyczna i żydowski „Bund”. Kwestya udziału robotników w nowo utworzonej inspekcji fabrycznej oraz w pracach K. O. m. Warszawy za pośrednictwem wybranych *ad hoc* delegatów, wywołała wśród robotników całą burzę teoretyczną o prawomyślność robotniczo-socjalistyczną oraz o „właściwą” reprezentację interesów proletaryatu.

Powodem do zakłócenia spokoju (ideowego) posłużyły tym razem nie zakusy kapitalizmu, lecz pewne samodzielne kroki jednej z organizacji robotniczych, która złożyła Komitetowi Ob. t. zw. „memoryał 5.000”, następującej treści (*Kur. Warsz.* z 31-go sierpnia r. b.):

„Robotnicy warszawscy, pozbawieni możności obrony swych interesów gospodarczych w instytucjach obywatelskich, wzywają komitet do energicznej akcji, któraby zażegnała zgubne dla klasy robotniczej skutki przymusowego bezrobocia.

Żądamy:

Przedstawicielstwa robotniczego we wszystkich instytucjach gospodarczych. Udziału robotników w inspekcji fabrycznej i giełdach pracy. Celem walki z obecnym przesileniem gospodarczym, podajemy następujące środki: Spis bezrobotnych, uruchomienie fabryk, roboty publiczne, moratorium mieszkaniowe dla bezrobotnych, wypłaty prawem przepisanych należności, robotnikom, którzy w nich pracowali; wprowadzenie postępowego, miejskiego podatku od dochodów na korzyść pozbawionych pracy; ścisłe przestrzeganie obowiązującej taksy na produkty spożywcze i opał; hurtowe zakupy przez komitet obywatelski żywności i opału dla robotników i sprzedaży ich po cenie kosztu; wydawanie przez komitet obywatelski zapomóg istniejącym i organizującym się samorządnym kuchniom robotniczym; placę milicyantom, pozbawionym zajęć zawodowych; kontrolę nad emigracją robotniczą do Austrii i Niemiec".

Prezydium komitetu zapewniło deputację, że potrzeby warstw robotniczych stanowią troskę komitetu, oraz, że żądania komitetu rozważy, w celu możliwego ich urzeczywistnienia. Propozycję delegacji, dotyczącą sposobu wyboru trzech reprezentantów do instytucji gospodarczych miejskich, komitet postanowił rozważyć i w razie potrzeby wyraził gotowość wystąpienia do władz w sprawach, mających na celu polepszenie bytu robotniczego".

Zanim jeszcze nastąpiła jakakolwiek odpowiedź ze strony Komitetu, związki „zorganizowane" (a pod tem mianem niektóre pisma rozumieją tylko „organizacje" przez siebie popierane, nie uznając zrzeszeń o innych zabarwieniach) podniosły protest przeciwko „anonimowości" petycji... podpisanej przez 5.041 robotników oraz przeciwko jej „prawicowemu" charakterowi (czytaj „narodowemu"). Dobrze zwykle w „międzynarodowych" dążeniach robotniczych warstw poinformowany *Przegląd wieczorny* (z d. 5-go września) tak przedstawia istotę protestu:

„Petycja, z jaką „grono robotników z różnych lachów" zwróciło się do Komitetu Obywatelskiego, przyjęta została przez robotników zorganizowanych bardzo krytycznie.

Dowodzą tego zapadłe w ciągu ostatnich dni uchwały zebrań ogólnych związków robotników metalowych, skórzanych, piekarskich, mularzy i t. d., uchwały, które streścić się dadzą w następujących słowach rezolucji metalowców:

„Zebranie uważa, że tylko jednolita akcja robotnicza, przeprowadzona przez organizacje klasowe proletariatu, może stworzyć siłę,

która zmusi burżuazję do ustąpienia przed żądaniami robotniczymi, dlatego też zebranie jaknajostrej potępią odosobnione wystąpienia grupy robotniczej, która łamiąc linię walki, jaką klasa robotnicza prowadziła od początku wojny, zwróciła się na własną rękę do Komitetu Obywatelskiego, wysuwając propozycję utworzenia samodzielnego przedstawicielstwa w łonie K. O. Zebranie uważa, iż podobna akcja może przynieść korzyść tylko klasom posiadającym, wzywa tych robotników do przyłączenia się do ogólnej akcji klasy robotniczej i wstąpienia do związków zawodowych".

Uchwały innych związków zwracają uwagę na bezimiennosc tej akcji; wprawdzie bowiem pod petycją jest 5.041 podpisów, to jednak autorowie petycji są dotychczas bezimienni.

Stwierdzić zresztą trzeba, że petycja owa ma i poparcie:

Otrzymaliśmy np. z datą 28-go sierpnia odezwę „Warszawskiego Komitetu Robotniczego Polskiej Partii Socjalistycznej" (byłej Frakcji Rewolucyjnej), która przytacza tekst dosłowny petycji i charakteryzuje ciężkie położenie robotników, zaznaczając w końcu:

„Dlatego też Polska Partya Socjalistyczna, popierając wszystkie żądania, wyłożone w petycji do Kom. Obyw., wzywa K. O., by jaknajprędzej zajął się przeprowadzeniem środków zaradczych, które mu robotnicy przedkładają. Wielotysięczne rzesze ludu warszawskiego muszą być wyratowane z tej otchłani nędzy i rozpacz, w jakiej dziś są pogrążone".

Poparło też petycję ową i 7 „polskich" związków zawodowych, które na naradzie, odbytej d. 2 b. m., powzięły uchwały następujące:

Uchwała I. W tragicznych chwilach, jakie przeżywa nasz naród, my, robotnicy polscy, czujemy, cierpimy i współdziałamy z całym narodem w oczekiwaniu lepszego jutra.

Zważywszy, że klasa robotnicza najbardziej odczuwa dzisiejszy kryzys, P. Z. Z. stojąc na gruncie solidarności robotniczej, przez instytucje robotnicze i obywatelskie, cały wysiłek skierowują ku zapobieżeniu ciężkim warunkom ekonomicznym i brakowi pracy wśród robotników.

Uchwała II. Zważywszy, w jak trudnych warunkach Komitet Obywatelski prace swoje w kierunku zmniejszenia obecnej niedoli całego narodu prowadzi, P. Z. Z. pozostają z uznaniem dla dotychczasowych prac K. O., pozostawiając sobie prawo krytyki poszczególnych organów (sekcji) K. O., które niejednokrotnie nie stały na wysokości instytucji obywatelskich.

Uchwała III. W celu nadania powagi i zaufania K. O., w masach ludowych, P. Z. Z., uważając za nieodzowne przedstawicielstwo robotników w K. O. i sekcjach tegoż, mających styczność z organizowaniem i regulowaniem życia robotniczego.

W tych sprawach P. Z. Z. solidaryzuje się z memoriałem złożonym K. O. przez komisję 9-u, stwierdzając to współdziałaniem w zbieraniu i podpisami członków P. Z. Z. pod tym memoriałem.

Uchwała IV. W celu szybkiego uregulowania spraw robotniczych, zdecydowania form współpracy robotników w sekcji pracy, jako też form wyborów przedstawicieli robotniczych, konferencja P. Z. Z. wybrała komisję, która ma się porozumieć z wszystkimi związkami zawodowymi i komisją 9-u, ażeby wspólnie opracować i przeprowadzić wybory delegatów i udział robotników w życiu publicznym.

Wiemy więc nareszcie, kto popiera akcję petycyjną i kto w niej bierze czynny udział; wiemy też, że petycja z 5.041 podpisami ułożona została pod hasłem „nadania powagi i zaufania K. O. w masach ludowych”.

Jak słyszeliśmy, pod petycją są także podpisy członków Stowarzyszenia robotników chrześcijańskich.

A więc zwolennikami petycji są organizacje prawicowe robotników, przeciwnikami zaś jej związki zawodowe, stojące na gruncie walki klasowej.

Otóż jasno i wyraźnie stwierdzić trzeba, że na gruncie walki klasowej stoi teraz osamotniony *Przegląd Poranny*. Nawet *Nowa Trybuna*, która występuje pod hasłami: „solidarność — organizacja — marksizm”, jest bardziej pokojowo usposobiona, jak dotąd, niż redakcja z Placu Zielonego. Pozatem zachęty do walki klasowej w obecnej chwili spotkać się nam nie udało. Obowiązki swoje doskonale zrozumieli zarówno przemysłowcy nasi, którzy obłożyli się dobrowolnym podatkiem „głódowym” na rzecz robotników, jak i instytucje obywatelskie, dążące do zaspokojenia potrzeb warstw najbiedniejszych.

Odpowiedź na petycję, udzielona przez prezydium K. O. delegacji robotniczej, w relacji *Gazety Porannej* (z d. 16-go września) brzmi w następujący sposób:

1) Komitet, jak to już nieraz oświadczył, podziela zdanie, iż wskazanym byłby udział robotników w pracach Komitetu i jego organizacjach. Dotychczas jednak Komitet nie mógł tego osiągnąć, ponieważ nie można było dokonać wyboru przedstawicieli, którzyby reprezentowali cały ogół robotniczy bez względu na zawód, przekonania i wyznanie. Obecnie Komitet, otrzymawszy od innej grupy robotników projekt przeprowadzenia wyborów przedstawicieli całej klasy robotniczej, przedłożył ten projekt władzy z prośbą o decyzję.

2) Komitet rozwinął starania celem jaknajrychlejszego rozpoczęcia i prowadzenia robót publicznych. W tym celu przy Sekcyi Pracy Komitet utworzył Komisję Robót Publicznych, wstawił do zamierzeń budżetowych znaczną sumę, a na początek wyasygnował 100.000 rubli. Dokładny program podany będzie do wiadomości publicznej.

3) W sprawie uruchomienia przemysłu Komitet łącznie z Towarzystwem Przemysłowców rozwija odpowiednie zabiegi.

4) W sprawie wypłat przez fabryki należności i zapomóg robotnikom Komitet zwrócił się do Towarzystwa Przemysłowców z prośbą o okazanie pomocy w rozstrzygnięciu tej kwestyi.

5) Sprawę umiastowienia zakupów i sprzedaży wszelkich artykułów spożywczych Komitet będzie mógł rozwinąć po otrzymaniu od delegacyi robotników odpowiedniego memoriału.

6) W sprawie zapomóg dla kuchen robotniczych Komitet powziął następującą decyzję: „wszystkie tanie kuchnie, a więc i samorządne robotnicze, winny być prowadzone jednakowo pod względem jadła, z jednakową dopłatą do sprzedawanego obiadu i z ujednostajnionym sposobem kontroli wydawanych obiadów bezpłatnych”.

7) Ogłoszenie obecnie moratorium mieszkaniowego Komitet uważa za niewskazane i niemożliwe do przeprowadzenia. Sprawa rozstrzygana być może jedynie przez sądy, które w każdym poszczególnym uwzględniać winny krytyczne położenie robotników. Po udzieleniu tych wyjaśnień delegaci przedstawili swoje wnioski, które Komitet rozważy; w kwestyi zaś kuchen odbyć się ma narada specjalna.

Z głosów, programowych w kwestyi robotniczej, zanotujemy po kolei wypowiedzenia się naszych dzienników, nawołujących do zaniebdania walki klasowej — na teraz i do ustalenia współpracy wszystkich warstw narodowych.

Kuryer Warszawski (24-go września—„Robotnicy i agitacja”) zachęca do zgody społecznej:

„Co się tyczy ogólnej sytuacji gospodarczej, której przesilenie odbiło się tak ciężko na sferze robotniczej, to ją charakteryzuje fakt *zupelnej solidarności interesów fabrykantów i robotników*. I jedni i drudzy zainteresowani są w uruchomieniu przemysłu; i jedni i drudzy nie pragną niczego innego, tylko możliwości *przetrvania* okresu wojny.

Trudno wyobrazić sobie atmosferę, mniej w zasadzie obciążoną antagonizmami wewnątrzno-społecznymi, więcej przepełnioną dokumentami solidarności społecznej.

Niestety, w naszych kołach robotniczych zawsze się znajdzie jakiś posłuch dla hasel niedorzecznych i szkodliwych, wręcz wymierzonych przeciwko interesom samych robotników. Tak więc i teraz, kiedy robotnikom powinno jaknajbardziej zależeć na utrzymaniu i wzmocnieniu życzliwej dla nich atmosfery społecznej, znajdują się agitatorowie, kładący im w głowę katarynkowe nawoływania do „walki klasowej” i szerzący zamęt w samych sferach robotniczych”.

P. Józef Wascrug („Robotnik”—*Nowa Gazeta* z d. 4-go września) proponuje udział wszystkich warstw społecznych „przy odbudowie poszarpanego życia narodowego” i podnosi dążenia, przychylnie dla warstw robotniczych w łonie K. O. i w jego działalności — od czasu sformułowania żądań robotników oraz zmanifestowania chęci współpracy w Komitecie:

„Organizacja społeczeństwa tylko wtedy stanąć może na wysokości zadania, a już szczególnie tak wielkiego, jak w dobie obecnej, jeśli tworzą ją i prowadzą reprezentanci wszystkich klas i warstw społecznych. Inaczej, nawet przy najlepszej woli, dzieło tej organizacji będzie tamowane i paczone przez ustawiczne błędy i nieporozumienia. Żadna klasa nie może być wyłącznie przedmiotem takiej lub innej, dobrowolnej opieki czy łaski, lecz wszystkie winny współtworzyć gmach społecznej samopomocy. Wtedy dopiero gmach ten oprze się na mocnych i trwałych fundamentach.

Zasada ta od chwili wybuchu wojny nie była przestrzegana w stosunku do klasy robotniczej. W wielki krąg pracy obywatelskiej robotnik nie został wciągnięty i dlatego jego potrzeby nie są zaspakajane w sposób należyty i, nawet w dzisiejszych okropnych warunkach, możliwy.

Wielce dodatnim zjawiskiem jest przychylny stosunek przedstawicieli miasta do obecnych przedłożeń delegacji robotniczej. Wyrażono zgodę na przedstawicielstwo robotników w Komitecie Obywatelskim i jego sekcjach, uznano za słuszny udział ich w inspekcji fabrycznej i giełdach pracy, nadto zgodzono się na utworzenie przy K. O. sekcji spraw robotniczych, któraby skupiała w swem ręku działalność K. O., będącą w związku z organizacją robotniczego życia.

Jeśli się te sprawy ułożą pomyślnie, będzie to poważne ulepszenie wielkiej szkoły samodzielności społecznej, jaką dziś przechodzimy.

Przy odbudowie poszarpanego życia narodowego, obok męża stanu, polityka i pedagoga, obok przemysłowca i włościanina, ma i robotnik swoją doniosłą pracę do spełnienia”.

Tak jak „związki klasowe” znalazły swoją trybunę, tak

i „Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich” i jego „owocna” działalność specjalnie przypadła do gustu *Gazecie Porannej* („Bez rozgłosu a owocnie” z d. 22-go września):

„Z uznaniem wielkim powinniśmy ocenić pracę „Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich”, które pomimo, iż potrzeby wojenne zabrały mu trzecią część członków, skupia jeszcze kilka tysięcy robotników i wsparte o zasady karności obywatelskiej, ładu społecznego i szerokiej samopomocy robotniczej, daje swym członkom pomoc materialną i oświatową. Nie agitując krzykliwie i po warcholsku, nie wzmagając i tak podnieconego nastroju mas, owszem, wyraźnie oświadczając, iż stoi na gruncie solidarności obywatelskiej, krząta się ono żwawo około interesów swoich członków. Rozdaje zapomogi, *nabywa artykuły spożywcze z pierwszej ręki* i po cenie kosztu członkom sprzedaje, zabiega o wynalezienie pracy dla nich, *umieszcza ich obecnie na prowincyi* po dworach i chatach, prowadzi kilka tanich kuchni i dwie szkoły gospodarstwa domowego dla córek robotników, daje porady prawne, urządza odczyty i pogadanki. Pomoc więc daje wielką i w chwili obecnej nieocenioną.

W chwili, gdy, niestety, bardzo wielu robotników daje się pociągać krzykliwej a bezowocnej agitacji socjalistycznej, pozytywna i cicha praca „Robotników Chrześcijańskich” wykazuje coraz lepsze owoce”.

(D. n.)



Kierownik naczelny wydawnictwa: Dr. AUGUST PORFARSKI.
Redaktor odpowiedzialny i kierownik literacki: _____
Dr. WŁADYSŁAW KŁYSZEWski

PRENUMERATA «SFINKSA» wynosi: rb. 9 rocznie, rb. 4 kop. 50 półrocznie i rb. 2 kop. 25 kwartalnie w Warszawie, a rb. 10 rocznie, rb. 5 półrocznie i rb. 2 kop. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową.

CENA OGŁOSZEŃ W «SFINKSIE»: Na stronicach poprzedzających tekst literacki za 1 stronę 60 rb., za $\frac{1}{2}$ str. 30 rb., za $\frac{1}{4}$ str. 15 rb. Na stronicach po tekście literackim za 1 stronę 50 rb., za $\frac{1}{2}$ str. 25 rb., za $\frac{1}{4}$ str. 15 rb.

Biuro Redakcji «SFINKSA» mieści się przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 15, telefon 79-37.

Redaktor przyjmuje interesantów we wszelkich sprawach redakcyjno - literackich w poniedziałki, środy i piątki od godz. 4-ej do 6-ej pp. w kamienicy Baryczków (Stare Miasto 32) tel. 99-88.

Adres Administracji i ekspedycji «SFINKSA»: Zgoda 1, Telefon 73-22. Prenumeratę i przesyłki pieniężne adresować należy na Zgoda 1.

Cena zeszytu 1 rb.

PRENUMERATA «SPINAKSA» wynoszą: 1) 9 tocznic,
1) 4 kop. 50 półrocznie 1) 2 kop. 25 kwartalnie w War-
szawie 2) 10 tocznic, 1) 2 półrocznie 1) 2 kop. 50
kwartalnie z przesyłką pocztową.

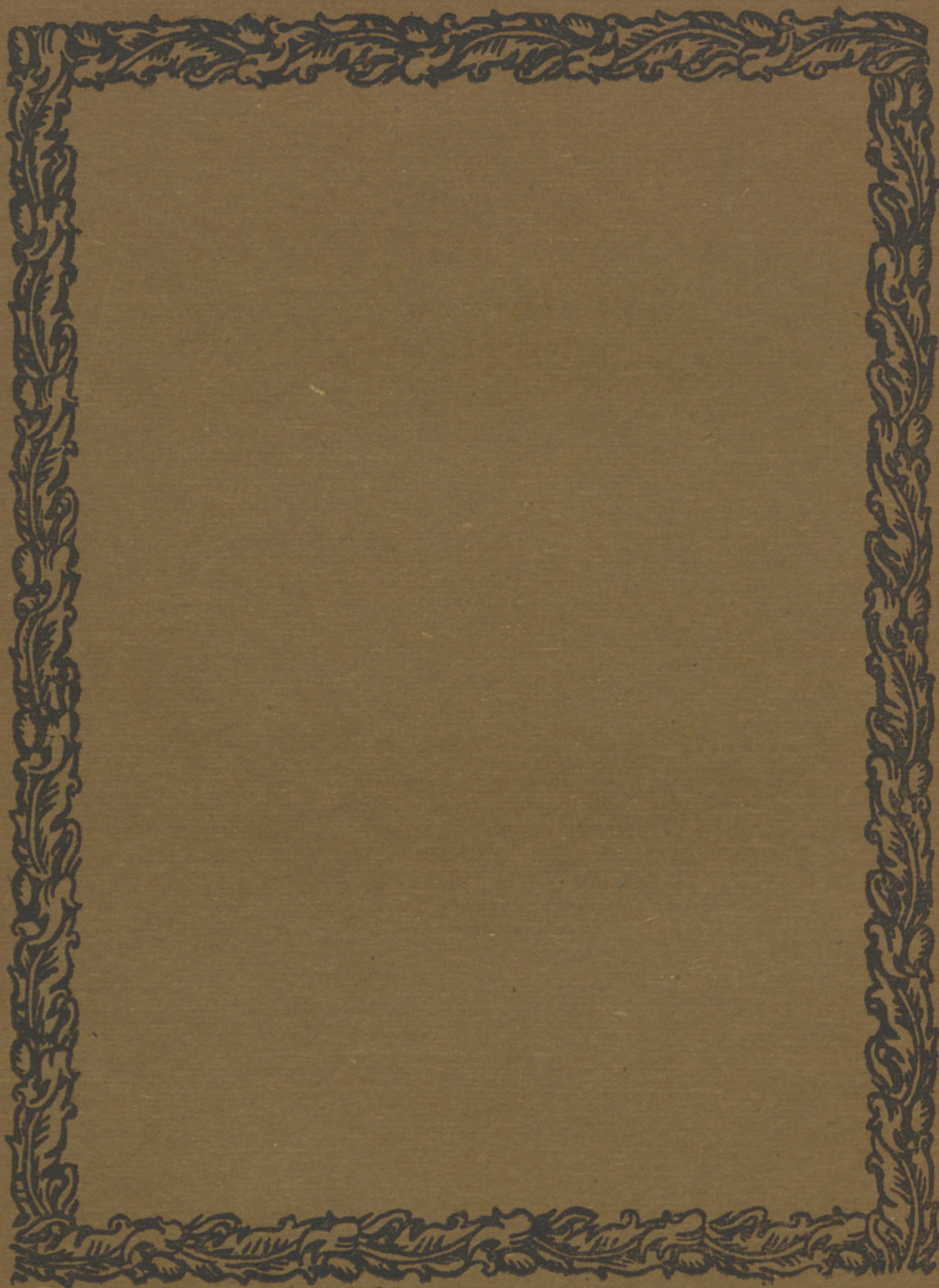
CENA OGŁOSZEŃ W «SPINAKSIE»: Na stronach
poprowadzonych przez literacki 25 1 strona 60 rub. 25 str.
30 rub. 25 str. 15 rub. Na stronach po tekście liter-
kim 25 1 strona 50 rub. 25 str. 25 rub. 25 str. 15 rub.

Biurow Redakcji «SPINAKSA» mieści się przy ulicy Marszał-
kowskiej Nr. 15. telefon 79-17.

Redaktor przyjmuje interesantów we wszelkich sprawach
redakcyjno-literackich w poniedziałki, środy i piątki od
godz. 4-ej do 6-ej pp. w kamienicy Baryczków (Stare Mia-
sto 32) tel. 99-88.

Adres Administracji i korespondencji «SPINAKSA»: Zgor-
zele 15, telefon 73-22. Prenumeratę i przesyłki pieniężne adre-
sować należy na Zgorzele.

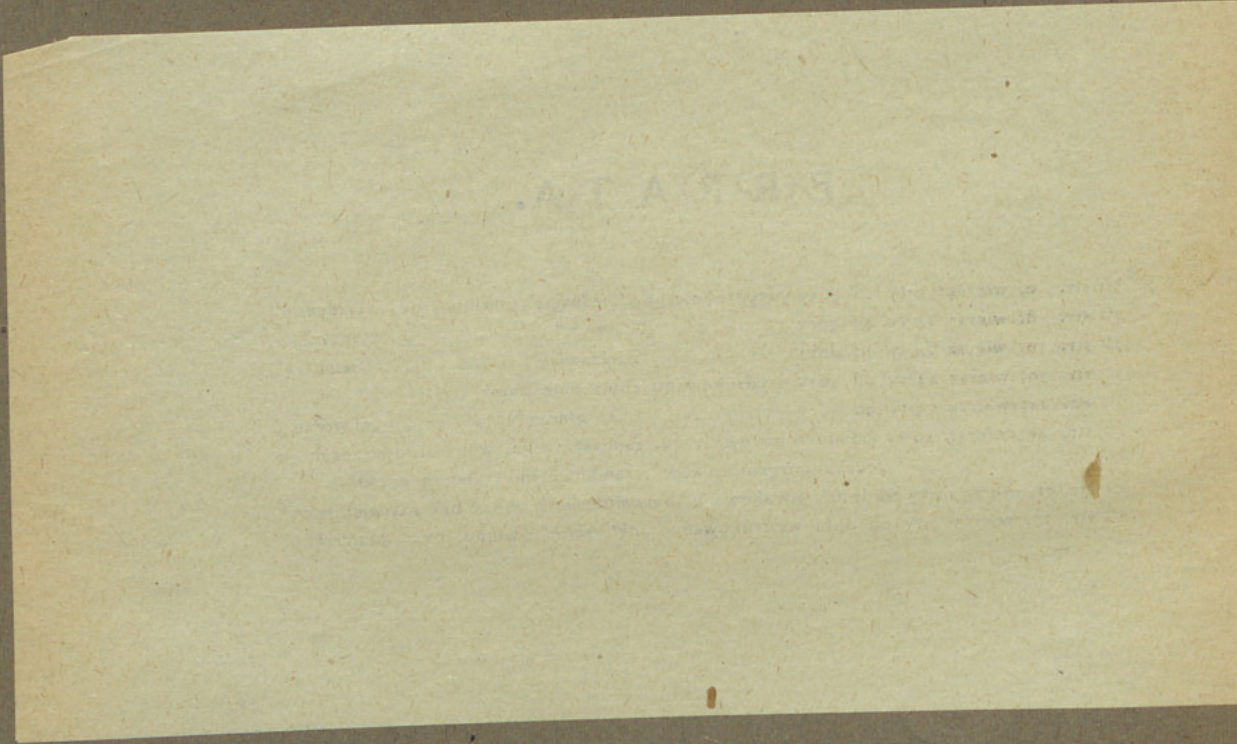
«SPINAKSA»
Cena zeszytu 1 rub.



SFINKS



1915



PRENUMERATA «SFINKSA» wynosi: rb. 9 rocznie, rb. 4 kop. 50 półrocznie i rb. 2 kop. 25 kwartalnie w Warszawie, a rb. 10 rocznie, rb. 5 półrocznie i rb. 2 kop. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową.

CENA OGŁOSZEŃ W «SFINKSIE»: Na stronicach poprzedzających tekst literacki za I stronę 60 rb., za $\frac{1}{2}$ str. 30 rb., za $\frac{1}{4}$ str. 15 rb. Na stronicach po tekście literackim za I stronę 50 rb., za $\frac{1}{2}$ str. 25 rb., za $\frac{1}{4}$ str. 15 rb.

Biuro Redakcji «SFINKSA» mieści się przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 15, telefon 79-37.

Redaktor przyjmuje interesantów we wszelkich sprawach redakcyjno - literackich w poniedziałki, środy i piątki od godz. 4-ej do 6-ej pp. w kamienicy Baryczków (Stare Miasto 32) tel. 99-88.

Adres Administracji i ekspedycji «SFINKSA»: Zgoda 1, Telefon 73-22. Prenumeratę i przesyłki pieniężne adresować należy na Zgoda 1.

Cena zeszytu 1 rb.

SFINKS

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRA-
WOM SPOŁECZNYM, LITERATURZE
I SZTUCE

VI — 1915

Rok VIII — ogólnego zbioru Nr. 82.

SPINKS

MIESIĘCZNIK POSWIECONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, LITERATURZE I SZTUCE



999

Za pozwoleniem cenzury wojennej niemieckiej.
Tłocznia L. Bogusławskiego, Warszawa, Świętokrzyska 11.

K366/49

dusz naszych" żywo stał zawsze w pamięci tych, którzy w czasach najsroźszej burzy nawą ojczystą wytrwale sterowali.

Takie tedy znaczenie oświaty, która nietylko jest w Polsce czynem społecznym, ale i potężną dźwignią odrodzenia Ojczyzny, nadały jej lata całe ucisku i przemocy. Naród polski, skazany na zagładę, trafnie i szybko ocenił wagę oręża, jakim dlań być mogła oświata. Związał był tedy z nią nadzieje najpromienniejsze i wysiłek nadludzki. Stała się oświata w Polsce jedynym nieomal polem działania, z niej bowiem wiodła droga do wolności. Najlepsi i najdzielniejsi ochotnie swe życie tej właśnie idei poświęcali, szare, bezimienne postacie bohaterskie, które w tej walce o dusze polskie najsroźsze znosiły prześladowania. Pamiętali ci pracownicy Jutra, „iż kto chce naród jaki zagładzić, niech w nim zgasi oświecenia pochodnię" (Staszic). Podawano więc sobie z rąk do rąk, pokolenie pokoleniu tę żagiew płonąca, aby w chwilach najcięższych mroków w Ojczyźnie nie ustawało palenisko pracy.

Naród, który przez wieki całe współżył i współpracował z Zachodem, który swą własną kulturę wykształcił i wyszkolił na źródłach i wzorach najświetniejszych, od chwili zwłaszcza upadku swej państwowości we własnych czynach i we własnych dziejach odnajdywał podniecie i zachętę i wytrwałość. Wielkie i czcigodne imiona zasłużonych Ojczyźnie, praca ich żywotów niestrudzonych drogowskazem mu była i nauką. — I niemożnym był duch narodu w tej walce nierównej, bo wiązał on wysiłek krwawy Jutra z czcigodnym siewem dnia wczorajszego. Nic to, że pracę tę za najcięższą nam poczytano zbrodnię, nic to, że ją stygmatem kar najsroźszych przez stulecie niewoli naszej piętnowano, strzegliśmy jej zazdrośnie, jako najpewniejszej poręki pomyślniejszej doli naszej i jako drogi, wiodącej nas w przyszłość ku odrodzeniu.

Niemasz chyba w Europie narodu, któryby, jak nasz, przeszedł przez tyle udręk i tyle męczarni. Nie dla łatwej dziś krytyki systemu wychowania szkół rosyjskich w Polsce wyznać należy, że miana „szkół" niegodne one były nosić, ale dla napiętnowania takiego systemu zasad polityki rusyfikacyjnej, który za słuszne i za godziwe uznawał walkę nieubłaganą z duszą

dziecka polskiego. Komisya Edukacyjna, jako prawo postępowania uznała, iż „niemasz innego sposobu wyprowadzenia ludu z ciemności i błędu, z pochodzących najwięcej z tego źródła wad i występków, jako nowe pokolenia zaraz w początkach ich życia oświecać, drogę im cnoty ukazywać, a czynną edukacją serca do zamiłowania powinności ukształcać i do wykonywania obowiązków samym skutkiem i zwyczajem wprawiać”.

„Zaraz w początkach ich życia...” Jak strasznie, jak występnie torturowano to właśnie zaranie dzieciństwa polskiego, jak je przemocą wtłaczano w formę obcą, duchowi nienawykłą, jakich podstępów uczono i kłamstw i jakże często zmuszano je bezcześcić uczucia i czyny, które dlań wzorem być winny w kształceniu wrażliwej moralności. Dziś, gdy już przeminęły, z uśmiechem politowania wspominamy te czasy okrutne, w których do walki z posiewem stuleci wstał dziki barbarzyńca, podobny djabłu z bajki Goreckiego, co usiłował skryć przed człowiekiem garść zboża rozsypaną.

*„zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
naplwał i ziemią nakrył i przybił kopytem...
...aż tu wiosną, na wielkie djabła zadziwienie,
wyrasta trawa, kwiecie, kłosa i nasienie”.*

Dzisiejsze usiłowania społeczeństwa w kierunku rozwoju szkolnictwa rodzimego z natury rzeczy oprzeć się muszą o te właśnie wypróbowane tradycje przeszłości. Nie zawiodły nas one, stanowiąc opokę niewzruszoną, na której naród swą przyszłość budował w mrokach. Zasady, jakie zdobyliśmy w okresie szkolnictwa rosyjskiego, winny być dla nas czynnym drogowskazem i na chwilę obecną. Z należytem zrozumieniem wagi tych właśnie tradycji, Komitet Obywatelski m. Warszawy powziął w sprawie oświaty pełną godności uchwałę z dn. 29 października, jasno i wyraźnie regulującą jego stanowisko odnośnie do szkolnictwa polskiego w kraju. Słowa memoriału mają w sobie moc, która płynie z poczucia wiary w słuszność swego stanowiska i są zarazem głosem, którym wołała przeszłość nasza ilekroć razy o sprawę oświaty chodziło:

„Niech władze okupujące zostawiają narodowi polskiemu odpowiedzialność za wychowanie jego dzieci i młodzieży, za usuwanie braków światła wśród dorosłych. Tego nikt za nas lepiej nie zrobi. Tolerancyi wyznaniowej nikt nas uczyć nie potrzebuje, mamy ją w naszej tradycyi. Mamy pełną świadomość, że nie przestaliśmy ani na chwilę być u siebie, w naszej Ojczyźnie”.

Żaden naród, potępiający metody nauczania rosyjskie, nie znajdzie argumentów, któreby zdolne były służyć powyżej wyłożonego stanowiska społeczeństwa do swoich własnych szkół poddać w najmniejszą choćby wątpliwość. Ta bowiem wolność dróg, jakimi kroczą narodowści poszczególne, jest najświetniejszą zdobyczą kultury europejskiej, tak przecież różnej od metod postępowania Rosyi, która wszak chyba winna być w praktykach swych najzupełniej odosobniona.

Dojrzałości społeczeństwa polskiego do prawa stanowienia o swym szkolnictwie nikomu do głowy nie przyjdzie zaprzeczać. Zbyt liczne złożyło ono na to i znakomite dowody. Prace i działalność Komisji Edukacyjnej, pierwszego wszak w Europie ministerium oświaty publicznej, programy nauczania w Liceum Krzemienieckim, działalność oświatowa Staszica i Kołłątaja, reformy szkolne Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, ustawa szkolna z r. 1862, dziesięciolecie szkół polskich prywatnych (1905—1915) i programy ich nauczania, działalność oświatowa Macierzy Polskiej i licznych towarzystw oświatowych, a nadewszystko czujność obywatelska społeczeństwa, wystarczą chyba dla uzasadnienia tezy powyższej. Naród przeto, jak nasz, który przed najcięższą i najboleńszą nie cofnął się ofiarą, aby dla szkoły swej był od czynników obcych niezależnic, który się zdobył na ciężki wysiłek dziesięcioletniego bezrobocia wszystkich szkół w kraju, aby je tylko od wpływów szkodliwych osłonić, który się zdecydował pogasić dobrowolnie ogniska oświatowe i wzgardzić niemi, bo je za szkodliwe dla życia swojego uznał, w chwili obecnej, gdy daną mu jest możność wznoszenia świątyń oświatowych, tylko dobrem własnym kierować się powinien. Wiedząc o tem, iż każda szkoła i każda książka polska to wzmoczenie sił duchowych, których tak dotkliwy

odczuwamy brak, prowadzić będzie i nadal swą pracę oświatową, poczętą nie od wczoraj i nigdy nie zagaśłą. Wzrost bowiem oświaty powszechnej, to wzrost dobrobytu. Tę prawdę i u nas od wieków już rozumiano. Myśmy ją zawsze wyznawali i stosowali w życiu wtedy nawet, kiedy się za to szło na wygnanie. I nie nasza to wina, że praca ta ani tak była rozległą, ani też tyle skuteczną, aby naród cały w powszechnem objąć nauczaniu. I nie my temu pohańbieniu winni, że w narodzie, skwapliwie do kultury zachodnio-europejskiej przyłączanym, w tej właśnie dzisiejszej chwili zapewnień i zakłęb znajduje się 50% analfabetów. — Nadszedł, mniemać wypada, czas, kiedy odpowiedzialność całkowitą będziemy w możności wziąć na siebie niepodzielnie i z nikim się ani zasługą, ani też wstydem nie dzielić. Cokolwiek tedy w tej naszej sferze działania uczynimy, nie powstydzimy się, będzie to bowiem praca rozumna i światła, cele ostateczne na widoku nieustannie mająca i z dobrem narodu, w rozumieniu naszym, zgodna najzupełniej. A że taki właśnie kierunek ta praca nasza przyjmie, niechaj świadectwem będzie uroczysty dzień 15-go listopada, który był przedewszystkiem tryumfem mocy trwania narodu przez stulecie. Uroczysty nastrój i niezwykle podniosły, jaki wśród tłumów zebranych pannał w Katedrze i w Auli, ta mocno sprężnięta nić, jaka nas wszystkich w jedno w dniu owym historycznym związała, mocny i świeży głos odradzającego się narodu, dobyty z piersi, przepełnionej łkaniem radosnem, hołd złożony przeszłości i przyszłości, składane promiennemu Jutru — była to chwila, którą się przez całe życie zapamięta. W dniu tym naród głośno i dostojnie zaświadczył o swem prawie do życia nie głosem wypuszczonego na wolność niewolnika, lecz słowem tysiącletniej kultury i ofiar, jakie dla niej w męce poddańczej nieustannie ponosił.

Dr. Władysław Kłyszewski.

STOSUNEK WŁOŚCIAN POLSKICH DO WOJEN TOCZONYCH W OSTATNICH WIEKACH ISTNIENIA RZECZYPOSPOLITEJ.



d początku wojny z natężeniem śledzimy stosunek do niej włościaństwa naszego zarówno w Galicyi, jak w Królestwie. Niestety, dotąd o ludzie naszym i wojnie mamy wiadomości ułamkowe, niedokładne, tak, iż nie może być jeszcze mowy o poważnych uogólnieniach. Zanim więc stanie się możliwem zdobycie materiału tak ważnego dla zrozumienia

duszy i uczuć ludu naszego, dobrze jest, sądzimy, rzucić okiem w przeszłość, uświadomić sobie, jaki był stosunek włościan polskich do wojen, prowadzonych przez Rzeczpospolitą w ostatnich wiekach, poprzedzających jej upadek.

Utarło się przekonanie, iż lud polski wobec dziejowych wypadków, jakie rozgrywały się w ciągu stuleci na ziemi naszej, zachowywał się biernie. I takie twierdzenie nie jest pozbawione pewnych podstaw, dojsć zaś można do niego drogą zarówno indukcyjną, jak nawet i dedukcyjną. Czynne zainteresowanie się

wypadkami dziejowemi wpływać może tylko z rozbudzenia uczucia patryotycznego, a zaś patryotyzm nie jest bynajmniej uczuciem wrodzonym wszystkim ludziom, czy wszystkim klasom. Rozwój uczuć patryotycznych wymaga pewnej kultury społecznej, bez której nie może człowiek zrozumieć konieczności podporządkowywania interesów swych osobistych, czy rodzinnych, interesom ojczystym.

Niezbitym faktem jest także i to, że do czynnej obrony kraju usposobione są tylko te warstwy, które cieszą się prawami obywatelskimi i względnym dobrobytem: obawa właśnie przed utratą jednego i drugiego, wskutek możliwych przewrotów politycznych, bywa silną pobudką do wyjścia z bierności. W ten sposób niski stan kultury, nędza, brak praw obywatelskich, które według ogólnego mniemania charakteryzują położenie chłopów polskiego w ostatnich wiekach istnienia wolnej Rzeczypospolitej, znajdują się w zupełnej zgodzie z utartymi pojęciami o obojętności włościan wobec wojen, toczonych przez Polskę. Analityczne jednak badania, prowadzone w czasach ostatnich nad dziejami wewnętrznymi Polski, pozwalają stwierdzić, że położenie prawne, kulturalne i materialne włościan polskich było bynajmniej nie jednolite, tworząc nawet w najsmutniejszych czasach skalę całą, zaczynającą się od zupełnej nędzy i poniżenia, kończącą się na względnej zamożności i posiadaniu pewnych praw obywatelskich. Badania nad dziejami Polski pozwalają podobnie stwierdzić, że nie wszędzie i nie zawsze chłopcy zachowywali się biernie wobec wypadków dziejowych, przedewszystkiem wojen.

Warstwą chłopów polskich, którym działo się w Polsce lepiej, byli włościanie dóbr duchownych, miejskich, wreszcie poddani starostw, zwłaszcza pogranicznych. Stosunek ich do ziemi ujęty był w formy prawne, mieli oni zapewnione prawo apelacyi na wyroki sądowe władz miejscowych, tu i owdzie rozciągnięto na nich zaczerpnięty z prawa szlacheckiego zakaz wymierzania kary przed wyrokiem sądowym, posiadali zwyczajnie niezłe uposażenie ziemią, a co za tem idzie cieszyli się względną zamożnością. Trzeba zaś pamiętać, że chłopcy duchowni i królewscy stanowili bardzo znaczny odsetek ludności włoś-

ciańskiej, ilość ich bowiem w epoce rozbiorowej dochodziła do 2 milionów, stanowiąc bez mała trzecią część ogółu ludności włościańskiej¹⁾. Jako przywilej ludzi wolnych, odróżniających się od warstw, pozbawionych praw obywatelskich, uchodziło po wsze czasy prawo posiadania broni. Otóż i pod tym względem poddani niektórych starostw, a nawet czasem i wsi miejskich, znajdowali się w nienajgorszym położeniu. Wiemy naprzykład, że poddani panów rajców miasta Kalisza nie tylko broń posiadali, ale nawet obowiązani byli biedz z bronią w rękę na każde zawołanie, by nie dopuszczać do szkody w majątku swego kolektywnego dziedzica, jak to dobitnie zaznacza ustawa miejska z roku 1583 wydana dla wsi kaliskich²⁾. Poddani pogranicznych starostw leśnych zarówno karpaccich, jak mazowieckich, posiadają broń palną mniej lub więcej oficjalnie. Chłopi też podkarpaccy jeszcze w końcu wieku XVI-go biorą czynny udział w wojnach, jakie toczą podgórcy magnaci bądź to z Rzeczpospolitą, bądź też między sobą. Kmiecy poddani starostwa Lanckorońskiego uzbrojeni w szable i pułhaki, stanowili stałą siłę zbrojną, używaną do obrony zamku Lanckorońskiego. Corocznie w pełnym rynsztunku musieli się oni stawiać na tak zwany monstr, nadto część ich (myśliwi) w uzbrojeniu asystowała podczas procesyi kościelnych³⁾. Jeżeli ogólna powinność wojskowa nie była nawet w dobrach królewskich zjawiskiem często spotykanem, to natomiast od r. 1578 we wszystkich starostwach istniała instytucja wybrańców. Uczestniczyli oni w stałej piechocie łanowej: na każdym 20-tu kmieci włokowych 19-tu, według konstytucyi o wybrańcach, miało siedzieć na gruncie, odrabiać pańszczyznę i wszelkie ciężary także i za 20-go, ten zaś przyodziały w żupan błękitny i delię, wymustrowany odpowiednio, szedł na żołnierkę. W końcu XVI-go wieku ilość wybrańców dochodziła do dwóch tysięcy bez mała. Już w wojnach prowa-

¹⁾ Korzon. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta”. Str. 317.

²⁾ Archiwum miasta Kalisza w Archiwum Głównem w Warszawie. „Libri villanorum”.

³⁾ Archiwum Głównem w Warszawie. Rok 1—8. Str. 195.

dzonych przez Stefana Batorego sprawili się oni dzielnie, zdobywając sobie od króla liczne pochwały i nagrody. W wieku XVII-tym, gdy zaniebano mustrować wybrańców należycie, zaczęto ich używać do służby garnizonowej, stawiając załogą w Krakowie lub w Kamieńcu¹⁾.

Wybrańcy stanowili nieliczny oczywiście odsetek wśród chłopów, ale w razie wojen, rozgrywających się wewnątrz Rzeczypospolitej, stawali w szeregach nie tylko oni, ale wprost popolite ruszenie tych wszystkich kmieci starościńskich, którzy byli uzbrojeni, siedząc w puszczach granicznych. Byli oni ze wszystkich włościan obdarzeni największym przywiązaniem do swobody. Podczas też, gdy absolutna większość chłopów polskich apatycznie znosiła swój los, poddając się bez oporu prawie wzrastającym wymaganiom i ograniczeniom dziedziców, wśród wolnych chłopów kresowych wybuchały od czasu do czasu powstania przeciwko starostom, dążącym do wyzyskiwania ich gospodarczego. Tak więc na Podhalu Tatrzańskim górale na początku wieku XVII-go rozpoczynają kompletną wojnę domową z starostą nowotarskim, Mikołajem Komorowskim²⁾, który myślał, że uda mu się wprowadzić pańszczyznę w takim rozmiarze, jak to było w zwyczaju na dolinach. W tym samym mniej więcej czasie wybucha bunt górali, kierowanych przez swych sołtysów w sąsiadującym z Nowotarszczyzną starostwie Czorszyńskim; do poważnych nieporozumień doszło i w starostwie Lanckorońskim, gdy chłopów uciskać zaczęła pani starościna ze Stadnickich Zebrzydowska. Rozpoczęcie wojny domowej na całym Podgórzu ułatwiła chłopom królewskim ich stała organizacja. Wśród nich znajdowali się zawsze dowódcy, zwani ironicznie przez starostów pryncypałami buntu, którzy kierowali w imieniu gromad akcją przed sądami referendarskimi, a gdy ta zawiodła, prowadzili bractwo góralską do boju ze starostami. W starostwie Nowotarskim rolę takich „pryncypałów” odgrywali zwykle przedstawiciele licznie rozrodzonych

¹⁾ Korzon: „Dzieje wojen i wojskowości”. II. Str. 64.

²⁾ Długopolski Ed. Dr. „Rządy Mikołaja Komorowskiego na Podhalu”.

tam rodów sołtysich. Podobne stanowisko zajmował tam za czasów Władysława IV niejaki Stanisław z Łętowni, sołtys z Czarnego Dunajca, chłop bogaty, herszt wszystkich buntów w górach i dlatego marszałkiem zwany; on to marszałkował podhalanom podczas wojny ze starostą Mikołajem Komorowskim, on odegrał rolę nie małą i podczas buntu Kostki Napierskiego¹⁾. W Lancokorońszczyźnie przy końcu wieku XVII-go rola podobna przypadła karczmarzowi Jakóbowi Śmietance, który „gdy kędy jedzie, przypasuje się do szabli i pistolety z sobą wozi, a góralów 12 i więcej przy sobie prowadzi, którzy mu w drodze asystują i usługują”.²⁾

Bunt Kostki Napierskiego, w którym uczestniczyli górale z całego niemal podgórze Krakowskiego, a który znajdował się, jak wiadomo, w tak ścisłym związku z buntem Chmielnickiego, jest zjawiskiem niesłychanie wymownem. Rzesze całe agentów Chmielnickiego, przebranych za dziadów, za uciekinierów z niewoli pogańskiej przebiegały ziemie Rzeczypospolitej, nawołując chłopów do buntu, obiecując im ziemie pańskie, wzamian za zabicie dziedziców. Pełno było agentów takich nietylko na Rusi Czerwonej, ale docierali oni nawet do Poznania³⁾ i do województwa Kaliskiego⁴⁾. I oto cała akcja Chmielnickiego nie osiąga powodzenia na dolinach, gdzie była większość chłopów ziemiańskich, gdzie był naprawdę silny ucisk ekonomiczny, natomiast wydaje tak bujne owoce na Podgórzu, gdzie przeważały dobra królewskie, w których chłopci cieszyli się, jak wiemy, największą swobodą i względną zamożnością. Ale ci sami górale, którzy w roku 1651 dali się sprowokować Kostce Napierskiemu i agentom Chmielnickiego, nie wahali się przelewać swej krwi za dobro ojczyzny właśnie wówczas, gdy „lacy i mazury” bierne patrzyły na nieszczęścia kraju. Jeszcze w przededniu buntu Kostki Napierskiego pułkownicy królewscy, Ubald i Korf, na-

1) Kubala: „Szkice historyczne”. Serya pierwsza. Kraków, 1896. Str. 320.

2) Arch. Główne: Księgi Referen. 21, str. 99.

3) Kubala: „Szkice historyczne”. Serya I. Str. 332.

4) Kobierzycki Józef: „Przyczynki do dziejów ziemi Sieradzkiej”. Str. 45 — 48.

werbowali wielu śmiałych i zdrowych górali zarówno w Dobrzycach, jak i w Nowym Targu ¹⁾). Ale daleko ważniejsze usługi oddali górale w roku 1655. Na skutek starań braci Wąsowiczów, umiejących przemówić do górali, postanowili podgórzanie chwycić za oręż w obronie króla Jana Kazimierza. I oto 2 do 3-ch tysięcy górali stanęło do boju i okryło się wiekopomną sławą, zadając Szwedom dotkliwą klęskę w Nowym Sączu. Na Szwedach to powstanie góralskie na rzecz Jana Kazimierza zrobiło wielkie wrażenie. Zaczęli się obawiać, by przykład podgórzan nie podziałał i na włościan dolin, wydali też demagogiczną odezwę do chłopów, ostrzegającą przed pomaganiem ciemnoczłachcie i obiecującą złote góry w razie utrzymania się panowania szwedzkiego w Polsce ²⁾).

Zupełnie podobnie, jak górale, zachowywali się i kurpie. Ludność ta leśna, do połowy wieku siedemnastego obywająca się prawie zupełnie bez opieki duchowej kleru katolickiego, zajmowała się nie tylko pszczelnictwem, lecz i myśliwstwem, polując w puszczech polskich, a nierzadko przedostając się i do leśnictw pruskich. Znakomici strzelcy, posiadający zdawna organizację w postaci cechów bartnych, kurpie kochali się w swej swobodzie. Okazując stale wierność królowi, który zatwierdzał ich przywileje, walczyli oni nieustraszenie i konsekwentnie ze starostami, pragnącymi ich podciągnąć pod ogólną miarę chłopów pańszczyźnianych, opierać się umieli nawet i uroszczeniom jezuitów, którzy około roku 1650 zakładają misję na Kurpiach w Myszyńcu. Księgi referendarskie pełne są aktów, będących pamiątką procesów, wytoczonych przez starostów kurpiom, „którzy ich sromotnie i tumultarnie nachodzili, wiolencye i kryminały na kiermaszach czynili” i t. d. ³⁾ Ze swej strony i puszczenie nie omieszkiwali pociągać do odpowiedzialności starostów, którzy wszelkimi godziwymi i niegodziwymi środkami usiłowali przełamać ich opór. W ciągu drugiej połowy wieku siedemnastego i w wieku osiemnastym trwa więc ciągła walka między sta-

¹⁾ Kubala: „Szkice”. Serya I. Str. 323.

²⁾ Rękopis Biblioteki Publicznej w Petersburgu Ros. T. IV. 136.

³⁾ Arch. Główne. Księgi Referen. 22 kor. 80.

roślami i kurpiami; i z walki tej ostatecznie kurpie, przynajmniej poddani starostwa Ostrołęckiego, wychodzą zwycięsko. Lustracja 1789 r., pełna skarg włościan na swych starostów, zaznacza, że „żadne w starostwie Ostrołęckiem od gromad nie zachodzą przeciw JWNemu Staroście oskarżenia, pod którego rządem każdy mieszkaniec pewien jest swojej własności i tego, co ma opłacać do skarbu. Mają tu wszyscy mieszkańcy swoje prawa, kupują za transakcjami gruntu i te, gdy wola, odprzedają, zgoła wolność mają wnieść do starostwa, osiąść i ustąpić”.¹⁾

Przywiązanie kurpiów do swobody nie przeszkadzało im zachowywać się najzupełniej lojalnie wobec Rzeczypospolitej, a nawet niejednokrotnie krew swą za nią przelewać. Znane jest powszechnie bohaterstwo, z jakim walczyli kurpie w roku 1708 przeciw Szwedom²⁾, zadając im znaczną porażkę pod Kopąńskim. W roku 1733 biją się mężnie puszczeni pod dowództwem Stacha Konwy za sprawę Stanisława Leszczyńskiego, a wreszcie walczą i podczas powstania Kościuszki, zyskując sobie uznanie Naczelnika. Za czasów Księstwa Warszawskiego zdobyli sobie kurpie nowe wawrzyny, wśród nich bowiem pułkownik Ignacy Zieliński zorganizował wsławiony szósty pułk strzelców pieszych.

Jeżeli teraz przeniesiemy się na północo-wschodnie kresy Rzeczypospolitej, to i tu spotykamy fakty, potwierdzające podkreślony już przez nas wpływ położenia społecznego włościan na ich stosunek do wypadków, rozgrywających się w kraju. W ogromnych dobrach stołowych, jakie dzierżyli królowie polscy na Litwie, zniesiono pańszczyznę w końcu wieku XVII-go, zamieniając ją na czynsz. Najpierw tak doniosła reforma wprowadzona została w ekonomii Szawelskiej. Pańszczyzny nie istniały tu już w roku 1640, poddani zaś obowiązani zostali jedynie do płacenia czynszów i do tworzenia straży. Chłopi, dzięki długoletniej wolności od pańszczyzn, doszli tu do rzadkiej zamożności. Dopiero za rządów Stanisława Augusta w ekonomiach litewskich

¹⁾ Materiały do dziejów wsi polskiej. Str. 50.

²⁾ O walkach Kurpiów mówi dość obszernie Chętnik w „Puszczy Kurpiowskiej”.

zaczęto wprowadzać na nowo pańszczyznę. Włościanie, którzy się już tak zżyli ze swą niezależnością gospodarczą, stawali się teraz zwykłymi poddanymi pańszczyźnianymi. Od tej pory też wśród kmieci z ekonomii litewskich rozpoczęło się wrzenie; zaczęto podawać skargi do króla i kamery królewskiej na administrację; wprowadzenie jednak pańszczyzny było dla skarbu królewskiego reformą zbyt korzystną, by się miało jej łatwo wyrzekać. To też chłopci, nie zadawalniając się skargami, rozpoczęli tu i owdzie czynny opór. Najdalej opozycja włościańska zaszła w najdawniej cieszącej się swobodą od pańszczyzn ekonomii Szawelskiej. W lipcu w roku 1769 wybuchły tam poważne rozruchy; powstało tam około 2.000 włościan, w znacznej części parobków kmiecych, i pod wodzą Tomasza Lewickiego, a później Michała Pagiewicza, wójta włości Janiskiej, przyłączyli się do konfederacji Barskiej. W ten sposób na odległych kresach Rzeczypospolitej lud wziął czynny udział w pierwszej walce o wyzwolenie kraju z pod opieki rosyjskiej ¹⁾.

Udział, jaki chłopci polscy tu i owdzie w ostatnich wiekach istnienia Rzeczypospolitej brali w obronie kraju, był wymownym dowodem, że przy sprzyjających warunkach mogli się oni stać cenną, a niewyczerpaną siłą militarną. Jak wiadomo, pierwszy zrozumiał to w Polsce Kościuszko; zdawał on sobie jednak sprawę dokładnie, iż chcąc chłopów pociągnąć do służby wojskowej, należy rozszerzyć ich swobody obywatelskie, należy ich postawić przynajmniej w tem położeniu, w jakim, jak widzieliśmy, byli ci kmiecie, którzy już uprzednio tu i owdzie za ojczyznę walczyli. Jednocześnie więc prawie z powołaniem chłopów do wojska liniowego i pospolitego ruszenia, ogłaszał złagodzenie pańszczyzn tym wszystkim włościanom, którzy za ojczyznę krew swą przelewają. „Ten jest sposób przywiązania ludu do sprawy publicznej i ochronienia go od siideł nieprzyjacielskich” — głosiło wówczas pamiętne postanowienie Naczeln-

¹⁾ Kościałkowski St.: „Ze studyów nad dziejami ekonomii litewskich”. 59.

nika¹⁾. Donioślejsze znaczenie miał jeszcze manifest Kościuszki, wydany w pięć dni później w Połańcu, nadający włościanom grunta na własność, z obowiązkami do nich przywiązanymi, przywracający im wolność przenoszenia się z miejsca na miejsce, biorący ich pod opiekę rządu. Oczywiście poruszyć całej ludności Polski nie udało się Kościuszce, powstanie trwało zbyt krótko, a prawa obywatelskie świeżo nadane, nie mogły natychmiast wyrwać chłopów z dotychczasowej apatii. Bądź co bądź, w bitwie pod Szczekocinami miał już Kościuszko pod swoim dowództwem pięć do sześciu tysięcy włościan—pikinierów i kosynierów, zwerbowanych z województw Krakowskiego i Sandomierskiego, po części wcielonych do regiméntów, a po części tworzących dwa bataliony milicyi krakowskiej i sandomierskiej²⁾. Ruch wśród chłopów przedostał się i na prawy brzeg Wisły, ogarnął Kurpie, powiat Garwoliński, ziemię Stężycką i t. d. Na wezwanie generała Zajączka, a staraniem Lubelskiej Komisyi Porządkowej zgromadzono w szeregach narodowych do 3.000 kosynierów i pikinierów, zwerbowanych wśród chłopów lubelskich³⁾. Niestety, lubliniacy nie okazali się wówczas tak doskonałym materiałem żołnierskim, jakim byli kościuszkowscy krakusi i nie dotrzymali Rosyanom placu w smutnej pamięci bitwie pod Chełmem. W każdym razie powstanie Kościuszki było najpoważniejszą próbą pociągnięcia włościan do szeregów, jaka zrobiona była za Rzeczypospolitą. Tadeusz Kościuszko, wcielając w czyn idee liberalnych publicystów z czasów sejmu czteroletniego, wykazał łączność, jaka istnieje pomiędzy patriotyzmem, a swobodami obywatelskimi i stworzył sobie pomnik nieśmiertelny.

1) Korzon Tadeusz: „Kościuszko”. Str. 319.

2) Ibidem. Str. 342.

3) „Pamiętnik Kajetana Koźmiana”. Poznań, 1858. Oddział I. Str. 232.

STAN ROLNICTWA POLSKIEGO W DOBIE POWOJENNEJ, A PROGRAM EKONOMICZNY LUBECKIEGO.



pierwszym okresie działalności Banku do powstania listopadowego, Bank główną opieką otaczał handel zbożowy. Stało się to siłą faktów. Eksport ziemiopłodów był głównym źródłem dochodów rolnictwa w okresie urzędowania Lubckiego. Pomoc Banku w rozwoju handlu zbożowego była dalszym ciągiem polityki księcia ministra, dążącego do zapew-

nienia prawidłowego zbytu rolnictwa, do podniesienia ceny „bez-cennego zboża”.

W okresie porewolucyjnym cena ziemi spadła wskutek usuwania się dawnych właścicieli. Wypłynęli wówczas na widownię ludzie nowi, dawni administratorzy, lub ekonomowie, wiele majątków pozostało bez właścicieli. Zaczęła się dzika spekulacja majątkami, rolnictwo poniosło dotkliwe straty. Przyczyniły się do tego klęski elementarne, pomór bydła i koni w roku 1832. Ceny mięsa podskoczyły. Chcąc przyjść rolnikom z pomocą, bank

srowadza na własny rachunek 40.000 sztuk bydła i koni, które sprzedaje rolnikom.

Z dalszych czynności w celu podniesienia rolnictwa, należy się wspomnieć o kredycie na zakup maszyn rolniczych. „Wskutek klęsk, jakie ostatnia wojna pociągnęła, powiększył się po wsiach niedostatek rąk pracujących” — głosi protokół Rady administracyjnej z dnia 3 sierpnia 1833 roku¹⁾. Bank zwrócił się do Dyrektora Komisji Przychodów i Skarbu z oświadczeniem, iż pragnie udzielać kredytu właścicielom ziemskim na zakup maszyn i narzędzi rolniczych. Wysokość kredytu według instrukcji z roku 1840 nie mogła przenosić trzy razy pomnożonego podatku ofiary, w dziesięć lat później ten kredyt został zwiększony do sześcioletniego podatku ofiary w gub. warszawskiej i płockiej, czteroletniego — w innych guberniach. Otrzymujący kredyt zobowiązywał się spłacić takowy w dwunastu ratach półrocznych.

Na takich samych warunkach Bank Polski udzielał kredytu na zakup nawozów sztucznych, sprowadzanych przez Bank w większych ilościach z Ameryki. Oprócz tego Bank udzielał kredytu na zakup inwentarza i rozplodowców (1859), popierał gorzelnictwo i pośredniczył w zakupie i sprzedaży zboża, dając zaliczki na spławiane do Gdańska zboże. Należy wspomnieć o budowie magazynów zbożowych w Modlinie z rozkazu Paskiewicza dla zaopatrzenia w zboże wojska; magazyny zostały otwarte w roku 1840.

W roku 1843 poczęto myśleć w Banku o udzielaniu pożyczek hipotecznych na dobra ziemskie, uzupełniając w ten sposób działalność Towarzystwa Kred. Ziemskiego. Na skutek inicjatywy Banku wydanym został w dniu 14 lipca 1845 roku ukaz, na mocy którego Bank mógł udzielać pożyczek długoterminowych na hypotekę na pierwszym, bądź na drugim miejscu do wysokości $\frac{2}{3}$ szacunku dóbr. Pożyczający opłacać miał Bankowi 6 $\frac{0}{0}$ w dwóch ratach półrocznych, z czego 5 $\frac{0}{0}$ na oprocentowanie, 1 $\frac{0}{0}$ na umorzenie kapitału²⁾.

¹⁾ Ob. Radziszewski. Op. cit. Str. 279.

²⁾ Zbiór urzędzeń i przepisów Banku Polskiego. T. III, str. 266—269. Por. H. Radziszewski. Op. cit. Str. 302.

Do roku 1870, gdy na mocy reskryptu ministra finansów zabroniono Bankowi dokonywania tych operacji, Bank udzielił rolnictwu 3 miliony rubli pożyczek hipotecznych.

Oprócz pomocy udzielanej rolnikom bezpośrednio, Bank przyczynił się do podniesienia rolnictwa drogą pośrednią, budując drogi i środki komunikacji, ożywiając górnictwo, przemysł i handel. W ten sposób Bank rozszerzał produkcję, jednocześnie tworzył dla rolnictwa wewnętrzny rynek zbytu, podnosił konsumpcję krajową.

Bank Polski, dzięki swym światłym kierownikom, stał się od początku instytucją nawskroś obywatelską, i pozostał taką do końca swego istnienia, gdy w roku 1885 nastąpiła jego likwidacja, z zamianą na Kantor Banku Państwa. Daleką była dla kierowników myśl zysków doraźnych; dążyli bez wytchnienia i bez skazy do podniesienia kraju pod względem gospodarczym, upatrując w tem najpewniejszą podstawę bytu narodowego.

Kierownicy Banku zdawali sobie sprawę z ważności środków komunikacji dla gospodarstwa społecznego. Bank w roku 1829 zawarł układ z Komisją Spraw Wewnętrznych i Policji, na mocy którego Bank zobowiązał się zaliczyć Komisji tytułem pożyczki 14 mil. złp. na budowę dróg bitych. Wykonaniem budowy miał się zająć Bank i postanowiono wybudować następujące trakty: Krakowski — przez Radom i Kielce, Lubelski, Wołyńsko-Śląski, Białostocki i fabryczny od Łowicza do Torunia. Do robót przystąpiono w roku 1830, do końca tegoż roku Bank wydatkował $2\frac{1}{2}$ mil. złp.

Jednym z celów polityki handlowej Lubeckiego było uniezależnienie polskiego handlu zbożem od pruskiej taryfy celnej. Zamiast eksportować ziemiopłody do pruskich portów, chciał otworzyć drogę do nadbałtyckich portów rosyjskich (Libawa, Ryga). W tym celu wyjednał 27 lipca 1824 roku dekret królewski, nakazujący budowę Kanału Augustowskiego, wiążącego Wisłę z Niemnem przez Narew. Zabrano się do dzieła i już przed rewolucją roboty około budowy kanału zostały znakomicie posunięte i wydatkowano już na ten cel z funduszków rządowych około 10 mil. złp. Po rewolucyi rząd zaproponował Bankowi prowadzenie nadal budowy kanału, awansując koszta, jakich

będzie wymagać ukończenie kanału, stosownie do planów i kosztorysów, sporządzonych przez Komisję Spraw Wewnętrznych. Ukończenie kanału na przestrzeni 14 wiorst nastąpiło w roku 1840; zarząd nim przeszedł narazie do Banku Polskiego, w którego administracji pozostawał do roku 1844, 22-go zaś listopada tegoż roku kanał przeszedł pod Zarząd Komunikacji Lądowych i Wodnych. Skarb zwrócił Bankowi wyłożone nakłady, umarzając je ratami.

Bank Polski powziął inicjatywę budowy pierwszej kolei żelaznej w kraju, która z polecenia Henryka Łubieńskiego miała połączyć Warszawę z Zagłębiem węglowem, według planu inżyniera Wysockiego, który już w lutym 1835 r. złożył raport szczegółowy o projekcie „drogi szynowej od Niwki do Warszawy”. Budowę kolei przeprowadziło w r. 1848 towarzystwo akcyjne. Bank Polski był jednak pierwszym inicjatorem w tem ważnem dla kraju przedsięwzięciu.

Wielkie usługi oddał Bank krajowi, otaczając troskliwą opieką budzący się przemysł krajowy i górnictwo. Bank popierał rozwój gospodarczy, udzielając przedsiębiorstwom pożyczek długoterminowych, zakładając nowe fabryki, administrując temi, które potrzebowały opieki. Gdy przedsiębiorstwo mogło pracować o własnych siłach, oddawał administrację prywatnym kapitalistom.

W roku 1833 Rada Administracyjna Królestwa Polskiego oddała Bankowi w administrację górnictwo. W tym celu utworzono t. zw. Wydział Górniczy. Produkcję cynku Bank wypuścił w dzierżawę Piotrowi Steinkellerowi na lat dwadzieścia, na mocy umowy z dnia 9 grudnia 1836 roku (huty górnicze pod Będzinem, w Dąbrowie i Niemcach, oraz walcownie w Sławkowie). W roku 1837 Bank oddał w administrację hutnictwo żelazne Maurycemu Koniarowi na lat dwadzieścia pięć. Kopalnie węgla nadal pozostały przy Banku, który objął również w administrację warzelnię soli w Ciechocinku.

Nie mniejszą troskliwością otaczał Bank Polski kiełkujący przemysł polski.

Bank udzielał przedewszystkiem pożyczek na zakłady przemysłowe. Wedle instrukcyi z roku 1840, Bank mógł być

udzielać pożyczek dwojakiego rodzaju: długoterminowych, nieprzenoszących lat dwunastu i krótkoterminowych, nie dłuższych nad dziewięć miesięcy.

Bank Polski otaczał pieczę Towarzystwo wyrobów zbożowych w Warszawie, założone jeszcze w r. 1826, które trudniło się mieleniem zboża w młynie parowym przy ul. Jerozolimskiej, w pobliżu Wisły. Bank Polski zobowiązał się w roku 1830 (5 maja) udzielać zaliczeń na mąkę pszenną, przygotowaną do wysyłki za granicę. Po upadku Steinkellera, który prowadził Młyn parowy do roku 1853, młyn przeszedł był na własność Banku, prowadzonym będąc do roku 1868, t. j. do chwili, gdy młyn przeszedł na własność J. Blocha.

Nie wchodząc bliżej w osnowę kontraktów i umów, zawieranych pomiędzy Bankiem, a różnymi przemysłowcami, wskażemy w krótkości na najważniejsze przedsiębiorstwa zakładane lub administrowane przez Bank Polski. Do nich zaliczamy fabrykę machin na Solcu (obecnie Tow. Akc. Lilpop, Rau i Loewenstein). Bank administrował tę fabrykę do roku 1841, gdy fabryka przeszła pod administrację W. Raua. Papiernię w Jeziornie, założoną w początkach XIX wieku, Bank kupił w roku 1830 i prowadził ją z przerwami do roku 1869, gdy sprzedał ją Reslerowi za 65.000 rb.

Największa przędzalnia w Żyrardowie, założona w roku 1825 według wzorów Girarda, przeszła na własność Banku Polskiego w roku 1847. W roku 1857 sprzedał fabrykę Hillemu i Dietrichowi. Bank Polski przejął też na własność dobra Ostrowieckie z fabryką żelaza oraz walcownię żelaza w Irenie.

Działalność rozwinięta przez Bank Polski w celu ratowania zagrożonych placówek produkcji krajowej była owocna. Obecny wielki przemysł i górnictwo zawdzięczają wiele opiece, którą Bank Polski otaczał te gałęzie produkcji w początkach ich rozwoju. Stwierdzić wypada, że działalność Banku była niezwykle rozległą. O tem świadczą słowa Lubeckiego¹⁾. „W Ban-

¹⁾ Mowa J. O. X. X. Lubeckiego, Ministra prezydującego w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, miana przy instalacji Komisji Umorzenia na publicznem zdaniu sprawy Banku Polskiego dnia 4 września 1829 roku (druk in 8-o, 12 str.). Str. 7. Ob. Smolka, tom I, str. 388,

ku Polskim, mówił Lubecki, ujęte widzicie w jeden nierozpojony węzeł te wszystkie cele, które w krajach rozleglejszych na różne pojedyncze rozchodzą się zakłady. I tak jego jest rzeczą umarzać dług publiczny, przykładać się do rozszerzenia kredytu, handlu i przemysłu narodowego; przyjmować depozyta i sumy różnego rodzaju, bądź dla przekazów, bądź na procent; czynić pożyczki dla Dyrekcyi Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego; nabywać i zbywać papiery publiczne; skupować weksle; pożyczać na zastawy papierów publicznych, płodów, wyrobów i rozmaitych kosztowności; zapomagać przemysłowe w kraju zakłady; wreszcie czynić własne przedsięwzięcia, ku dobru handlu, kredytu i przemysłu narodowego zmierzające. Przy tak przestrzonnym czynności zakresie, łatwo pojąć, że mimo ich różnaitości, każda z nich zasila inne i wspiera, na wzór owych koła promieni, które wynikając z obwodu, w jednym się środku spólnym dla wszystkich zbiegają. Ale zarazem i ta nastęrcza się uwaga, jak wysoka ciąży odpowiedzialność na urzędnikach, którym tak urozmaicone czynności jednodazne prowadzić wskazano...“

Patrzając na działalność Banku ze stanowiska teoryi i współczesnej techniki bankowej, możnaby poddać wątpliwości połączenie w jednej instytucyi kredytu długo i krótkoterminowego. Obecnie tak w bankowości, jak i w całym ustroju gospodarczym, istnieje daleko posunięta specjalizacya. Tworzą się osobne banki handlowe, operujące głównie kredytem wekslowym krótkoterminowym, banki przemysłowe i hipoteczne, które udzielają kredytu długoterminowego. Za czasów Lubeckiego życie gospodarcze było słabiej rozwinięte. Połączenie w jednej instytucyi funkcyi spełnianych obecnie przez różne zakłady nie pociągało zbyt wielkiego niebezpieczeństwa. Bank, będąc przedewszystkiem instytucyą obywatelską, dążąc do podniesienia gospodarczego kraju, musiał spełniać funkcye nader różnorodne.

Bezpośrednia pomoc okazywana rolnictwu nie obejmowała zbyt wielkiego zakresu. Istniało już wówczas Tow. Kred. Ziemskie, założone specjalnie dla niesienia pomocy zagrożonemu rolnictwu. Bank Polski skoncentrował swe wysiłki przedewszystkiem w celu popierania, a niekiedy i ratowania przemysłu i gór-

nictwa. W ten sposób przychodził jednak pośrednio z pomocą i rolnictwu.

Łączność pomiędzy przemysłem i rolnictwem jest nader ścisła. Przemysł jest dla rolnictwa najpewniejszym rynkiem zbytu; rolnictwo dostarcza bowiem niezbędnych surowców, zwłaszcza przy przemyśle rolniczym, jak młyny, gorzelnie, browary, cukrownie i t. d. Przemysł wpływa na wzrost miast, na zagęszczanie ludności, podnosi stopę życiową, rozwija nowe potrzeby, dawniejsze domagają się wówczas lepszego zaspokojenia, wzrasta stopień kultury i bogactwa, a to wszystko wpływa na wzrost konsumpcyi, a tem samem rozszerza rynek zbytu dla produktów rolnych.

Podniesienie stanu ekonomicznego kraju, to największa zasługa twórców Banku Polskiego i pierwszego jego inicjatora, księcia Lubeckiego.

Ludzie, których Lubecki postawił na czele Banku, zwłaszcza prezes Henryk Łubieński, jak i poprzednik jego, Jelski, stanęli na wysokości zadania i mieli pełną świadomość odpowiedzialności, która na nich ciążyła. W dniu otwarcia Banku tak przemówił Jelski, zwracając się do Lubeckiego: „Książę! Tyś oszczędził, że słabe siły nasze dźwigać ten ciężar potrafią; tyś nas wskazał królowi; ty więc nas wspieraj w tym nowym zawodzie, a pomoc twa, której dobroczynnych skutków doznały już wszystkie tworzące się w kraju instytucje, zdolną będzie i siły nasze podwoić i zjednać dla nas potrzebne w publiczności zaufanie”.¹⁾ To nie były czcze frazesy, lecz słowa płynące ze zrozumienia ogromu zadania, które kierownicy na swe barki wzięli. Jak się z tego zadania wywiązali, świadczą rezultaty ich pracy, polegające na odbudowaniu ekonomicznem kraju, na bronieniu zagrożonego bytu narodu.

Bank Polski był ostatniem dziełem Lubeckiego, koroną szeroko obmyślanego programu w celu gospodarczego podniesienia kraju.

Na tem kończymy przegląd położenia rolnictwa polskiego, gdy po burzach dziejowych znalazło się nad brzegiem przepaści,

¹⁾ Ob. Smolka. T. I, str. 389.

oraz środków zaradczych, jakich chwyciło się społeczeństwo, by z nastaniem pokoju w roku 1815 podnieść z upadku gospodarstwo krajowe. Na tle wysiłków ratowania ojczyzny wysuwa się na pierwsze miejsce postać księcia ministra; działał on wiele w krótkim czasie swego urzędowania, mógłby uczynić jeszcze więcej, gdyby nie jeden złowrogi wieczór listopadowy, który zmroził tyle rozpoczętych przedsięwzięć.

Powracają w ewolucyi gospodarczej momenty do siebie zbliżone, lecz nie identyczne. Historia, jak rzekliśmy, służy nie tylko do wskrzeszenia przeszłości, lecz tłumaczy nam terażniejszość, pozwala w szczupłych ramach przewidywać przyszłość. Chwile obecnie przeżywane nie mają sobie równych w dziejach ludzkości. Historia blednie wobec wojny obecnej. Jesteśmy świadkami największej tragedyi dziejowej, która trwa od przeszło 10 miesięcy ¹⁾, dochodzi do najwyższego natężenia, a której końca przewidzieć nie sposób.

Rolnictwo nasze, jak i całe życie gospodarcze, znajduje się obecnie w odmiennych warunkach, niż 100 lat temu. Ustrój gospodarczy jest skomplikowany, poszczególne gospodarstwa związane są w jedną nierozzerwalną całość wskutek podziału pracy i wymiany. Warunki, wśród których rolnictwo polskie rozwija się obecnie, zmieniły się do niepoznania w okresie stuletnim. Wzrost ludności, a jako następstwo—podniesienie ceny ziemi sprawiły, że warunki produkcji rolniczej są coraz trudniejsze, że tylko drogą intensywnej uprawy ziemi, drogą zwiększonej wydajności rolnik może pokrywać koszta produkcji. Jednocześnie musi walczyć z konkurencją krajów, mających ziemi poddostatkiem, jak Rosya i Ameryka, a nawet Prusy, które wskutek premii wywozowych w ostatnich latach poczęły swem zbożem zalewać polskie rynki. Polska przestała już być śpichrzem Europy, z kraju, eksportującego płody rolnicze, zamieniła się w kraj importujący.

Pod jednym względem skutki wojny obecnej dla rolnictwa będą zbliżone do następstw wojen napoleońskich—nastąpi prze-

¹⁾ Słowa pisane w czerwcu 1915 r.

silenie gospodarcze; będzie jednak posiadało odmienny charakter tak co do rozmiarów, jak i rodzaju.

Wskutek postępów w technice rolniczej, większa własność rolna ma więcej do stracenia, niż po wojnach napoleońskich. Postępy w technice wojennej sprawiają, że to zniszczenie jest doszczętnie na terenie działań wojska. Kultura wiekowa zniszczona, zabudowania — zrównane z ziemią, inwentarz zarekwirowany — oto obraz, który się nam przedstawi po skończonej wojnie. W ten sposób zginie kapitał wytwórczy, dźwignia bogactwa narodów.

Przesilenie obecne w stosunku do rolnictwa będzie posiadało i odmienny charakter, różnić się będzie jakościowo. Po wojnach napoleońskich nastąpiło przesilenie, wywołane nadmiarem produktów wskutek zamknięcia eksportu, które się wyrażało w spadku cen, „w bezcenności zboża”. Widzimy obecnie przesilenie wywołane brakiem towarów, a występujące w postaci ogólnej drożyzny ziemioplodów w Królestwie. Faktem znamienym jest, że, zależnie od miejsca, przesilenie rolnicze zmienia swój charakter, jest natury lokalnej. W Królestwie, bliżej teatru wojny, artykuły żywności podskoczyły niepomiernie w cenie. W odleglejszych guberniach Cesarstwa, wskutek braku eksportu, gromadzą się zapasy, cena spada.

Wskazaliśmy wyżej na znaczenie środków komunikacji w życiu gospodarczym, które łączą produkcję z konsumpcją.

Jeśli między produkcją, a zapotrzebowaniem powstanie przedział, wskutek przerwy lub utrudnienia w środkach komunikacji, cierpi na tem produkcja i zapotrzebowanie, brakuje dla jednego z tych aktów drugiego korrelatu. Przy utrudnieniu komunikacji na niewielkiej stosunkowo przestrzeni występują jednocześnie objawy braku i nadmiaru towarów. W pewnych okolicach następuje hyperprodukcja, gromadzą się zapasy, towary ulegają deprecjacji i zepsuciu, w innych miejscach, do kąd niesposób dostarczyć towarów, występują zjawiska wprost odmienne, a zatem brak towarów, drożyzna, niedostateczne zaspokojenie potrzeb.

Znaczenie środków komunikacji tak dla celów gospodarczych, jak i strategicznych, występują podczas obecnej wojny,

w całej pełni. W państwie rosyjskiem, gdzie sieć kolejowa jest niewystarczająca, powstają wielkie trudności przy dyslokacji wojsk, jak i dostaw dla ludności cywilnej. Tem się tłumaczą przeciwne objawy przesilenia rolniczego na obszarze państwa; bliżej działań wojennych ceny artykułów pierwszej potrzeby idą niepomernie w górę; na tem cierpią konsumenci; warstwy uboższe nie są w możności zaspokoić potrzeb niezbędnych. W guberniach środkowych—gromadzą się zapasy zboża, cena spada niżej normalnej.

Znaczne różnice w cenach ziemiopłodów, zależnie od miejsca i od możności dostawy, to pierwszy objaw obecnego przesilenia rolniczego; jest to skutek chwilowy, wywołany wojną, utrudnieniem dowozu, połączenia produkcji i zapotrzebowania. Z nastaniem warunków normalniejszych, drożyzna artykułów żywności, jak chleba, mięsa i t. d. powinna zniknąć, gdyż usunięta będzie jej przyczyna — dezorganizacja środków komunikacji. Powinna zniknąć, lecz prawdopodobnie nie zniknie tak prędko. Drożyzna bowiem jest wynikiem nietylko zwichnięcia równowagi między zapotrzebowaniem a zaopiarowaniem, lecz oparta jest często na zмовie pośredników, kupców hurtowych i detalicznych.

Ogólny kierunek cen zwykłych, zwłaszcza artykułów żywności, który się począł na Zachodzie już w końcu zeszłego wieku, a doszedł w ostatnich latach do tak potężnych rozmiarów, posiadał swe źródło, między innymi, w wadliwej organizacji handlu, w wyzyskiwaniu uprzywilejowanego położenia pośredników wobec konsumentów, w potężnych organizacjach producentów, jak trusty i kartele.

Wojna obecna wywoła prawdopodobnie obniżenie cen ziemi zwłaszcza na terenie działań wojennych. Obniży się oczywiście wartość majątków, zniszczonych przez wojnę, tak wartość użytkowa, jak i wymienna. Niepewność sytuacji, brak zaufania, wreszcie potrzeba dla wielu gospodarzy dojścia do posiadania kapitału obrotowego zwiększy podaż ziemi, wpłynie na spadek cen. Ten rzeczywisty spadek cen ziemi może być do pewnego stopnia zniwelowany niżką wartości pieniędzy, której również oczekiwać należy. Rozpocznie się spekulacja grun-

tami, zjawisko występujące po każdej wojnie, jak wskazuje historia. Podobne objawy występowały we Francji po wielkiej rewolucji, po wojnach napoleońskich, u nas po rewolucji listopadowej. Występują na arenie gospodarczej ludzie nowi, spekulanci i dorobkiewiczze, którzy pragną się za wszelką cenę wzbogacić krzywdą innych. Są to ludzie chciwi łatwego zysku, nie przebierający w środkach, aby dojść do celu. Takie jednostki pogarszają stosunki socyalne, lecz często posuwają najdzielniej postęp gospodarczy. Następstwem przesilenia gospodarczego wskutek wojny jest mało solidna przedsiębiorczość, chęć szybkiego wzbogacenia się za wszelką cenę, lekkomyślność, upadek etyki gospodarczej.

Dlatego też po każdej wojnie przychodzi okres wzmózonej produkcji. Podczas okresu wojennego cały szereg potrzeb tak niezbędnych, jak i społecznych nie otrzymuje odpowiedniego pokrycia; z tem większą siłą występują, gdy życie poczyna wracać do normalnych warunków.

Ostatnie zjawisko godne zaznaczenia — to stosunki robocze w chwili wojny, jak i w dobie powojennej. Podaż pracy zmniejsza się, powstaje brak rąk roboczych. To zjawisko występowało i dawniej. Czytaliśmy przecież w protokóle Rady administracyjnej z dnia 3 sierpnia 1833 roku, że „powstał na wsi brak rąk roboczych wskutek klęsk, jakie ostatnia wojna pociągnęła”. Brak rąk roboczych pobudził Bank Polski do sprowadzania maszyn rolniczych. Podobne utyskiwania na brak robotników znajdujemy w dziełach rolniczych, wydanych podczas lub po wojnach napoleońskich, np. w cytowanym „głosie piosła Marjampolskiego” z roku 1811, w dziełach Cyprysińskiego (1847 r.), Skarbka i t. d. Wojna zabiera, często bezpowrotnie, produkcyjne siły narodu — to jedna przyczyna wpływająca na brak sił roboczych. W Rosyi istnieje druga przyczyna świeżej daty — skasowanie monopolu wódczanego. A. Smith uczynił tę słuszną uwagę, że gdyby robotnik ze słabo rozwiniętymi potrzebami mógł w przeciągu 4 dni zarobić to samo, na co przedtem potrzebował tygodnia pracy, pracowałby zapewne tylko 4 dni w tygodniu. Ten sam objaw wystąpi, skoro zmniejszy się budżet wydatków robotnika. Bódcem do pracy i punktem wyjścia dla działalności go-

spodarczej człowieka są jego potrzeby. Czem potrzeby liczniejsze i bardziej różnorodne, tem silniejszy istnieje bodziec do podjęcia trudu. Skala potrzeb naszego włościanina, a tem bardziej rosyjskiego, jest minimalna. Gdy wskutek skasowania wódki, przynajmniej chwilowo, przy małej skali potrzeb, wydatki domowe zostały silnie zredukowane, odpada ważny bodziec do pracy. Podkreślam, że może to być zjawisko chwilowe; w miarę wzrostu skali potrzeb i kultury, brak wódki, twierdzimy to z całą pewnością, zwiększy chęć do pracy, wpłynie potężnie na wzrost produkcyi krajowej i dobrobytu szerokich warstw. Już obecnie dają się odczuwać zbawienne skutki skasowania alkoholu. Olbrzymi wzrost wkładów do kas oszczędności w paru ostatnich miesiącach jest przynajmniej częściowo wywołany brakiem alkoholu. Podczas czterech miesięcy wojny (od 1 stycznia do 1 maja 1915 roku) wkłady do państwowych kas oszczędności w Rosyi wyniosły sumę 207.7 milionów rubli, podczas gdy w tych samych miesiącach roku poprzedniego doszły do 40 mil. rb.¹⁾, podniosły się zatem pięćdziesiąt razy.

Powstaje pytanie, co wobec przesilenia obecnego wypadła czynić rolnikom dla ratowania zagrożonych placówek. Widzieliśmy, że po wojnach napoleońskich znaleźli się ludzie, a zwłaszcza jeden człowiek, który ręk nie opuścił — był nim Lubecki. Widzieliśmy również, jak wielką wagę przywiązywał książę minister do uregulowania stosunków kredytowych w celu przyjscia z pomocą rolnictwu; powołał do życia aż dwie instytucje kredytowe, dzięki którym zadłużone rolnictwo uratowano od niechybnego upadku przez dostarczenie kapitału na prowadzenie gospodarstwa, uwalniając rolników od długów gniotących. Nie da się zaprzeczyć, że obecnie kredyt wytwórczy odgrywa znacznie donioślejszą rolę w gospodarstwie, niż przed stu laty. Rozpatrzenie zasad nowej instytucyi kredytowej dla przyjscia z pomocą zagrożonemu i zniszczonemu przez wojnę rolnictwu, nie wchodzi w zakres naszych badań.

W dobie po wojnach napoleońskich wystąpiły już usiłowania podniesienia rolnictwa drogą samopomocy. Tego zadania

¹⁾ „Nowoje Wremia” 22 maja (4 czerwca), 1915 roku.

dokonać miało „Towarzystwo gospodarczo-rolnicze“, powołane do życia w roku 1810. Myślą przewodnią Towarzystwa było objęcie rolnictwa zakresem pracy publicznej i naukowej. Głównym celem Towarzystwa według ustawy było „przyzwoitsze pól dworskich i włościańskich urządzenie, aby nie ugorowały“ oraz „utrzymanie żyzności gruntu przez nawożenie“. Rzecz jednak wobec wojny 1812 r. poszła w odwłokę. Pierwszy okres istnienia Towarzystwa 1810—1812 r. nie zaznaczył się żadnym czynem. Poprzestano na różnych projektach, projektach nieurzeczywistnionych. To samo da się powiedzieć i o drugim okresie istnienia Towarzystwa gospodarczo-rolniczego (1815—1817 r.), gdy Towarzystwo zamarło wśród obojętności ogólnej.

Obecnie instytucje rolnicze, oparte na zasadach współdzielczych, rozwinęły się w Polsce naogół pomyślnie. Tow. Kredytowe Ziemskie udzieliło pożyczek do 13 listopada 1914 roku na sumę 201 mil. rubli. Dla drobnej własności rolnej, jak i dla drobnego przemysłu, istniało na początku 1913 roku 872 towarzystw drobnego kredytu, w których wkłady wynoszą 60 milionów rubli. Oprócz tego istnieje instytucja rządowa—Bank Włościański, udzielający włościanom znacznego kredytu przy parcelacji majątków ziemskich (pozostałość niespłaconych pożyczek wynosiła 1/14 stycznia 1913 roku 76 milionów rubli ¹⁾).

Istnieje wreszcie Centralne Tow. Rolnicze, założone w roku 1908, stanowiące centralę prowincjonalnych Towarzystw Rolniczych w kraju i t. zw. Kółek rolniczych. Celem Towarzystwa jest otoczenie pieczą naukową i gospodarczą polskiego rolnictwa.

Wzmożenie działalności dotychczas istniejących związków samopomocy, jak i powołanie do życia nowych, które będą udzielać kredytu wytwórczego zagrożonemu przez wojnę rolnictwu, oto hasło dla doby obecnej.

Pocieszającym objawem, świadczącym o zgodnej działalności społeczeństwa w celu przyjscia z pomocą zagrożonym przez wojnę placówkom, jak również jednostkom, które ucierpiały wskutek wojny—są sprawnie działające Komitety Oby-

¹⁾ Statistika dolgosrocznawo kredita w Rosii, 1914. Zeszyt I, str. 18.

watelskie. Udzielanie kredytu konsumcyjnego w naturze lub pieniądzech, aczkolwiek ze stanowiska teoretycznego niezawsze uzasadnione, a nawet często niebezpieczne, wywołane jest siłą rzeczy. Wiele jednostek, zwłaszcza wśród inteligencji, znajduje się w położeniu bez wyjścia i gdyby nie pomoc doraźna, groziłaby im zagłada. Spodziewać się należy, iż kiedy minie gorączka wojny, subwencye Komitetów zostaną udzielane więcej na cele wytwórcze, na zakup inwentarza, maszyn, narzędzi i nasion.

Zachowanie się społeczeństwa podczas wojny budzi nadzieje, że burza szalejąca nie wyrwóci gmachu, stworzonego wiekami kultury. A jeśli wyrwóci, to pokażemy, że go odbudować u podstaw umiemy.

Dr. Edward Strasburger.

STANISŁAW WITKIEWICZ.

I.



koło roku 1873 do kolonii malarskiej w Warszawie przybywa młody, dwudziestodwuletni chłopak, który po niedługim czasie obejmuje niejako ster w tym niemilknącym sejmiku, jakim jest każda grupa dobijających się uznania artystów. Jak wszyscy oni, jest malarzem, ma już za sobą pewną działalność, ale nie te zasługi wysuwają go na czoło grupy.

Ten młody chłopak imponuje starszym nawet towarzyszom — swoim wyrobieniem umysłowym. Jest dowcipny, jest złośliwy, gdy trzeba. Potrafi milczeć godzinami, ale potem w jednym zdaniu ujmie kwintesencję całowiecznej (częściej: całonocnej) dysputy, albo też zwróci ją na jedynie trafne tory. Potrafi milczeć, ale gdy go porwie werwa, może wygłosić kilkogodzinne przemówienie, przerywane jedynie przecinkami, ujętemi w kształt kieliszka ze „wzmocnioną” — mówi długo, a jednak

nikogo nie nuży, panuje nad uwagą słuchaczy i ciągle ją niejako odświeża. Myśl swoją ujmuje w postać jasną, lapidarną, to znowu ją ozdobi doskonałym dowcipem, strzałą satyryczną. Mówienie roznamiętnia go. W atmosferze swoich słów nabiera jakby natchnienia.

O czym mówi?

O wszystkim, przedewszystkiem zaś o sztuce. Ponieważ jest młodzieńcem, ponieważ kółko jest przyjacielskie, ponieważ w tym wieku dla przyjaciela zastawiłoby się w lombardzie własny żołądek (organ zresztą często zbędny przy kolektywnym nawet stanie kasy), ponieważ grono przyjacielskie w tych latach jest dalszym ciągiem mojego *ja*,—więc oczywiście sztuką dla niego i dla nich było to, co i jak malowało ich grono, oraz kilku zagranicznych koryfeuszów sztuki, przedewszystkiem Boecklin. Pacykarstwem i ohydą było zaś to wszystko, co malowali artyści uznani, co entuzjazmowało tłum i bezmyślnego „filistra”, a co popierała *bête noire* tego grona, jak zresztą każdego grona artystów: krytyka!

Czyż trzeba dodawać, że w tem gronie ożywiały się namiętności, gdy na stół obrad wchodził temat warszawskich krytyków i recenzentów sztuki plastycznej. Temat zresztą, obiektywnie rzecz biorąc, był naprawdę wdzięczny. Młodzi rewolucyoniści z grona artystycznego nie mieli zbyt utrudnionego zadania. Sięgając bowiem do spłowiiałych już dziś roczników ówczesnej prasy warszawskiej, możemy rychło zorientować się, że skala odczuwania estetycznego w krytyce sztuki plastycznej nie przechodziła mizernej miary. Plenum ówczesnych krytyków, sędziów talentu a czasem i losu artystów, można dziś podzielić na dwie kategorie:

1) Rzetelnych teoretyków o typie profesorskim, przystępujących do oceny obrazów z taką samą fundamentalnością, z jaką np. Libelt lub Trentowski przystępował do oceny dzieł poetyckich — i z takim samym brakiem bezpośredniego odczucia, z takim samem przeświadczeniem, że mają przed oczyma nie zmysłowe zjawisko, lecz fragment oderwanej idei; 2) ze zwykłych dziennikarzy, którzy o sztuce plastycznej w tym lub owym organie pisali dlatego, że inne t. zw. rubryki były zajęte

przez innych kolegów. Ci dzielili się znowu na: a) pedantów, chcących jednak stanąć na wysokości zadania, a więc podsłuchujących co mówią profesorowie estetyki, by na nich w sądach swych się wzorować, b) ludzie odwiecznego i niewypleniałnego typu warszawskiego, osobowości przeświadczone o tem, że Warszawa *vult decipi*, a więc można ją zadowolić byle jakim związkiem, jeśli nie stekiem frazesów. Nie wahano się utrwać w druku taki naprzykład zbiór słów: „idealne pojęcie realnej rodzajowości nadaje mu ton moralny, który łącząc się harmonijnie z technicznym, materyalnym tonem malowidła podnosi je nad powszedniość rutyny”. Z podobnych cytat możnaby zeszyć sporą broszurę.

Krytyka malarska w Warszawie w ósmej lat dziesiątce ubiegłego stulecia była poprostu instytucją zastarzałą. Społeczeństwo na ogół mało się interesowało sztuką, literatura krytyczna tego działu lektury nie czuła więc zzewnątrz żadnej podniety, nie interesowała się nowymi prądami, które na Zachodzie rozpięrały łokciami dawne punkty widzenia, kanony, dogmaty; w kraju u nas panował wszechpotężny talent Matejki — i on starczył za dogmat, teorię i orientację wrażenia. W krytyce baczono pilnie na temat obrazu, ceniono przedewszystkiem obraz historyczny. Bano się poniekąd realizmu, nie dostrzegano wdzięku w obrazie, który nie miał w sobie Anegdoty, choćby był dobrze namalowany. Trwał więc postulat *literackiego malarstwa*.

Owo zaś grono młodych artystów przesiąkło już ideałami: „sztuka dla sztuki”. Nie temat w obrazie ceniło, lecz kunszt malarski, jakość i sposób kładzenia plam, logiczny światłocień, spoiłość rysunku, koloryt. Dumą tego grona był Gierymski, człowiek, który się zamęczał nad wydobyciem efektów świetlnych, padających na twarze ludzkie od lampy elektrycznej. Każdy punkt świetlny i każda fałda cienia potrafiła entuzjazyzować ich i przykuwać do nieskończonych dyskusji, tak jak estetyków starej szkoły potrafiła podniecać do pisania tomu rozpraw *idea* historyzoficzna w „Kazaniu Skargi”. — Młodzi zasie „pluli” na ideę — ich interesował koloryt obrazu, ich przekonywało jedynie to przytknięcie pędzla do płótna, jakiem to

przytknięciem Matejko „wydobył” oczy królewskiego kaznodziei. — Nie mogło być więc porozumienia między młodem pokoleniem twórców, a teoretykami warszawskimi, lub „krakowską szkołą” malarzy, historyków i patryotów w sztuce.

I na tle tego nieprzejednania okazała się dopiero w pełni wartość owego niepospolitego młodzieńca, o którym była mowa powyżej. Każdy z tych malarzy, który „pluł” na ideę, na „ducha”, na „romantyzm”, który nienawidził krytyki — nosił w duszy ideał swojej sztuki, dałby sobie głowę uciąć za rację swoich odczuwań, ale nie umiałby uzasadnić swoich poglądów. Dopiero ten wielkooki sarkastyczny, a marzycielski młodzieniec stawał przed nimi, jako ucieleśniona teoria, ujęta w argumenty, dowody, w całe bogactwo polemiczne. Niejeden z jego przyjaciół umiał lepiej malować i kolorami pokazywać, czem jest ta teoria, był bardziej bezpośrednim plastykiem, ale żaden nie podołałby wydobyć z siebie takiej logiki słów i pojęć na obronę swego stanowiska. Nic więc dziwnego, że w głuchej walce między młodem malarstwem, a krytyką warszawską już po kilku latach zasłynęło imię tego zaniechanego w ubiorze, a wykwintnego w treści psychicznej młodzieńca: Stanisława Witkiewicza.

Urodzony w roku 1851 na Żmujdzi, po roku 1863 musi wraz z rodzicami odbyć karną podróż na Syberję. Z wygnania wraca z wyrobionemi już inklinacjami malarskiemi, bo w r. 1868 zapisuje się do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, skąd w roku 1871 przenosi się do Monachium, stamtąd do Warszawy, gdzie odrazu staje na czele tego bojowego posterunku, który przed chwilą był przez nas opisany. Ten bojowo-dyalektyczny postereunek bardziej odpowiada jego wewnętrznej naturze, niż praca malarska. Jako technik i jako artysta napotyka na znaczny opór, który, jeśli pokonywa, to nie tyle siłą owej tajemnicy, która się nazywa talentem, ile inteligencją i uporem. Sztuka i twórczość jest mu raczej odskocznią, na której nabiera pędu jego bujna potrzeba myślenia, definiowania, a nadewszystko wojowania. Im więcej ma przed sobą nieprzyjaciół, im twardszy do zwalania mur przeciwnych poglądów, tem sprężysiej działa jego umysł, trafniejsze powstają w nim idee, żwawiej krystalizuje się jego punkt widzenia. Atmosfera ówczesnej kry-

tyki i sztuki była więc idealnem środowiskiem dla dyalektycznego talentu Witkiewicza.

Słabą stroną tego stanu rzeczy była okoliczność, że cały ten wartki młyn jego poglądów działał w szczupłym jeno gronie, w kawiarniach i pracowniach. Po kilku latach było widoczne, że w tym malarzu tkwi doskonały materiał na *krytyka*. Żeby choć w części napisać mógł to, co mówi! Będzie to może chaotyczne, ale działające na publiczność. Coraz bardziej ustalała się potrzeba znalezienia pisma, w któremby Witkiewicz mógł wypowiedzieć się w imieniu własnem i w imieniu młodej sztuki polskiej.

Rok 1885 stał się tą przełomową datą w życiu Witkiewicza. W tym to roku Artur Gruszecki, objąwszy redakcję tygodnika *Wędrowiec*, zaprasza Witkiewicza do *literackiego* współpracownictwa w piśmie; powierza mu dział krytyki malarskiej. I od pierwszego artykułu debiutanta, okazuje się, że nie były mylne te przeczucia, które Witkiewiczowi pióro wskazywały, jako najbardziej mu przyrodzone narzędzie działania.

Jak wszyscy ludzie, którzy w dojrzałym wieku zaczynają pracować dla literatury, tak samo Witkiewicz, trzydzieści cztery lat mający podówczas, wszedł do piśmiennictwa w „pełnej kondycji”. Nie przechodzi okresu niemowlęctwa literackiego, ni młodzieńczości, zaznaczonej niepokojem języka, dziwactwem, oryginalnością za wszelką cenę. Od pierwszych prac wykazuje pewność siebie pisarską, gotową indywidualność, samowiedzę swoich środków i pojmowania, jak trzeba pisać, by być zrozumiałym.

Nowy pisarz polski nie zna kokieterii stylistycznych. Piśze po prostu. Wszedł do literatury, by wypowiedzieć szereg myśli, które oddawna wypracowywał jego temperament: o nic innego nie dba. Nie gubi się w dekoracyjnych świecidłach mowy, kładzie na papier te tylko wyrazy, które są niezbędne dla wypowiedzenia przekonań. A że, — nie wiedząc jeszcze wówczas o tem, — ma talent pisarski, więc ta myśl wydobywa się ze zdań swobodnie, jest małowólna i ścisła. Witkiewicz, jako pisarz, ma już u swoich początków to, czego tak często w artykułach swoich domaga się od malarzy: każde zdanie, przezeń na-

pisane, można myślą objąć odrazu (jak się odrazu, jednym spojrzeniem, obejmuje dobrze skomponowany obraz) — słowo w zdaniu najważniejsze umieszczone jest precyzyjnie na właściwym miejscu.

Od pierwszych też tych artykułów okazało się jeszcze coś więcej.

Okazało się, że ten filozofujący rewolucjonista z pracowni i z knajpy, ten rozrzucający tysiącami spostrzeżeń i cytów mal-kontent, czytany przekora — potrafi i umie zdobyć się na zakończony niejako systemat estetyczny, a więc na coś więcej, niż na chaotyczny wpływ nieobowiązujących refleksów intelektualnych, bo na logiczną budowlę, mającą swój pion i swoje fundamenty. Okazało się, że przez te lata „gadania” po pracowniach o sztuce i artystach, odbywała się w mózgu Witkiewicza namiętna praca koordynacyjna. Samouk i w tej nowej dlań dziedzinie myślenia literackiego, z ambycją samouka pochłaniał (widać to z jego artykułów) całe stosy druku. Pochłaniał zapewne z tą stratą czasu, na jaką narażony jest każdy autodydakta, któremu fakultet nie daje wskazówek, co i w jakim porządku badać, — ale za to bogaty w te przymusowe nabytki człowieka pierwotnego, który musi sobie być cieślą i kołodziejem, garncarzem i tkaczem. W pochodzie ku wiedzy nakładał nieraz zapewne spore kawały drogi, zbaczał i błędził w ciemnościach, ale to, co wziął w siebie, było już absolutną jego własnością. Samouk męczy się, ale każda nowa prawda jest absolutnie jakby jego wynalazkiem. Twardo przy niej stoi.

Na boisko literatury wstąpił też z zuchwałością człowieka, który wie o tem wszystkim, co wart — i ufny w atmosferę współczucia lichych, niedogranych poddaszy, na których się gnieźdzą i z góry na świat gwizdzą tacy ludzie, jak: Chełmoński, Gierymski i cała młodzież artystyczna. Ta to właśnie gromada, biorąc sobie *Wędrowiec* za bazę operacyjną, postanowiła urządzić najazd na spokojne azyle krytyki malarskiej w Warszawie, postanowiła rozprawić się z obowiązującą tutaj estetyką. Witkiewicz, żołnierski syn, szlachecki syn, wnuk i praszczur, uczył się dobrze, stanąwszy na czele całego sejmiku młodych temperamentów. Szło o dobro ukochanej sztuki, ale obok tego był w wystąpie-

niach jego poemat jakiejś ułańskiej awantury: wyzywało się kogoś na rękę. A że za nim stanęła cała ściana przeciwników, tem ci lepiej — i tak dostoję!

Dziś, z perspektywy trzydziestu lat, patrząc na ten zajazd literacki, wydaje się, iż temperament polemiczny, talent pisarski i racje krytyczne Witkiewicza nie miały zbyt trudnego zadania. Wszak poznaliśmy już główne typy ludzi i myślenie w warszawskiej krytyce sztuk plastycznych. Inaczej jednak ta rzecz przedstawiała się podówczas. Cała plejada ludzi, przeciw którym podówczas wystąpił — była klanem ludzi uznanych — nych, — Witkiewicz należał do cechu oberwańców. Kto zna ducha Warszawy, ten zrozumie, jak niewdzięczne miał więc pole do działania przysły autor „Sztuki i krytyki”. Ale na tej towarzysko-socjalnej kategorii nie koniec. Przeciwnicy Witkiewicza z namaszczeniem lub też z dziennikarską cynicznością, ale bronili takiej sztuki, jaką społeczeństwo intuicyjnie chciało mieć. Woleli — jak twierdzi Witkiewicz: — „źle namalowane zwycięstwo pod Byczyną od dobrze namalowanej Kaśki, skrobiącej rzepę”. Społeczeństwo domagało się i od sztuki patryotyzmu. Rozmaicie na taki stan rzeczy może się zapatrywać historia kultury artystycznej, ale kto dobrze wniknie w historię narodu, kto weźmie pod uwagę, że pragnienia takie nurtowały w pokoleniu, przeżywającym zażarcie progresywny okres rusyfikacji, ten pojmie, że dopominanie się o dyalektykę patryotyczną w sztuce było niejako wyrazem instynktu zachowawczego. Nie mogąc krześć narodowej energii ani w urządzeniach politycznych, ani w instytucjach publicznych, ani nawet w szkolnictwie, nawet w prasie, chce podówczas Polska mieć przypomnienie patryotyzmu — w sztuce, chce Grunwaldów, Byczyn, Raławic, choćby nawet źle malowanych, jak twierdzi Witkiewicz.

Tu tkwiła utajona siła przeciwników Witkiewicza. Oni bronili może słabej nieraz sztuki, ale bronili równocześnie rzeczy nie obojętnej: narodowego ducha. Tylko że w długotrwałym sporze między Witkiewiczem, a nimi, kwestya nigdy nie doszła do tego decydującego punktu. Nie doszła może z powodów cenzuralnych. Gdyby doszła była, Witkiewicz nie zawahałby się zapewne wypowiedzieć odważnie i szczerze. Odpowiedziałby

obozowi przeciwników w ten sposób: „nie mogę uwierzyć i nie uwierzę w to, by patryotyczna tendencja w sztuce miała tak przeważające znaczenie dla *być albo nie być* narodu; wierzę natomiast, że poczucie siły narodowej tkwić w nas będzie i wtedy, gdy nie będziemy mieli sztuki patryotycznej; dobra sztuka (dobrze namalowana Kaśka z rzepą) jest tak samo objawem siły kulturalnej narodu, a więc siły narodowej”. Ponieważ zaś był pisarzem krewkim i krańcowo argumentującym, więc na dobitkę możeby jeszcze napisał: „a jeśli Polska jest narodem tak już słabym, że musi żyć morfina patryotyczną, to z nią czy bez niej zginąć musi”.

Polemika Witkiewicza z „krytykami i recenzentami warszawskimi” nie doszła do takiego przyparcia sprawy do muru. Nie doszła w sferze literackiego sporu, ale za to doszła w sferze faktów. Niezadługo po wędrowcowym okresie Witkiewicza powstał prąd, zwany „Młoda Polska”, prąd, który ostentacyjnie wyrzekł się wszelkiej służby tendencyom, czy to moralistycznym, czy narodowym; prąd, który wyrzucił z siebie cały szereg utworów poezji i sztuki plastycznej, ogłoszonych za walkę z poczuciem narodowym i moralnym. I cóż widzimy? Społeczeństwo entuzjazyzmowało się temi dziełami i to samo społeczeństwo ani na chwilę nie ustało w swem wnętrzu pracować nad zbieraniem energii narodowej; gdziekolwiek nadarzyła się sposobność, przejawiało ono energię w imponującej wprost skali.

Jeśli weźmiemy w najgłębszym sensie ów tumult, jaki powstał w literaturze warszawskiej w latach 1885—1887 około artykułów Witkiewicza, zebranych potem w tom: „Sztuka i krytyka u nas”, jeżeli odtrącimy to, co było w nim z obrażonych ambicji i zagrożonych pozycji — to wrzawy i obawy ideowe nie okażą się niczem innym, tylko lękiem przed skokiem w *nieznane*. Jak wówczas, tak i za czasów „Młodej Polski”, reprezentanci tradycji na dnie duszy, w podświadomości swojej nie ufali narodowi swemu, nie wierzyli, by mógł być spoistą siłą, jeśli go się pozbawił podpórek dydaktycznych. Idea zaś, która przepływała przez temperament Witkiewicza, ufała społeczeństwu, wierzyła w mocne fundamenty narodowe, miała tę pewność, że kulturalne wnętrze społeczeństwa dojrzało do sztuki bezintere-

sownej. W ostatecznej zaś konsekwencji, spór krytyki warszawskiej z Witkiewiczem był przeciwstawieniem się dwóch typów odczuwania narodowego: ludzi, czujących kategoriami przeszłości i człowieka, wynurzonego wprost ze świadomości dnia, w którym żyje.

Oto socyologiczna niejako strona „Sztuki i krytyki”. Przejdźmy do ideowo-artystycznej.

Teoria Witkiewicza bojowała o prawo obywatelstwa tych cech, któreby można nazwać *pozytywizmem malarstwa*. Dobijanie się o uznanie dla techniki, światłocienia i t. d. było na swój sposób postawieniem tej samej zasady *pracy u podstaw*, która kilkanaście lat temu stanęła, jako hasło w życiu społecznym i literaturze. I gdy zasada ta w ideologii społecznej i w literaturze święciła już na naszym gruncie tryumf, teoria sztuk plastycznych, wspomagana zresztą wszechwładztwem geniuszu Matejki, tkwiła jeszcze na tym szczyblu zapatrywań, z którymi rozprawili się swojego czasu świętochowski, Ochorowicz, Dygasiński, Prus. Można tedy powiedzieć, że Witkiewicz jako autor ski, Prus. Można tedy powiedzieć, że Witkiewicz, jako autor „Sztuki i krytyki”, jest ostatniem ogniwem warszawskiego łań-

Ale równocześnie w zestawieniu jego estetycznych postulatów znajdujemy i coś dalej poza pozytywizm idącego. Ów ciągnął nacisk, z jakim mówi o prawie indywidualności, o talencie, jako ostatecznej decyzji w sferze uznania kogoś za artystę, to stawianie zasady, że artysta powinien rozporządzać bezwzględna wolnością w doborze tematów i wypowiedaniu się, — wszystko to znowu czyni z teorii Witkiewicza jakby zapowiedź manifestów „Młodej Polski”. Gdy w r. 1897 Ludwik Szczepański założył swe *Życie*, pierwszy i tak bujny etap nowego artystycznego prądu, to w prospekcie pisma czytać będziemy powtórzenie i śmielsze uzasadnienie tego, o co się dopominał Witkiewicz. Ostatni pozytywista warszawski był więc równocześnie w „Sztuce i krytyce” Janem Chrzcicielem sztuki następującego pokolenia, prawowitym poprzednikiem nie tylko Stanisławskiego, Mehoffera, Dunikowskiego, Weissa i innych artystów-plastyków, ale i Wyspiańskiego, poety Kasprzowicza, Przybyszewskiego, całej „Młodej Polski”.

II.

„Sztuka i krytyka u nas“ wyrąbała drogę nowemu malarstwu polskiemu. Dziś, po latach, odpaść z niej musi niejedna przesada, niejeden galop stronnicy. Wiedział o tem sam Witkiewicz, gdy nie pozwalał później tłoczyć nowych edycji swego dzieła; czuł, iż nie sposób już podpisać się pod każdym zdaniem, tam umieszczonem. Ale takie, jakie jest to dzieło, z zaletami i wadami, wywarło wpływ olbrzymi. Nie będziemy tu twierdzić, że bez krytyk Witkiewicza Chełmoński nie doczekałby się chwały w narodzie; nie sposób jest utrzymywać, iż tylko „Sztuka i krytyka“ ułatwiła w malarstwie panowanie pejzażystom, przytłoczonym dawniej malarstwem historycznym, że dała prawo bytu szkicom i „sztuce stosowanej“: Witkiewicz jednak, nie kto inny, zreformował tak gust publiczności, że wszystkie te kategorie sztuki mogły znaleźć przystęp do ogółu, prędzej i energiczniej, aniżeli by się to działo wówczas, gdyby w literaturze krytycznej nie było „Sztuki i krytyki u nas“.

Nie stała się ta przemiana gustu odrazu. Wtedy, kiedy Witkiewicz bojował w *Wędrowcu*, pozostawał jeszcze w odosobnieniu. Ale ferment, wniesiony przezeń, coraz bardziej dojrzewał. Na jego teorii kształtowało się młode pokolenie artystów, do jego poglądów zaczęła się przyzwyczajać publiczność. Niedawny śmiałek wchodzić zaczął na posterunek sławy. Rosła wrzawa około jego książek, formował się jego obóz.

W tym samym jednak czasie, kiedy na miejscu, tu, w Warszawie, sycić się mógł wielkiem wprost zwycięstwem, los każe mu opuścić miasto. Dłuższe lata niedostatku, przyglądzań się, dopomogły piersiowej chorobie, która w nim nurtowała. Lekarze każą mu opuścić Warszawę, każą szukać górskiego powietrza. Wybrał Zakopane.

Skazanie na dożywotnią więź ze słabością, ciągła sanatoryjna o sobie piecza nie może być zaprawdę radością dla czło-

wieka tak żywotnego, tak przepalającego się wewnątrznie, jakim był namiętny autor „Sztuki i krytyki”. Jeżeli jednak weźmie się pod uwagę, że z tą karą choroby przeżył do 64 roku życia, że jednak mógł pracować i działać, to należy stwierdzić, że przymus wyjazdu w Tatry był poniekąd dobrodziejstwem dla jego ducha.

Osiedlenie się w Zakopanem przerwało jednym zamachem jego przynależność do bytu cygańskiego, do tej włóczęgi nerwów i mózgu po ciasnym, mimo wszystko, kręgu kawiarni i pracowni; do tej atmosfery zacieśniającej horyzont, gdzie człowiek zbyt łatwo staje się geniuszem, jednocześnie proklamowanym przez kilkunastu wielbicieli. Po zdobyciu zaś tego stopnia uznania, które się w Warszawie nazywa „powszechną sławą”, po uzyskaniu rumoru we wszystkich salonach i redakcjach, groziło mu znowu inne niebezpieczeństwo: stać się mógł, najbardziej godną współczucia, figurą: faworytem publiczności „syreniego grodu”, — i, jak tylu innych, przed nim i po nim, zbanalizować się, rozproszkować się w mazowiecki piasek, na którym budowane są domy, ulice i artystyczne aspiracje stolicy naszego kraju.

Poza tem, teraz dopiero, po wyjeździe z Warszawy, poznaje naprawdę kraj, Polskę. Witkiewicz zawsze i wszędzie uważa się za syna wsi, na tem tle przeprowadza różnice między sobą, a człowiekiem tak nawskroś miejskim, jakim był np. Aleksander Gierymski—ale ta wiejskość Witkiewicza, jak i polskość jego, aż do wyjazdu w Tatry, wydaje mi się raczej wyrozumowaną, przez intelekt wpuszczoną w uczucie. Inaczej być nie mogło. Małym chłopcem był, kiedy go wywieziono za Ural, na Syberyę, precz od Polski. Później przebywa w Petersburgu, stamtąd pędzi za granicę, do Monachium — potem wraca do Polski, ale do Warszawy, do wielkiego zbiegowiska, które jednak nie mogło mu dać kolorytu duchowego Polski, kraju, który i dziś jeszcze, gdyby chciał, to wieś za swój symbol obrałby musiał, albo miasto tak napół wiejskie, jakim jest Kraków. I jak dalece sentymentowa strona polskości obca była Witkiewiczowi, z młodzieńczego jego okresu rozwoju, świadczy następujące wyznaczenie z korespondencji literackiej: „Kiedym, przed kilkunastu

laty, był po raz pierwszy w Krakowie, wracałem z dalekiego Wschodu. Mało mnie wtedy obchodziły rachunki z przeszłością — zbrodnie i cnoty, leżące pod wiekowym kamieniem grobu — to wszystko, co było i to, co z tej przeszłości zostało w kamiennej ruinie. Wyjechałem wtedy z Krakowa w przekonaniu, że Sukiennice są śmierdzącą kupą gruzów, kościół Maryacki wątpliwej wartości gotykiem, a Wawel tylko brudnymi koszarami". Kilkanaście lat wstecz, o których mówi trzydziestosiedmioletni Witkiewicz (rok 1888) — to czas, kiedy miał już koło dwudziestu lat, kiedy czuł się już w sobie przyszłym malarzem, a więc wiek, kiedy „z urzędu" powinien był przecie odczuć piękno Sukiennic, Panny Maryi, Wawelu. Nie odczuł jednak. Chyba więc brakło tej nici porozumienia, którą przedzie w naszych duszach kultura polska. Ale nie dość na tem. Oto teraz w 1888 roku przybywa znowu do Krakowa, pisze korespondencyę wrażeń do *Tygodnika Ilustrowanego* — znowu niema w niej miejsca na korekturę tamtych, dawniejszych wrażeń! Notuje wiele spostrzeżeń, ale o pięknie Krakowa, choćby z malarskiego tylko stanowiska, znowu nic... Kraków i Małopolskie błonia są jeszcze dlań tylko przystanią „Krakowskiej szkoły" malarstwa, z którą w *Wędrowcu* tyle kopii skruszył; strona polska Piastowskiej i Jagiellońskiej stolicy nie dotarła do niego jeszcze. Zamknięty jest jeszcze w celę swojego artystycznego pozytywizmu, której ściany równie dobrze kosmopolityczną farbą mogły być pobielane. — I dopiero pobyt w Zakopanem, wśród ludu tak nawskroś lackiego, w atmosferze przedchrześcijańskich polskich klechd, pobyt wreszcie w Galicyi, w dzielnicy, bądź co bądź, narodowemi żyjącej normami — naprowadza naturę Witkiewicza na linię ostatecznej polskości. Spada z niego cyganerya warszawska, monachijski pokost, spada nalot lat w Rosyi spędzonych, spada żmudzki regionalizm, odsłania się i w komunię z otaczającą go pra-Polską kamieni i dusz wchodzi najgłębszy instynkt Witkiewicza. Serce białorusina uzyskuje indygenat koronny.

Ta nowa przemiana psychiczna odzywać się odtąd będzie raz po raz w szeregu napisanych, i w większym jeszcze poczcie nienapisanych dzieł: w nieskończonych monologach, które z dzie-

siątkami bliskich sobie ludzi snuł w zimowe tatrzańskie wieczory. Na razie odezwie się przedewszystkiem w nowej jego po „Sztuce i krytyce” książce: „Na przełęczy”.

Pamiętna to jest data, kiedy w noworocznym 1889 r. zeszytcie *Tygodnika Ilustrowanego* pojawił się pierwszy ciąg zapowiedzianych korespondencji Witkiewicza z Zakopanego. Już samo nazwisko autora uprzedzało jaknajlepiej do tych feljetonów, zatytułowanych „Na przełęczy”. A potem temat, Zakopane! Był to początek turystyki polskiej. Dotarcie do Zakopanego było istną pielgrzymką. Żył jeszcze potężny misjonarz „Zakopianizmu” dr. Chałubiński, żył ksiądz Stolarczyk, żył Sabała, zapisany na stałe w literaturze sienkiewiczowską nowelą. Włóczyły się jeszcze po halach cienie zbójników, Zakopane miało jeszcze archaiczny charakter. Dużo już ludzi przed Witkiewiczem powyjeżdżało tutaj po zdrowie i odpoczynek, ale Zakopane nie było jeszcze „letnią stolicą”. Dużo przyjeżdżało ludzi, znało Tatry i górali, oglądało ich chaty i ich zdobnictwo, ale brakło człowieka, któryby wykrył głębszy sens Tatr, któryby się wczuł w indywidualność górala, któryby wskazał wreszcie społeczeństwu, jakie skarby rodzimości tkwią w swoistej kulturze i swoistej obyczajowości górala. Tym człowiekiem stał się dopiero — Stanisław Witkiewicz.

Rewelacye swoje rozpoczyna od chałupy góralskiej. Stylem przejrzystym, obrazowymi zwrotami, a z nabożną ścisłością, pokazuje, jak pięknem *dziełem sztuki* jest budowla tatrzańska. Wymierza jej harmonię, ukazuje ornamentykę, rzuca wreszcie myśl, że chałupa ta jest prawdopodobnie ocalonym dokumentem piastowskiej, średniowiecznej architektury polskiej.

Na kartach następnych książki mamy malarskie portrety mieszkańców tej chałupy: „Zdaje się, że tu przeszła jakaś nawałnica ludów, ras rozmaitych, zostawiając dotąd odradzające się pierwiastki najróżnorodniejszych odrębności indywidualnych, występujące z całą siłą i czystością swych cech szczególnych, lub też zmieszane w sposób najsprzeczniejszy i najdziwaczniejszy. Na tle dwóch krańcowych typów: jednego o wąskiej długiej twarzy, garbatym nosie, wielkiem czole, rysach wykończonych, skórze delikatnej i długich czarnych włosach; dru-

giego o twarzy okrągłej, wydatnych policzkach, płowym włosie i jasnych oczach — na tle tem przesuwają się cała galeria charakterów ludzkich, od wykwintnego piękna, do karykaturalnej brzydoty. Tu, potrząsając długimi, ociekłymi masłem, włosami, przechodzi prawdziwy Apasz amerykański, spalony od słońca, ze spojrzeniem odważnym i dzikiem, z ustami surowo zaciśniętymi. Tam ta sama twarz wyciąga się w garbaty nos owcy, patrzy sennemi oczyma i kurczy płaczliwie usta. Tu wygolony markiz wersalski, z wykwintnym uśmiechem, z ruchami, pełnymi eleganckiej powagi, dumy i grzeczności, z pewnym odcieniem pobłażliwości uchyla kapelusza. Tam znowu opasły prałat rozmawia z jakimiś figurami drewnianymi gotyckich świątyń, które, zdaje się, że tylko co zeszyły ze średniowiecznego ołtarza. Tu senny i smutny orzeł, z tęsknemi oczyma, siedzi zadumany, obok wesołej i sprytnej twarzy polskiego chłopca, który z pod płowego wosa śmieje się z jakiejś poczwary, na której zdaje się skupiać złość, zawiść i podejrzliwość z całego Podhala. Tam twarz mędrca z ogromnem sklepieniem czaszki, okolona długim, białym włosom patrzy łagodnie i rozumnie — ówdzie ruszają się karykatury, mogące ozdabiać rączki lasek i parasoli. Twarze te, rzeźbione są z usilnością wydobywania cech indywidualnych, która przypomina dążenia średniowiecznej sztuki".

Po tym kapitalnym opisie, który jest jakby ożywioną słowem kartą antropologii tatrzańskiej, następuje niemiłej świetny opis fizycznych cech górala, jego giętkości, siły, zwinności; jeszcze dalej doskonale przemyślana charakterystyka psychologiczna górala. Pierwszy bodaj w literaturze przekazuje postrzeżenia prof. Chałubińskiego i swoje własne, mało na ogół idealizując naturę górala. Zwraca, torem Buckle'a, uwagę na zależność charakteru ludzi tutejszych od przyrodzonych warunków, w znakomity, przejrzysty sposób wiążąc w jedną „kompozycyjną całość” władze duchowe górala z ogromem geologicznym, który go od dzieciństwa otacza; daje kilkanaście niesłychanie lapidarnych form i określeń, obrzuca to zajmującymi migawkami obyczajowymi, — tak, że pod koniec wywodu staje przed nami naprawdę żywy typ człowieka ze wszech miar zajmującego, godne-

go uwagi i opieki. Mamy tu skreślony zakres jego uzdolnień, jego filozofię, jego namiętności, jego świat wierzeń, jego stosunek do Kościoła, studium jego języka, jego geniuszu twórczego.

Następnie wchodzimy w świat tradycyi góralskiej. Życie juhasów na halach, jedyna żywa pozostałość z dawnego bytu, tak absolutnie niepodobnego do życia w dolinach Polski. Łowiectwo, nieukrócony żywioł natury góralskiej. Szczątkowe ślady zbójnictwa. Ich bard — Sabała.

Wreszcie same góry. Opis taternickiej wędrówki do Morskiego oka. Nieprzebrane mnóstwo krajobrazów, które malarskie tylko mogło oko zapamiętać, a które znowu przez zmieszane dozy talentów swych lepiej zapewne oddał słowem, niżby mógł wyrazić pędzlem na płótnie. Niektóre z kilkunastowierszowych opisów powinny się znaleźć w wypisach prozy polskiej.

„Na przełęczy” nie podaje tych kolejnych etapów badania Tatr i ludzi w takim porządku, w jakim przed chwilą były one wyszczególnione. Nie podaje ich w porządku wogóle. Książka ta, jak zresztą wszystkie książki Witkiewicza, nie znają systematycznego układu. Każda poszczególna myśl Witkiewicza wykazuje znamiona długotrwałego przetrwania: jest tak jasna, jak jasnym może być tylko ostateczne porozumienie z sobą samym; ale on sam jest zbyt wartkiem, zbyt namiętnym laboratoryum idei, zanadto szczodrobliwym też wobec czytelnika, by go stać było na dobrze ułożony systemat, by mógł zdobyć się na architektoniczny plan książki. Więc zacznie zrazu mówić o fizyczności górala, w tej samej chwili uderzy go à propos przypomnienie o jakimś warszawiaku, potem znowu jakaś wycieczka w góry, Sabała, znowu sprawa fizycznych właściwości górala, dr. Chałubiński, starzy miłośnicy Tatr, pejzaż. Jeden i ten sam wątek rwie się raz po raz — i raz po raz wraca. Budowa książek Witkiewicza zachowuje jeszcze w pełni charakter gawęd szlacheckich z pierwszej połowy XIX stulecia. Ale to ma też swój wdzięk.

W tym samym okresie czasu, kiedy pisał „Na przełęczy” i długie lata potem, kreśli w odstępach czasu nowele góralskie. Wyszły one w roku 1907 w książce p. n.: „Z Tatr”. Są one in-

tegralnym ciągiem „Na przełęczy” i nie mogą być inaczej rozpatrywane, jak tylko w łączności z tamtą pierwszą tatrzańską książką.

Nowele Witkiewicza mają swój własny charakter, niepodobny do utartego typu nowelistyki. Jak w książkach jego, poświęconych jakiemuś jednemu przedmiotowi, czy to w „Na przełęczy”, czy w późniejszym „Juliuszu Kossaku”, czy „Matejce”, tak i w każdej z tych nowel brak jednolitej kompozycji. W nowelach nie działo się to bez świadomego autorskiego zamiaru. Witkiewicz brał bodaj za temat ludzi i zdarzenia prawdziwe. Dodatek fikcji jest tu minimalny, zdaje się. Autor nie ma intencji piętzyć przed nami ani intryg, ani drabiny efektów. Pragnie dać wizerunek duszy, tak jakby dawał portret twarzy, gdyby tę samą ideę wypowiadał środkami malarskimi. Zamiar ów zawadza co chwila o jakąś uwagę, postrzeżenie syntetyczne, o pierwiastek moralistyki, socjologii, czy teoretycznej psychologii. Witkiewicz nie waha się wejść na pole takiej dygresji. Mamy więc znów pewnego rodzaju gawędę, o typie staroświeckiej formy, acz z nowożytnym nawskroś nieraz zagadnieniem treści.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że tym razem taka antykonstrukcja utworów wypływała ze świadomego zamiaru autora. Inna jednak rzecz, czy zamiar ów nie wypłynął z musu. W duchowości Witkiewicza tkwiło splątanie kilku wokacyi intelektualnych: malarza, poety, logika, agitatora. Splątanie tego rodzaju, że w węzle tym każdy z poszczególnych talentów krępował i przygniatał inne. Jego zapęd malarski trzymany był na wodzy przez logikę, która mu nasuwała zbyt wiele autokrytycyzmu, by dar plastyczny mógł się swobodnie rozszumieć. Na straży niewątpliwego uczucia poetyckiego stała kontrola oka malarskiego, która mu nie pozwalała powiedzieć nic więcej ponadto, co źrenica może wychwytać z rzeczywistości, trzymała jego duszę za poły, gdy dusza chciała przestąpić poza ten próg niezbędny dla poezji: w stopień wyobraźni. Doskonale zorganizowana władza logiki, dar formułowania jasnej myśli popędzane były temperamentem agitatora czynu i boju, który to temperament witkiewiczowską ścisłość myślenia pchał w przesadę, w przeja-

skrawioną prawdę, by była bardziej widoczną, bardziej słyszalną, prędzej zwycięską.

Można też przypuszczać, że na jakimś cząstkowym nieporozumieniu, na przestawieniu talentów oparta była droga artystyczna Witkiewicza. Kto wie, czy kilkunastoletnia jego praca malarska, poświęcenie się sztuce plastycznej nie było skośnym wpływem z poetyckiej, najgłębszej w nim, inteligencji. Czuł słusznie, że stworzony jest do służby sztuce — i przypuszczał, że konkretną kategorią tej służby powinno być malarstwo. Tymczasem obrazy jego — wbrew nawet głoszonym przezeń zasadom i teoryom — bardzo często mają pierwiastek właśnie literacki. Silniejszym by może nieraz odezwały się echem, gdyby je ująć w kształt pisanego utworu. Zanadto wyjątkową był indywidualnością, a dość w nim było — wprost powiedzmy — zarysu genialności, przy imponującej ambicyi, by i w tej dziedzinie nie dojść do znacznych wyników. Ale rychło nad twórcą bierze w nim górę analityk, staje się autorem „Sztuki i krytyki u nas”. Podejmuje nową dziedzinę pracy, by służyć malarstwu, jako swojej dotychczasowej sferze twórczości, sam może nie wiedząc, że teraz dopiero wchodzi na właściwszą dla siebie linię rozwoju. Dotychczas jednak nie wychodzi z tego typu pisanania, który jest czystą literaturą. Może czuje jednak, że przy tym rodzaju, przy bezwzględnej prozie, pozostaje w nim jakiś nieuzewnętrzniony pierwiastek. To potrzeba poezyi. Pobratanie się z Tatrami ośmiela w nim ten niewyzwolony dotychczas żywioł. „Na przełęcz” posiada już pęd poetycki, ten, na jaki stać było Witkiewicza, ten pęd, korygowany przez pozytywistę. Oto jest nowe dobrodziejstwo, jakie mu dało Zakopane.

Ale „Na przełęcz” jest jeszcze poezją malarza. Opisuje to, co widzi jego oko: naturę i sztukę. Jest jeszcze, w dalszym ciągu, pejzażystą i teoretykiem sztuki, jest też, ku radości swego temperamentu — agitatorom nowej sztuki, dostrzeżonej w architekturze i zdobnictwie góralskiem. Na drugim planie pozostaje poezya obyczajowości, tradycyi, oraz spostrzeżenia psychologiczne. Te zresztą są raczej naukowe.

Dopiero w nowelach występuje w pełni poeta duchowych wnętrz ludzkich. Można powiedzieć, że po raz pierwszy w odczuwaniach Witkiewicza wynurza się człowiek.

W epoce malarskiej, potem w epoce *Wędrowca* człowiek jakby nie istniał dla Witkiewicza. Zajmował go, jako suma światła, cieni i „barw lokalnych“, łamiących się na jego twarzy. Absolut sztuki pokrywał sobą tę jakąś niewiadomą, która się nazywa *duszą*. Można powiedzieć, że ton krytyk Witkiewicza, ton bezwzględny, sprawę sztuki tylko znający, nie widział ludzi w artystach. Nie obchodzili go. Atmosfera pracowni, debat artystycznych, potrzeba wyrąbywania dróg dla *idei* usuwała mu za kulisy jego zainteresowań to, co później stanie się taką siłą jego twórczości: poetyckie duchoznawstwo. Dopiero w *Zakopanem*, w samotniczym skupieniu, w przymusowym odaleniu się od nerwowej płataniny zagadnień artystycznych, zaczyna zauważać, że istnieje to, o czym czasem słyszał, o czym teoretycznie wiedział: królewsko bogaty świat wnętrza ludzkiego. Zrazu interesuje go w tym świecie tylko to, co jest gotowem dziełem sztuki; takim gotowem dziełem sztuki był np. Sabała. Dostrzegawczy, wiecznie pytaniem, żadnem odpowiedzi, naładowany aparat intelektualny Witkiewicza nie poprzestaje jednak na tem. Wielkimi swemi oczyma sonduje każdego poznanego człowieka — i przekonywa się, że w najniepozorniejszych nawet typach zakłeta jest jakaś głębokość.

Tę prawdę zdobytą wypowiada kolejno w każdej z nowel. Każda z nich jest historią niepozornej duszy — i rozwarciem zasłony, która zakrywała głębokie perspektywy.

Więc oto *Wojtek Gandara*, biedny oszalały góral, któremu się widzi, że jest właścicielem obszernych włości, a on jest naprawdę nędzarzem, wyrobnikiem. Łachman socyalny, marzący zimą w chlewikach, uparcie marzący o tem, jak się kiedyś zagospodaruje na swych dziedzicznych obszarach w Murzasihlu (wieś podhalańska). „Wojtek nigdy nie żebrze. Jeżeli przyjmuje szóstkę na tytoń, zawsze prosi, żeby ją zapisać, że jak dobra swe sprzeda, zwróci. Nie chce brać nic za darmo i nie lubi wyglądać, jak żebrak. Swoje biedne przyodziewki łąta skrzętnie i za uzbierane dudki kupuje sobie tak dobre portki i kapelusze,

jak najhubszy gazda; owszem, nie byle z kim się mierzy; ma takie poczucie elegancyi, taką miarę tego, co i jak należy na portkach, lub cuze wyszyć, że z krawcem dobrze i długo uradzi, nim przyjmie nowy przyodziewek. Słowem wrócić mu gazdostwo w Murzasihlu—będzie z niego rzeczywisty i dobry gazda—ale to gazdostwo pozostanie na zawsze w wyobraźni Wojtka. Komuś się zdaje, że on dziad bezdomny, a on tymczasem orze, sieje, las rąbie, buduje, chodzi po jarmarkach, sprzedaje, kupuje, bogaci się — jest tegim, zamożnym i potrzebnym ludziom chłopem. Złudzenie zresztą tak powszechne! Wszyscy ludzie mają takie gazdostwa na Murzasihlu; wszyscy żyją nie tem, co mają, tylko tem, w co wierzą, że mieć mogą. Nie tylko jednostki, narody całe żyją taką myślą o idealnej ojczyźnie... Ktoś, znający dobrze Wojtka Gandarę, nazwał to gandaryzmem. Bez gandaryzmu ludzkość by nie wyżyła". — Obok Wojtka Gandary, druga postać z gór: *Zośka Galicka* i jej przybrana córka Margośka. Typ podobny do tej bohaterki z arcydzieła Dygasińskiego: „Margielka i Margielka". Ta sama cichość duszy, potulność, to samo zapracowanie się dla innych. Pełną poezyi jest linia jej serca, którego nie potrafią zbrudzić ani źli ludzie, ani kryminali, dokąd się dostaje przez chciwość, przez nikczemność swojego gazdy. Próba skreślenia postaci, któraby była niewiedzącą o sobie świętością. — Tuż obok pełen plastyki *Jędrak Cajka*, uosobienie góralskiego temperamentu, skondensowanie w jednym człowieku nadmiaru sił fizycznych tej rasy, hodowanej przez naturę do nadludzkich wysiłków. Jego los życiowy — ślepotą i utratą rąk przy dynamitowym rozsadzaniu skał; dożywotnie więzienie tego ludzkiego rysia w klatce swego kalectwa — i niespodziewany, świetnie pod względem psychologicznym postawiony wynik niedoli: budzenie się duszy w tem pięknem, olśniewającym egzwierzęciu, wydobywanie ze swego wnętrza uczuciowego i umysłowego metafizyki i świata moralności. — Wreszcie jedna z pierwszych chronologicznie nowel Witkiewicza: „Na Umarcie". Zapatrzenie się jeszcze w świat sabałowych Tatr, w świat zbójników, rozkochanie się w tych czasach, kiedy nieokiełznana tężyzna Jędrków Cajków miała jeszcze ujście w wolnem, jeśli kto chce, to nawet: romantycznym życiu wiecznych z niedźwie-

dziami i władzą państwową zapaśników. Takim przez trzydzieści lat był zbójnik Samek. Aż przychodzi nań chwila, kiedy uczuwa, że nie starczy mu sił na dalsze życie, stawiane co chwila w natężenie wielkoludzkie. Schodzi w doliny, by w chałupie ojcowskiej zemrzeć. I tu obraz nędzy duchowej orła, przykutego do ściany. Farbami Jana Jakóba Rousseau malowane przeciwstawienie natury i cywilizacji, z wyraźną inklinacją ku pierwszej, duszenie się fizyczne i moralne, płuc i duszy, przywykłej do nieobjętego powietrza hal — w zakończeniu uroczysty obraz śmierci poetycznego zbója — wpatzonego w ukochane szczyty.

Oto szereg figur i opowiadań, któreby należało wszyć w sceneryę „Na przełęczy”, by stanowiły pełniejszą jeszcze całość studium. Charakter nowelistyczny nie wadziłby, bo, jak było mówione powyżej, charakter ten skojarzony jest z tym samym medytatorskim pierwiastkiem, który cechuje i pierwszą tatrzańską książkę Witkiewicza. Najmniej go w „Na umarcie”. Tutaj Witkiewicz pozostaje jeszcze w łożysku wpływów Sabały, tego wielkiego artysty, który opowiadania swoje układał nader konstrukcyjnie, z poczuciem harmonii tem samem, które Witkiewicz tak trafnie wyszedził w architekturze chałupy góralskiej. Najwięcej publicystyczną, *à thèse* filozoficzną, moralistyczną jest *Zośka Galicka*. Ku intencjom artystycznym, już własnym Witkiewicza, przechyla się znowu *Jędręk Cajka*. Niektóre sceny, niektóre momenty żywiołowy mają pęd wielkiej belletrystyki. Z doskonałym odczuciem przeprowadzony też jest proces pasowania się duszy z fizycznością w ubezwładnionym od nie szczęścia człowieku.

Witkiewicz nie przechodzi do historii literatury, jako beletrysta; zbędną więc może rzeczą byłoby wyszukiwanie mu tutaj miejsca, charakteryzowanie ogólne tego łamu jego twórczości. Natomiast nieobojętą liczbą kulturalną jest inicjatywa, jaką literaturze i sztuce polskiej nadało „Na przełęczy” i nowele: „Z Tatr”.

Świat tatrzański wszedł na warsztat kultury polskiej w czasach, znacznie wyprzedzających Witkiewicza. Pisze o nim Staszic, korzysta zeń Goszczyński, przeczuwa jego symbol Słowacki w ułamkach dramatycznych „Beniowskiego” i w „Zawiszy

Czarnym", zużywa jego piękno Mickiewicz w „Konfederatach barskich". Wielkim misjonarzem Tatr staje się dr. Chałubiński. Odkrywa je niejako. Ale pierwszy dopiero Witkiewicz ujmuje w systemat, jeśli się tak wyrazić można, uczuciowe entuzjazmy Polaków dla tej granitowej granicy ojczyzny. Po nim dopiero powstaje ten prąd, który się nazwać już godzi „szkołą tatrzańską w literaturze i sztuce polskiej". Po nim powstaje liryka pejzażowa Franciszka Nowickiego, Tetmajera, Kasprowicza, Micińskiego i tylu, tylu innych, po nim Sienkiewicz z góralskich pomników słownictwa i składni zaczerpnie materiały do języka Polski w „Krzyżakach", po nim Matlakowski przeprowadzi studia nad sztuką i zdobnictwem na Podhalu, po nim góry nasze wejdą do muzyki w „Morskiem Oku" Noskowskiego, w motywach Żeleńskiego i w. i., po nim rozejdzie się po kraju tysiące krajobrazów górskich, prześliczne notatki taternic Mieczysława Karłowicza, aż wreszcie Kazimierz Tetmajer zapisze legendarny świat Tatr swoimi wspaniałymi rapsodami: „Na skalnem Podhalu" i „Janosikiem Nędzą Litmanowskim". — A tuż obok niego, z ludu i z rasy tych ludzi, których tak dojmująco ujął Witkiewicz — powstaną indywidualności tak silne, zajmujące i świeże, jak Orkan, Jedlicz. Nie wspominam o społecznych konsekwencyach, wyrosłych na inicjatywie „Przełęczy", na entuzjazmie i znajomości Tatr; zatrzymuję się tylko na tem naprawdę silnem, agitacyjnem pchnięciu, jakie dla „szkoły tatrzańskiej" uczyniły książki Witkiewicza. W nich to, jakby w zawiązku fizyologicznym, była już gotowa cała szkoła: była kwintesencya obrazowego piękna kraju, było sformułowanie swoistego wdzięku sztuki tutejszej chłopskiej, było odczucie wielkości w życiu, zanotowanie legend, ukazanie rasowych, godnych uwagi pierwiastków w góralu. Z tego fizyologicznego zawiązku rozrosła się poezya i sztuka od poezyi—włóczęgi po górach, roznieczonej w dziesiątkach tysięcy turystów, aż po poezyę „Skalnego Podhala" — chluby naszego piśmiennictwa u zarania XX stulecia.

(D. N.).

Adam Grzymała-Siedlecki.

RUDYARD KIPLING¹⁾.

(Dokończenie.)



swych zajmujących i barwnych „Pielgrzymkach literackich”, Henry Bordeaux, charakteryzując poezję Kiplinga, opisuje chwilę, kiedy zwiastowała mu się jej cała doniosłość narodo- wa. Był w Londynie podczas karuzelu wojskowego: w świetle i przepychu tego widowiska po raz pierwszy ujął istotę imperyalizmu angielskiego i jednocześnie uchwycił związek organiczny pomiędzy polityką, dążącą do „większej Brytanii”, a całą działalnością poety, sławiącego energię, marzenie i cnotę. „Olbrzymi hipodrom, gdzie igrzyska odbywały się — pisze Bordeaux — był wypełniony dziesięcioletnim tłumem. Zwycięzców witano okrzykami, które urosły do szału i zachwytu po ukazaniu się marynarzów. Duma bezmierna prężyła ten tłum, miotła nim przez cały czas defilady orkiestr wojskowych, czer-

¹⁾ Patrz *Stinks* Nr. II—III 1915.

wono umundurowanej gwardyi królewskiej w olbrzymich czapach włochatych lub Szkotów w krótkich spódniczkach i z gołemi nogami. Odgłosy kobzy zlewały się w umyśle moim z obrazami krajów i legend, pełnych melancholii, ze wspomnieniami z Walter Scott'a. A przeraźliwe piszczalki, górujące nad werblem bębennym, pomimo jego siły, naciągnęły mi nerwy, udzieliły swego niepokoju i niecierpliwości — do ruchu i do czynu. To samo wrażenie wywiera poezya Kiplinga: przemocą stawia nas na nogi i krzyczy nam koło uszu, że wspaniałym może być tylko czyn".

Tylko czyn. W wywyższeniu pierwiastka czynnego natury ludzkiej, w wyluskaniu istoty nowożytnej teraźniejszości z jej powłoki bezwładu i apatyj, w rozegzaltowaniu jednostki na korzyść ogółu — państwa angielskiego — wdzięczne społeczeństwo dostrzegło czyn — poetycki tylko, lecz równorzędny z narodowym, do którego zagrzewa i który wielbi przy pomocy słowa tak żywego, jędrnego i realistycznego, że, gdy ustąpi początkowe oszołomienie, czy też przerażenie czytelnika, mimowoli przychodzi na myśl porównania z wielkiej poezyi angielskiej — z czasów Szekspira. Więc nie w pięknem opowiadaniu o treści egzotycznej, lecz w silnych poematach o dążnościach imperyalizmu leży dla rodaków Kiplinga punkt ciężkości jego dzieła. Francuzi robili mu nieraz zarzut, że to sławienie militującej żywotności przeradza się prawie w kult siły¹⁾. Natomiast porywy, pełne liryzmu, z jakim Kipling mówi o rozproszonych po kuli ziemskiej synach Anglii, których tęskne i rozmiłowane oczy w stronę ojczyzny zwracają się, ta mistyczna emocya, której nie brak w poematach jego, wygładzała nadwreżone z krytyką francuską stosunki, — i udobruchani Francuzi z zachwytem mówią dzisiaj o wojowniczym poecie. Coprawda czasy są po temu.

Już wtedy właśnie, kiedy „wśród szczęku oręza zamilkły muzy", ukazało się wspaniałe wydanie „Śpiewu Anglików"²⁾,

1) „Revue internationale de l'enseignement" — avril 1915 — artykuł p. Charles Cestre.

2) A song of the English by Rudyard Kipling with illustrations by W. Heath Robinson.

które właściwiej zatytułowane być winno, jako „hymny angielskie”. Grzmiąca i bohaterska, a czasem tragiczna muza Kiplinga (najbardziej zbliżona do Kaliopy) spotkała się na kartach tej książki z talentem ilustratorskim W. H. Robinsona, który rozświetlił całym szeregiem przepięknych, alegorycznych, czasem nawet do symbolu wznoszących się postaci kobiecych, tło tej syntezy życia angielskiego. Od pierwszej karty unosi się ku nam trochę apodyktyczny, lecz apostołskim umiłowaniem kraju natchniony wskaźnik obowiązków narodowych Anglika. Choć kraj jego piękny i obfite dziedzictwa, chociaż Opatrzność zakreśliła dlań drogi do krańców świata, naród powinien być korny, w radości zachowywać umiarkowanie, a zwątpieniu nie poddawać się nawet w chwilach niedoli: bo choć grzechy władców i znieprawienie własne pogrzyżć go mogą w hańbie i zbrukać rąb jego szaty, chociaż błędnie potykać się będzie na drogach, to wina za to spadnie na złych doradców, — a z tymi Bóg się policzy. Naród niech trzyma się wiary, przekazanej przez ojców, niech unika chimer mądrych lub przestarzałych — one prowadzą do nierządu, tak jak brak wspólności w wysiłku zawiedzie do niewoli: „a od dzieci naszych niewolnych potrójnie Bóg żądać będzie”. Baczyć na prawa trzeba, w posłuszeństwie się ćwiczyć, zło z kraju usuwać, dróg szukać i brodów i u nich mosty stawiać; „zabezpieczcie własność każdego, aby zbierał tam, gdzie czynił siew. Przez pokój pomiędzy ludami waszymi świadectwo dajcie, że służymy Bogu”.

I kiedy natchniona apostrofa poety dobiegła do końca, przed oczami naszymi zaczyna się przesuwac plejada tych czynników, których współdziałanie zapewnia potęgę Brytanii. Więc naprzód symbole techniczne jej władzy nad morzem z dumą pożyteczność i humanitarność swych istnień podnoszą. Śpiewają o tem kable podmorskie z „pustyni głębokości”, tam gdzie nie ma ani dźwięku, ani światła. Za ich sprawą znika odległość i czas, one stoją na straży i na pośrednictwie pomiędzy częściami świata, zachęcają ludzi do ustalenia braterskiej jedności. Na cześć Anglii śpiewają latarnie przymorskie, one, które baczą, aby okręty angielskie płynęły bezpiecznie nie tylko w nieskończoność letnich wieczorów, kiedy gładka jest powierzchnia mo-

rza, lecz i podczas burzy na kanale, kiedy jej ryk ściera się z groźnymi porykami syren okrętowych: rzucają wtedy świetlne mosty na ciemną otchłań — i to jest pierwsze pozdrowienie, które Anglia śle wracającym synom.

Do szczytu ekspresyi wznosi się Kipling w następującej pieśni, w „hymnie śmierci”: ponure rozmyślenia osnute są na tragizmie patryotycznym doli Anglików. Przecież świat cały usiany ich trupami i ku nim śmierć swój hymn żałobny zawodzi ze wszystkich zakątków ziemi: i z północy — gdzie leżą, obok skórą obitych sanek, ze wzrokiem zastygłym, skierowanym w stronę bieguna, na urwiste złomy lodowe; i z południa — gdzie z kośćmi koni poplątały się szkielety ludzkie, wybielone przez wiatr ognisty, co ze łkaniem i ze szczekiem podnosi mgły kurzu z suchych koryt rzecznych. Głos śmierci pokrzykuje i w dżungli o rozpalonych wyrwach i w zwodniczych przestrzeniach pustyni, która ludzi oszukała, głodem i pragnieniem ich domęczyła. Wszędzie rozsiane mogiły Anglików.

Kiedyś byli marzycielami i śnili sny o pięknie, żyjąc życiem śpiącym w ludnych i natłoczonych miastach. Linie dalekich horyzontów, za którymi w dół biegną drogi nieznanne, były im udręką, a do katuszy tej przyłączyły się wizye stron obcych i sny o potędze i bicz potrzeby. Aż wola, co nie była ludzką wolą, wyprowadziła ich w świat, bo i jeleni ucieka ze zwierzyńca. Z wiarą małych dzieci poszli, aby szukać nowych dróg, a gdy zabrakło żywności, kiedy wysechł ostatni źródój, legli i pomarli. Pod kurhanami piasku, wśród łachmanów paproci leżą kości ludzi i znaczą drogę dla tych, co pójdą w ich ślady i także może spoczną w gościnie u śmierci. Lecz z krwi powstanie siew, a gdy ten zakwitnie kwiatem i w owoc dojrzeje, synowie zmarłych przyjdą znowu i po kościach przydrożnych odszukają to, co należy się im — w spadku.

Więcej jeszcze spanoszona i wszechwładna hula śmierci na toniach morskich, pełnych uroku i zdrady. Przecież ocean — to wielki całun, co przykrywa rozkład najbujniejszego kiedyś życia, bo to idzie zwykle na ofiarę ojczyźnie. Na tysiące lat Anglia nakarmiła morze trupami swych synów, a morze woła ich ciągle nienasycone. Przecież między falami niema ani jednej,

coby nie znaczyła śmierci Anglika. Wszystko, co mieli najlepszego, rzucili na pastwę rekinom i na przewrotność burzy. „I jeśli krew jest ceną władzy nad morzem — jęczy poeta — o, Panie, myśmy spłacili ją sownicem“.

Nigdy teraz przyływ ku brzegom nie idzie, aby nie niość z sobą statku do ojczyzny, i nigdy odpływ nie idzie ku morzu, aby krwią angielską piasku nie splamił i trupa nie porzucił na opuszczonem wybrzeżu. Za morze płaci się krwią — i trzeba je znowu nakarmić na lat tysiąc, bo takie przeznaczenie Anglików i w tem ich duma. Tak było dawniej, kiedy żaglowce pod falami znikają, tak jest dzisiaj, bo i potworne parowce kładą się na skalne z pod wody występy tam, gdzie błyskają blado-niebieskie światła. I skargą brzmi tryumf poety: „jeśli krwią okupić trzeba władzę nad morzem, Panie, myśmy ją drogo kupili“.

Z lamentu i ze skargi, która płynie na konieczność ofiary ludzkiej dla potęgi przyszłych pokoleń, wyłania się powoli hymn życia, potężny w swej prostocie i w zapomnieniu o tem, co mogłoby nadwątlić siły do lotu. Synowie Anglii wracają do macierzy i u drzwi, stojących otworem, zrozumieli, że ani zdrada żywołów, ani straszniejsza jeszcze zdrada ludzi dosięgnąć ich nie może. Kiedy od smutku śmierci i od troski przyziemnej oczy matczyne odwróca się ku tym, którzy wrócili do ogniska, to z dumą spojrzą na silnych i licznych, bogatych i oświeconych potomków swej krwi. Macierz zawoła tych, co u kolan jej stoją, aby mówili z tymi, co z za morza przybyli i w darze z sobą niosą miłość bez obietnic i nie żadną nagrody. Gdy wypowiedzieli swe nadzieje, pragnienia i bóle, wielką ekstazą wzbije się głos Anglii-matki, aby dzieci błogosławić.

W skupieniu słuchają głosu tego ludzkiego, co nie zwyczajeni słuchać czyichkolwiek rozkazów: ona jedna ma prawo przemawiać tak, bo przecież oni są krwią z jej krwi i kością z jej kości, nieugięci, jak byli ich ojcowie i silni, jak będą ich dzieci. Związek pomiędzy nimi trwalszy jest nad życie, i głębsza od mowy jest ich miłość, tak, że zewnętrzne oznaki są zbyteczne.

Ramię matki jest krzepkie, siły jej nie zanikły. Chociaż synów urodziła dużo, łono jej nie wyschło. Miejsce dla powracających robi, aby z braćmi swymi porozumieć się mogli szcze-

rze, patrząc oko w oko, o tem, co potrzebą jest dla dobra ich ludów i dla dumy ich rasy. Uczynią także jeden ślub: dopóki trwa związek krwi pomiędzy nimi i ojczyzną, dopóty Anglia wiedzieć będzie, że ich dobro należy do niej, a oni czuć będą, że jej siła za nimi stoi, aby w dzień wielkiego „Armageddon'u”, w ostatecznej wielkiej walce, dom ich opierał się na wspólnych siłach i aby filary nie padły.

Oni stanowią prawa, aby przez nie rządzone były kraje, a Anglia nacisku wywierać nie będzie, bo są dziećmi jej krwi i matką ją nazywają. I kiedy zwyczajem angielskim rozmówią się z bracią swoją w słowach skąpych, lecz ścisłych, powrócą do rozpoczętego dzieła — silni, uparci i niebaczni na pokusy chwilowej chwały, a wytrwali w pracy, w mądrości i potędze. Tak mają żyć ci, którzy nie są ani dziećmi, ani bogami, lecz ludźmi w świecie ludzi.

Wiarą w rodaków, nadzieją w przyszłość i miłością do ojczyzny tchnie ten „śpiew bez mistrzostwa”, jak go określił Kipling; — a jednocześnie nazwał siebie „śpiewakiem bez wartości”... Jest to jedna z licencyi mistrzowskich, których nie weźmie mu za złe obcy, a tem mniej rodak jego, do czynu podniecany epickim tonem poezyi i tym sposobem myślenia starożytnych o potrzebie ofiar dla czasów przyszłych, o ścisłości związku pomiędzy obywatelem i jego krajem, pomiędzy pokoleniem dzisiejszem, a temi, co przyjdą.

Błogosławiony jest wpływ poetów na myśl narodu.

August Popławski.

VITA - SOMNIUM GRAVE...

Idziemy razem przez ogromną puszcze,
której się stopa nie tknęła niczyja,
za mną w trop czołga się przestraszu żmija
i bładym kręgiem serce mi spowija:
wokół w potwornych kształtach drzemią kuszcze...

Jak wielki owad, nadeptany nogą,
serce się we mnie wznosi i opada — —
Gdzieś za masztami drzew szłocha dryada:
w liściach ukryła twarz białą i biada
melodyą dziwnie piskliwą, złowrogą.

Idę powoli wążką, nagą miedzą
w coraz ciemniejszą niemą, martwą głuszę.
Wracać nie wolno już, dalej iść muszę — —
Wśród pni paproci sterczą pióropusze,
popod którymi cienie rzędem siedzą.

Ty ze mną idziesz ... cicha i umarła:
w duszy swej włokę ciężką trumnę twoją,
już mi nie jesteś bolem, lecz ostoją,
gdzie kwiaty, więdnąc, tchem śmiertelnym poją —
jak dłoń dusząca, kładąc się wkrąg gardła.

W głębinach duszy od wieków cię niosę,
jak Przeznaczenie może, lub jak winę,
której nie zmażę niczem, z której zginę.
Wracać nie mogę, a już całe sine,
jak głąb otchłani, stopy moje bose ...

Puszcza mnie chwytą, by w stalowe członki,
szlak ciasnej drogi wciąż ścieśnia i zwięża:
Darmo mi ramię wysiłek rozpręża:
pęka, jak brzeszczot kruchego oręża
i puszcza bierze mnie w stalowe członki.

Gałęzie, w sploty skrócone i kłęby,
sieką po twarzy mej, aż krew z niej ścieka,
parzących liści zielonkawa rzeka
chłonie i dławi, a tam dalej czeka
puszczy mocarny ród: olbrzymie dęby ...

Ciemności płachta otula mnie gruba — —
Nie wiem, czy drogą idę, czy bezdrożem,
nie wiem, czy nad mem, skoro padnę, łozem
promień zakwitnie niemym, jasnym stróżem,
czy mi powieki na sen zamknie z g u b a. — —

Ach! dęby, dęby! — — szum ich mnie obala,
Gdyby orkanem rychoczące płuca,
wydziera członki ze stawów i rzuca,
wdziera się w serce i na śmierć rozsmuca,
jak wielka fala, wielka czarna fala.

Z rykiem się na dół ciska tłum gałęzi
świszcząc dokoła zębatem koliskiem,
a każda na mnie pocisk za pociskiem
miota i włóknem owija mnie ślizkiem,
niby pętlicą i na miejscu więzi.

Ha! dęby, dęby... Szum, jakby gardziele
wód się przerwały i tu biegły, ku mnie,
w olbrzymiej, wściekłej szaleństwa kolumnie — —
Już tu są! Ryków i piorunów tłum mnie
ogarnia zewsząd, topiąc kły w mem ciele...

— Ty moja smętna, ty żalosna moja,
uśpiona wiecznym snem na dnie mej duszy,
ciebie nie dojdzie, ani nie poruszy
dzika melodia krwawych pióropuszy,
przy tobie cisza, samotność, ostoja.

Staby-m i znuzon— Z rąk wypadła zbroja
srebrna, od której w przestrzeń biły blaski,
na kamień twardy i kruszy się w trzaski...
Śmierć we mnie godzi, lecz nie krzyczę łaski,
moja żalosna, o przesmętna moja!

Przy tobie cisza, samotność, ostoja,
życie bez życia, źródło w kryształach ściętych,
świat wielkich oczu, w głąb duszy cołnity,
blade w przepaściach zbiera dyamenty — —
O, smętna moja! O, żalosna moja!

A tam za barki orkan mnie rozjadł
porwał i rzucił na skrzydła olbrzymie,
zmieszał z powietrzem i człowieka imię,
jak świstek przedarł. W chmur kurzących dymie
nakształt księżycy tkwiłem twarzy zbladłej...

Teraz ryk gromów, świst wichrów, huragan
u stóp twych przyklął i w martwe oblicze
kornie spogląda smętne, tajemnicze,
spogląda z lękiem i zcicha skowycze,
jak rab, przed chwilą batami osmagan...

— Czas w dalszą drogę. Chodźmy razem znowu
w świat, mający przed nami, daleki,
ty we mnie, z tobą ja przez wieków wieki,
nakształt łkającej, przerażonej rzeki,
pchniętej przemocą w głąb wąskiego rowu.

Z gąszczu, z zarośli, poplątanych z sobą,
niby olbrzymów ręką tkanych sieci,
wchodzimy w polanę. Słońce, co tu świeci,
oświeca groby. Ni ptak nie przeleci,
ni kwiat nie westchnie: wszystko tu żałobą.

Dokoła nieme, osłupiałe drzewa,
brodate masą mchu karły milczące,
ciężkie powietrze tu, a blade słońce,
niby wygnaniec błąka się po łące
i wiadra mętnej krwi po niej rozlewa.

Każda powietrza cząstka piecze, parzy,
wpija się w skórę, wchodzi w krew i truje,
gęsty, duszący pył po niem się snuje,
jaki rozwółczą w proch uschnięte tuje
po grobach starych, zmurszałych cmentarzy.

Larum tu dzwoni bezimienna trwoga,
czeluść przeraża bez brzegu i bez dna —
Słońce! a jednak noc tu, noc bezgwiezdna — —
Pustką stojąca, głucha sień zajezdna,
skąd dawno uszła wszelka ludzka noga.

Bogusław Butrymowicz.

ŻYWI.

...wiem już, czemu trzeba jęku
I krwi — i widzieć, jak z lwem się kto bije,
Albo na ostrze piersią paść otwartą?
By nie zapomnieć, żeś żyw.

...tyle warto

To wszystko.

Norwid.



Wtedy idea zatęskniła do czynu, wielu z nich porzuciło zamki swoje i poszło zanurzyć ręce we krwi. Odwagi dodawała im może myśl, że nie ujdą z życiem. — Ci bowiem, co wrócili, nie zastali już wznoszonych kiedyś w najtrwalszej pracy myśli, w najgłębszem natchnieniu i woli, pałaców duszy.

Wtedy odwrócili oczy od zwalisk i rozpiezchli się po różnych miejscach ziemi, o kłęse swojej milcząc i czekając na nowy dzień.

Ten, który zamieszkał w przytułku, ukrywał się, jak przestępca. Z nim razem mieszkał też mały chłopiec, który sprzedawał dawniej na ulicy czerwone książeczki. Właściciel zamku spotkał go zziębniętego i płaczącego w owym pamiętnym dniu

swojej klęski. Chłopiec płakał, bo nie mógł nic sprzedać. Nie wiedział, że książeczki trzeba trzymać w rękę i głośno wołać tytuł. Właściciel zamku zabrał go wtedy ze sobą i odtąd zawsze byli razem.

Chłopiec nieraz zapytywał, co naprawdę stało się z tym zamkiem, który podobno zawalił się w owym dniu właśnie, kiedy się po raz pierwszy ujrzeni.

Właściciel zamku rozglądał się po barłogach, na których leniwie i nieprzystojnie leżeli półnaczy nędzarze, i mówił, że zapewne przyczyną zawalenia się zamku była lekkomyślna miłość jego dla tych wydziedziczonych. „Przecież nie znałeś ich jeszcze wtedy”, tłumaczył chłopiec. „Więc może dlatego właśnie ich kochałem”, odrzekł cicho właściciel zamku.

— Powiedz mi jeszcze raz, czy to prawda, że zamku twojego nie było widać z ulicy?

— Tak, to prawda.

Chłopiec uśmiechnął się pobłaźliwie, ale nic nie rzekł, by nie zasmucać przyjaciela. Jednakże był już za duży na to, aby wierzyć w takie legendy.

Po pewnym czasie chłopiec uprzykrzył sobie nędzny przytułek i towarzystwo smutnego człowieka. Zapragnął żyć własnym życiem. Stał się więc miły i serdeczny dla opiekuna, ponieważ zamierzał go opuścić.

— Jakże tobie odpłacę za te lata dobroci? — pytał. — Jestem młody i lekkomyślny. Czemu tak źle umieściłeś swoje uczucia? Muszę odejść.

Właściciel zwałonego zamku pogodził się z tem rozstaniem.

— Nie chcę ci zawiązywać życia — odrzekł. — Odejdź. Marzyłem wprawdzie, że ty pomożesz mi odbudować zamek. Ale to mniejsza. W tym przytułku nie jest mi znowu tak źle...

Chłopiec odszedł, marząc, że zostanie żołnierzem.

Kiedy od zawalenia się zamku upłynęło blisko lat dziesięć, murami przytułku zatrzesły pioruny, przelatujące świat.

Właściciel zamku pomyślał: oto nadeszła chwila. Podłożył ogień pod mury przytułku i wyszedł na miasto, kierując się częstym łoskotem piorunów.

Idąc, zatrzymał się na tem miejscu, gdzie stał niegdyś jego zamek. Na zwaliskach zostały przesłiczne, dzikie kwiaty przebaczenia.

Ukląkł przeto, jak klęka się na grobie, który przestał już krwawić serce, a jeszcze napełnia oczy cichemi łzami ukojenia i przymierza.

Między zaroślami kwiatów odnalazł szczelinę i zawalone gruzem stopnie wgląb. Niepewnie zeszedł do podziemi — i ujrzał ze zdziwieniem, że sklepienia trzymają się jeszcze, sklepienia grobów. Że przecież nie wszystko runęło.

W jednej trumnie znalazł klejnot rodowy. W prochu walały się zbroje i miecz po antenatach.

Pomyślał: jeżeli nawet traci się zamek, to przecież zawsze pozostają groby.

Mając miecz, zdam się jeszcze na to, aby walczyć.

Został żołnierzem i miał za komendanta owego niegdyś zziębniętego na mrozie chłopczyka, który nie umiał sprzedawać czerwonych książeczek.

Młody wódz był nieustraszony i okrutny. Rozkazy padały z jego ust, jak zimne błyskawice. W bój leciał pierwszy na swym koniu, cały w połyskach i ogniach, miecąc w głębinę śmierci setki ludzi. Śmiał się z litości tak samo, jak z niebezpieczeństwa. Żołnierze wielbili go, żyjąc, i ginęli za niego, mlecznem wejrzeniem konania goniąc jego postać groźną i cudną archanioła.

Odnalezienie go tutaj sprawiło właścicielowi zamku radość krótką i gorzką.

Wiedział bowiem o tej garstce wybranych, o tych młodych herosach, że walczą tak nie z wrogiem tylko, ale z leniwemi, otrutemi rozpaczą sercami swoich. Że tylko oni za cały naród swój podnieśli słowo życia, sobą dali świadectwo jego istnieniu. Że się zaparli w sobie wiary w przeznaczone braterstwo ludów, aby jeden swój lud podźwignąć z prochu trumien na światło dziejów.

Przewyciężyli w sobie wiare, nie rozumiejąc nawet, że ta ofiara jest największa — i że zaledwie mieli prawo ją ponieść, nie obowiązek. Albowiem wiedział to i pamiętał z dnia swej klęski, że kiedy idea chce umrzeć, wówczas tęskni do czynu.

Pamiętał też z przed lat, jak pachnie jasna krew, z rany cichutko płynąca. Czerwone mroki boju były dlań czemś znajomem, ale zawsze nieznaną była mu dusza ludzka.

Przybliżał się, patrzył i zasłaniał oczy. I myślał znowu: składa się w tym boju ofiarę znacznie większą, niż życie. Ci wszyscy, młodzi i zachwyceni, są straceni już, zanim zginą. Jak ja kiedyś, opuścili zamki swoje, a może nawet świątynie — i nie będą już mogli do nich wrócić, nawet nie znajdą drogi.

Raz, gdy szedł do ataku na bagnety, poczuł instynktem jakby tworzącą się pustkę poza sobą. Nie był to lęk, tylko niejasny smutek osamotnienia, chęć powzięcia pewności, że tuż obok, że wszędzie naokoło są towarzysze i bracia.

Obrócił się i przekonał, że istotnie był w błędzie: miał ich za sobą, całą masę tych najbliższych sercu, zwartą, sprawnie naprzód idącą. Ale źle było, że ujrzał tak na mgnienie ich wszystkich oblicza — przychylone ku karabinom, z dołu mętne oczami patrzące, o chrapach z nadmiaru wojennej ochoty, z nieprzytomnego zbytku odwagi dyszących.

Nie mógł znieść tego widoku — i on, niegdyś podobno skrytobójca, zemdłał.

Minęli go bokami, jak łabun koni omija pień ściętego drzewa. Myśleli, że ranny. Ale podźwignął się prędko i biegł za nimi i zdążył jeszcze na rzeź. I mając w uszach kwik ludzi kłutych, pojmował w udręce nad siły, że ta właśnie ofiara ich jest największa.

Węszył wkoło siebie, w tej gromadzie młodych, radosnych i wierzących, groźne i nieustające niebezpieczeństwo bitwy: jej rozkosz. Wojna obudza, jak głód i miłość, uszione mroki dusz człowieczych. Radość walki, radość zadawania ran, które nam były przeznaczone, radość siania śmierci, aby się od niej wykupić, cały ten huk ognisty i różowy szła zasłania oczom cel daleki, jedyny i ostateczny tej katowni, dna piekieł, które — o wolności marząc — stworzył człowiek.

W zwycięstwie jest smutek. Rozkosz jest tylko w bitwie.

Myślał: oto są młodzi i radośni, nie znają przerażenia, ani wahań. Poco im zamki, skoro mają namioty?

Odtąd, idąc do boju, był chmurny i marzył o śmierci. Czuł się niegodny życia, jako ten, który wątpi. Marzył o śmierci i widział z gorzkim zachwytem, jakie zniszczenie siała ta kompania rycerska, jak się biła hardo i rozpacznie. I myślał: ich przegrana byłaby zwycięstwem zła. Ale czy ich wygrana będzie zwycięstwem dobra?

— Jestem przecież pomiędzy nimi — zdumiał się. — Cemuż to mówię: oni, nie zaś: my?

Wiedział, że tam, gdzie nie poradzi już myśl człowieka, wątpliwość rozcina tylko czyn. A nic już innego zdziałać nie umiał dla sprawy, tylko umrzeć.

Jednego dnia zgubił w boju swój miecz, zabrany z grobów rodzinnych. I nawet nie starał się go odnaleźć, wydawał mu się bowiem nazbyt rycerski, za ciężki i nieprzydatny. Idąc później pobojowiskiem, schylił się nisko i, zasłaniając dłonią oczy, podniósł z ziemi walającą się tam szablę nieprzyjacielską. — A gdy rozejrzał się dokoła, zobaczył teraz dopiero, że właściwie wszyscy oni walczą tą samą bronią, bronią wroga.

Ściskając czoło rękami, pasował się ze zgrozą podejrzenia, że wzniosła piękność umęczonego kraju rodzinnego wynika może z jego słabości. Że — silny — stanie się, jak inne silne, te, którym w walce pozostawił jednak wybór broni. Że najwaleczniejsi z ludu wezmą ze sobą w swoje marzone jutro dziejowe oręż, zabrany obcym trupom na pobojowiskach tej wojny

A tak myśląc, szedł w nowe boje bez wytchnienia, bo straszliwa ta sprawa była jedyna dobra, jedyna nieodzowna i przeznaczona. Bez wytchnienia szukał śmierci, a widział tylko, jak towarzysze ślali się łańcem wokół niego. I wzrokiem umiераjącym oglądali nie swoje słońce już, tylko jego refleksy w cichych połyskach bagnatów, na miękkich wstęgach mitraljez i lufach dział.

— Tylko ty żyj — prosił młodego wodza.

Tamten uśmiechał się niebacznie.

— Nie jest ważna śmierć, tylko zwycięstwo.

— Dlatego właśnie żyj. — powtórzył. — Bo ty nie wątpisz.

Młody wódz roześmiał się znowu niebaczny i hardym śmiechem wojownika.

— To nic, jeżeli umrę, — powiedział. — W każdym razie *mnie jest więcej, aniżeli ciebie.*

I właśnie jednego dnia, gdy się wdarli do okopów długo bronionych i wyrznęli resztę opierającego się jeszcze nieprzyjaciela, — padła w szeregi wieść groźna, że wódz jest ranny ciężko i umiera.

Swojego najmilszego niegdyś chłopca znalazł pod osłoną szpitalnego namiotu. Leżał na noszach, gruby od waty i bandaży. Prawą rękę i nogę oddarte miał od kadłuba, był nieprzytomny i wkrótce miał umrzeć.

Pochylił się nad jego czarnymi ustami, coś szepczącemi. Myślał: czy to jest krew, czy noc? Nie słyszał słów. Twarz wodza krzywiła się bezradnie, jak kiedyś od cichego płaczu w dzieciństwie. Skrzydlate brwi ściągnięte były od nadmiaru męki.

Był to wysiłek bezwiedny, aby doczekać do samego końca, aby podźwignąć ten nadludzki, w udziale mu przypadły, móżół cierpienia.

— To nic, że umieram. Umierają tylko ci, którzy żyją — mówiły usta umierającego. A ciało pełniło w męce ciężką pracę konania.

Z za nagiego brzoźowego gaju, skąd przez gałązki przeglądała podszyta pyłem różanym, śliwkowa chmura zachodu, odnowa zaterkotały mitraljezy.

— Żywi tylko umierają — powtarzał konający. — Tem żywi, że umrzeć mogą...

Właściciel zamku dźwignął się, by wrócić na pozycję.

Zofia Rygier-Nałkowska.



KRONIKA.

I. *J. H. Fabre.* 1823—1915.

Umarł znakomity przyrodnik, poeta-entomolog, szerszym kołom inteligencji naszej zupełnie prawie nieznanym, Jan Henryk Fabre. Syn ubogich włościan z Saint-Léons, od najmłodszych lat obcując z przyrodą, odczuwał ją z całą wrażliwością subtelnej duszy artysty. Dzieciństwo spędzone wśród cudownej i blizkiej mu natury, pozostało na zawsze we wspomnieniach uczonego i opromieniło niejedną złą chwilę w życiu. A tych mu ono nie szczędziło. Już jako kilkunastoletni chłopiec wyjeżdża z rodzicami do miasta i tam, zmuszony przez biedę, porzuca nauki, aby zabrać się do ciężkiej pracy zarobkowej. Jest kolejno handlarzem ulicznym, tragarzem i Bóg wie jeszcze czem, lecz każdy grosz oszczędzony obraca na książki i uczy się z taką pilnością, że kiedy zdarza się sposobność wstąpienia do szkoły w Avinionie, zdaje do niej egzamin konkursowy. W 19-ym roku

życia, po uzyskaniu dyplomu, wyjeżdża jako nauczyciel na Korsykę i tu wzbogaca swój umysł szeregiem obserwacji nad przyrodą południową. Wtedy również poznaje botanika Requieren, który zaznajamia go z rzadkimi okazami roślinnymi, dotąd Fabre'owi nieznanymi, oraz Moquin-Tandon'a, profesora z Tuluzy, naturalistę i człowieka wszechstronnej nauki. Jemu to Fabre zawdzięcza, że odszukał drogę, po której miał kroczyć do końca życia.

Przeniesiony do Avinionu, przebył tam na stanowisku nauczyciela około 20 lat. Wprawdzie umiłowanie przedmiotu zrobiło z Fabre'a dobrego docenta, jednak cała ta działalność pedagogiczna była przezeń uważana za przymus, za smutną konieczność w walce o byt. Pomimo nawału pracy szkolnej, nie przestaje oddawać się badaniom naukowym, które są jego prawdziwym powołaniem. Udaje mu się zrobić genialny wynalazek: alizarynę sztuczną, rodzaj barwnika roślinnego, mogącego wywołać zupełny przewrót w farbiarstwie. Ludzie sprytni i przedsiębiorczy potrafili praktyczniej myśl Fabre'a zużytkować, aniżeli tego był w stanie dokonać sam wynalazca, który też wraca do nauczycielstwa. Zmuszony względami materialnymi, zabiera się do pisania swych prześlicznych „Livres d'initiation”, tak bardzo przystępnych dla młodych umysłów. Pracy tej przyświeca piękna myśl wyrugowania niezrozumiałych i bezbarwnych podręczników szkolnych, które nie zachęcają ucznia, a przeciwnie, nużą go i odstręczają od nauki; każda bowiem praca, której się nie rozumie — zniechęca. Trzeba w istocie bardzo ukochać naukę, aby rozniecić zapał do niej w innych — i Fabre to właśnie potrafił.

Za protekcją inspektora szkół, Duruy'a, który umiał ocenić Fabre'a, rozpoczyna on szereg wykładów na kursach w Saint-Martial; wykłady te jedną mu uwieliwienie słuchaczy i słuchaczek (Duruy był zwolennikiem emancypacji kobiet na polu nauki), niestety, na skutek intryg zawistnych kolegów i zgorszonych dewotek, oszkalowany publicznie, zmuszony jest wykładów zaniechać.

Znużony i wyczerpany przeciwnościami życia — porzuca zawód nauczycielski i osiada na stałe w cichym, zapadłym ką-

cie — Sérignan. Tu zaczyna życie, o którym marzył; zatapia się poprostu w swoim parku, żyjąc wyłącznie z ukochanymi owadami. Park ten jest, według jego wyrażenia: „laboratorium żyjącej entomologii”. W ciszy i spokoju zaczyna pracować nad „Zapiskami entomologicznymi”, do których materiały zbierał przez całe życie i teraz, późno wprawdzie, bo w 60-ym roku życia, wydaje w odstępach paroletnich swoją 10-tomową pracę¹⁾.

Szczęściem nazwać można, jeśli nie dla niego, to dla jego geniuszu, że nie uzyskał katedry uniwersyteckiej, jak tego z pobudek materialnych pragnął: mógłby się bowiem zatopić w dogmatach i suchej teorii, do czego działalność akademicka nieraz doprowadzić może, — kto wie, czy nie zatraciłby świeżości umysłu, żywych i oryginalnych poglądów na tajemnice nauki. Tylko w warunkach, jakie mu dało Sérignan, mógł pracować tak owocnie, tak indywidualnie, nie uznając żadnych dogmatów ustalonych. Przykładem niech służy stosunek jego do teorii Darwina. Nie zadowala się wykazaniem omyłek tegoż, ale objaśnia, z jakich to powodów popadł Darwin w błędne dowodzenie.

Fabre stara się rozwiązać znaczenie starych baśni i odkryć w nich tę cząstkę prawdy, jaka się mieści nieraz w rzeczach nie do wiary, a nawet fałszywych. Analizuje więc La Fontaine'a i poddaje krytyce zdania Apolla Horus'a. Ciężka dotąd do czytania entomologia, dopiero przez Réaumur'a powołana do życia, przemienia się dzięki niemu w wykład przedziwnie zajmujący. Widzimy dokładnie wszystkie właściwości charakteru każdego stworzonka — i tego, co zamieszkuje pod ziemią, i tego, co żyje w trawie, a każde z nich ma nam coś ciekawego do powiedzenia o sobie. Konik polny np. jest zupełnie różny od tego lekkoducha z bajek i opisów, albo tajemniczy skarabeusz, którym chciał się Fabre zająć głównie w swojej eposie.

Ile skromności, ile cierpliwości ujawnia Fabre przy badaniach! Jeśli czegoś wytłómaczyć nie jest w stanie, wtedy z nadzwyczajną prostotą przyznaje, że tego nie wie. Jakież to przeciwieństwo do tych, którzy nie będąc czegoś pewni, pod wpływem

¹⁾ Souvenirs Entomologiques-Études sur l'instinct et les moeurs des insectes.

iluzji, stawiają przypuszczenia i popełniają tyle fatalnych omyłek! Ze zdziwieniem musimy zauważyć, jak mało ludzi posiada zdolność obserwacji. Gdyby poddać badaniu drobiazgowemu wszystkie zagadki życiowe, przekonalibyśmy się, ile jest jeszcze zgoła ciemnych kwestyi wśród tych teorii, które są ogólnie uważane za ustalone.

Na tle walki z teorią ewolucyi i transformizmu nawiązuje się między Fabrem a Darwinem korespondencya, trwająca około dwóch lat. — Widać z niej, że te dwa z pozoru tak wrogie sobie umysły, żywią względem siebie zobopólnie wielkie uznanie.

Spokój absolutny i ciągłe obcowanie z przyrodą, które dla poety-przyrodnika, jakim był Fabre, stanowiło zawsze największe szczęście, pozwalające mu skupić się w sobie, pogłębić i uporządkować czynione obserwacje całego życia. Po tylu latach tułaczki dobił nareszcie do portu i znalazł warunki, o jakich zawsze marzył. Tutaj może zapomnieć o dotychczasowej, ciągłej zależności, o walce o byt — tu dopiero czuje się sobą. I teraz naprawdę zaczyna nowe życie. O ile dawniej, jako nauczyciel, czynił zaledwie obserwacje, o tyle teraz wżył się w świat przyrody całkowicie i obejmuje go szerokim rzutem oka. Każda roślina, każdy owad, przybiera dlań postać osoby żyjącej, bliskiej i dobrze mu znanej. Fabre prawdziwie, z oddaniem kocha ten swój świat i umie i w nas miłość do niego zaszczepić.

Jest to pierwszy uczoney, który wprowadził metodę eksperymentalną do badań nad duszą zwierząt. W obserwację wkłada tyle trudu, tyle zapału, że najmniejsze objawy z ich życia nie są dlań obce, — to też z miłością starego przyjaciela odnosi się do wszystkich stworzeń i w ślicznych, a prostych słowach przedstawia nam ich porywy, miłość, macierzyństwo; ich trud, pracę i mozolną walkę o byt — zarówno jak ujemne strony, a więc brak solidarności u kraba, usuwanie starych i słabych u osy. A jak wszystko poprostu opisuje! Niema w tem śladu sztucznego artyzmu, frazesu, wszystko jest jasne, żywe, wpływa ze szczerego zachwyty i przejęcia się całą duszą umiłowanym przedmiotem. Z wielką subtelnością maluje Fabre drobne rysy charakteru, usposobień, a opisy jego są tak bajecznie żywe, że widzimy, dokładnie, a co więcej odczuwamy wraz z te-

mi maleństwami wszystkie ich radości i smutki. Opisy Fabre'a pouczają nas, ile materiału dostarczyć może poezji sucha nauka i że poezya, jak ogień ukryty, wszędzie, wkoło nas i w każdym najdrobniejszym tworze istnieje utajona, trzeba ją tylko umieć odczuwać.

Starość nie odejmuje Fabre'owi nic z zapału do pracy. Sława jego przeszła dawno granice kraju, mimo to interesuje tylko wybraną elitę uczonych i poetów (np. Rostand'a). Ludzie jakby zapomnieli, że w cichym zakątku mieszka starzec, jedna ze wspaniałych gwiazd współczesnej cywilizacji, genialny przyrodnik i jeden z najgłębiej czujących poetów. Nareszcie, późno wprawdzie, bo w 87 rocznicę urodzin, przypomniano sobie o Fabrze. Sorbona obdarza go złotym medalem i skromną pensją, zaś Akademia Sztokholmska medalem Lineusza.

Zrozumiano nakoniec, że jakkolwiek nie zgadza się on z głównymi doktrynami, które opanowały współczesne umysły, to jednak Fabre jest tak wielkim uczonym i poetą prawdziwym, że ignorować go dalej niepodobna.

I oto schyłek życia Fabre'a opromieniła aureola sławy. Jako ogólnie czytany i podziwiany, staje w rzędzie autorów popularnych. Spodziewać się należy, że dzieła jego zdobywać będą coraz większe zainteresowanie i poczytność nie tylko wśród uczonych, ale wogóle wśród wszystkich miłośników przyrody i zarazem zawartej w niej poezji.

II. Teatr.

Warszawa owładnięta prawem reakcyi pełną piersią „używa na Moskalach”. Pławi się poprostu w rozpamiętywaniu niedoli wczorajszej, z dreszczem nałogowca ogląda widowiska, odtworzające piekło dni minionych i z zadowoleniem chwyta szcze-

gół każdy mrocznej opowieści o kaźniach i prześladowaniu. Sceny warszawskie — a jest ich nawet jak na stolicę liczba dość poważna — prześcigają się w doborze sztuk jaknajbardziej sensacyjnych. Pijany żołdak „moskiewski”, czy dziki „kat oprawca” i bezwinną ofiarą ich barbarzyństwa, szlachetny i wzniosły, wszechprzebaczący i poświęcenia pełen dla wszystkiego i dla wszystkich „wygnaniec z ziemi ojczyściej” — oto refren nieustanny onych widowisk patriotycznych, jakie się niepodzielnie rozsiadły na deskach teatrzyków warszawskich. Dziesiąte pawilony, Sybiry i tajgi północne, gwiazdy Syberyjskie, Kościuszki petersburskie i jak się tam te wszystkie razem utwory sceny popularnej zowią, rozbestwiają uczucia pierwotne tłumu, sycąc je karmem niewyszukanym niezdrowej sensacji aktualnej. I gdybyż te wszystkie sztuki teatralne posiadały istotną wartość, gdyby cel miały nie tylko uczciwy, ale i rozumny, odegrałyby dużą nawet rolę w kierunku uświadomienia narodowego mas i potrafiłyby je zbudzić do życia dla Ojczyzny. Poczęte z bezsilnego sentymentu ujarzmionego niewolnika, nie zaś ze źródeł życiodajnej mocy narodu — pieją swe pienia żalotne, pełne rezygnacji karygodnej i nie szacunek, lecz litość budzącej bezsiły. Jasnowłose dziewczę polskie o dwu, bławatką przystrojonych, warkoczach, chyli swą główkę na piersi zbolelej starego szlachcica (w konfederatce, z pawiem piórkim), z którego oczu przygasłych płynie łza. A ułan śpiewa pieśni polskie. Blichtr to sceniczny i teatralność, którą co prędzej wylepić należy. W życiu dzisiejszem, pełnem mozołu i pracy, gdzie dostojność cierpienia i siła odrodzieńcza narodu wyrazem być winny polskości — niema miejsca na malowanki. Zerwać należy z roztkliwieniem i rzewnością rodzimą, i wymieść je co prędzej po za dziesiątą granicę. Dopóki one panować bezkarnie w życiu naszym będą, nie pozbedziemy się nigdy tego fałszu patriotycznego, który żołnierza polskiego na trud bojowy i na znój w tekturę muzealną przystroił. I paraduje ułan-Belinowiec po ulicach Warszawy w czako ułańskim na dziw i na pośmiewisko ulicy. Tu nie wystarczy wzruszenie ramion i uśmiech politowania. Pastusze piosenki i maskarada nie przystoją dziś zwłaszcza, kiedy się walczy o byt narodu i o jego przyszłość.

Naród nic z tych scen przeszłości nie skorzysta, nie zaczerpnie z nich mocy wytrwania, ani też choćby krzepiącej nauki. Ze wstydem tylko i upokorzeniem przyjrzy się raz jeszcze własnemu pohańbieniu i przed własną się wzdrygnie niemocą. Usunąć mu tedy z przed oczu należy te litowania pełne obrazki, bo jeśli one mają dać wyraz przepaści, jaka nas dzieli od wczoraj, to i bez nich ta przepaść nigdy się nie wyrówna. Dość już w życiu mieliśmy tej zmory duszającej, aby ją jeszcze w scenicznych oglądać obrazach. Nie bądźmy podobni choremu, który się w rozdzieraniu własnych ran lubuje i przez to tylko powrót swój do zdrowia opóźnia.

Sezon krakowski dwumiesięczny, w którym wystawiano sztuki anti-rosyjskie dla przejeżdżających „królewików“, z chwilą upadku kordonu zawitał na stałe do Warszawy. Dla kas teatralnych nielada to żniwo! Sceny warszawskie opanowała konkurencya, licytując zachłanną ciekawość stolicy. Zarówno wartość sztuki, jak i sposób wystawienia utworów wartościowych, nie wchodzi w rachubę kierownictwa teatralnego. Byle puścić bombę i ściągnąć jaknajliczniejsze rzesze zgłodniałych sensacyi warszawiaków. A że się przytem samą sztukę byle jak wystawi — furda, Raclawice i tak uratują kasę, a dzielny Bartosz kosą napędzi tłumy, że teatr pęknie. I nieźle byłoby przypomnieć dyrektorowi pouczającą bajkę rosyjską o znanym tytule: „Liaguszka i woł“, której zakończenie zapisujemy na tem miejscu ku pamięci, rozwadze i pouczeniu kogo należy, w brzmieniu oryginału: „S natugi łopnuła i akalięta“.

Ze wszystkich teatrów, uganiających się zawzięcie za modnym obecnie repertuarem, względnie jeszcze najtaktowniej postąpił Teatr Polski przez wystawienie — Mereżkowskiego.

Sztuka sama, obfitująca w niesłychane dla warszawiaka sensacje—jest kroniką dramatyczną w ośmiu obrazach, przerobioną z powieści historycznej przez samego zresztą autora. Ma tedy, jak każda taka transpozycja, wszystkie jej wady. Osoby główne dramatu, jako że zrodzone są w tonie powieściowym, nie mają na scenie dość silnego wyrazu charakterów, nie żyją. Indywidualizacja postaci historycznych startą jest w fabule romansopisarskiej, tem większe przeto daje pole do opisu aktorom, aby ją zdołali wydobyć i uplastyczyć. Epoka dziejów niezwykle ciekawa, choć mało u nas na ogół znana, postać cara, który w przeciętnym pojęciu Polaka żył w mętnych tylko zarysach, jako mało znaczące przejście dwu wielkich w dziejach naszych epok: carowej Katarzyny i Aleksandra — usprawiedliwiają zaciekawienie, jakie ostatnia premiera w szerokich kołach społeczeństwa wzbudziła. Z natury rzeczy stosunek widowni do sceny musiał być krytyczny. Mglistość sytuacji psychologicznych, ujawniająca się przedewszystkiem w rysunku postaci naczelnej, powieściowość charakterów działających, a nadewszystko dająca się wyłuskać nić sympatii autora do przedstawianego środowiska, utrudniająca czystość rysunku sytuacyjnego, o wiele łatwiej osiągalnego z pewnego uczuciowego dystansu — krytycyzm ten potęgowały. Widz łatwo mógł się zdezorientować z kim właściwie współczuć mu każe autor? Czy ze spiskowcami, których raz, jako zbawców czterdziesto milionowego ludu rosyjskiego przedstawia, to znów ich niemiłosiernym biczem satyry chłoszcze w obrazie VII-ym, czy też z carem, napoły obłąkaną i nieszczęśliwą ofiarą spisku, z którego dzikich poryków rozbestwionego lwa dobywa w końcu litość budzące beczenie zarzynanego barana?

Gra aktorów, zarówno jak i wiele trudności nastęrczająca reżyserya sztuki były na ogół bardzo poprawne. PP. Węgrzyn i Zelwerowicz święcili tryumf niezaprzeczony w granicach powyżej zaznaczonych nieporozumień aktorskich. Spazmatyczna rola Aleksandra w interpretacji p. Węgierki miała chwilami wyraz zdecydowanej histeryi. Walka, jaka się toczy w duszy cesarzewicza pomiędzy uczuciem synowskiem, a obowiązkiem władcy, wierzącym, iż naród swój uszczęśliwi, winna wywoływać wra-

żenie zmagania się tragicznego, nie zaś nieustannego spazmu. P. Węgierko uczynił z roli tej maryonetkę rozplakaną, dobrowolnie rezygnując z pozorów hamletyzmu, w jakie był autor wyposażył tę postać. Jedna jeszcze nasuwa się nam wątpliwość — z dziedziny reżyseryi — czyżby rzeczywiście przyjęcia na dworze petersburskim odbywać się miały nie w salonach, a w westybulu i na schodach do wnętrza pałacu wiodących? Wątpliwość ta o tyle jest na miejscu, iż, na ogół biorąc, wystawa (obraz I-szy zwłaszcza!) uchodzić może za przykład staranności chwalebnej i sumiennosci, czyniącej zadość wybrednym wymaganiom.

Wł. Kłyszewski.

II. Organizacja robót publicznych i kwestya robotnicza w prasie warszawskiej.

Stanowisko *Dziennika Polskiego* w stosunku do wewnętrznych formacji ruchu robotniczego nie jest dla nas jeszcze jasno określone. Zdając sobie sprawę z doniosłego znaczenia klasy robotniczej dla całokształtu życia narodowego i przeciwdziałając „zwynarodowieniu” jej, *Dz. Pol.* w artykule p. L. Chrzanowskiego ujmuje początkowo bardzo trafnie „najbliższe zadania klasy robotniczej” (d. 24-go sierpnia):

„W momencie, kiedy zarówno władze ewakuacyjne, jak i okupacyjne o losie rzesz pracowniczych nie myślały i myśleć nie będą, jedynie do całego społeczeństwa polskiego apelować i jedynie z niem całym łącznie nad swoją dolą i niedolą robotnik polski radzić może i musi.

Widzimy wyraźnie, że dwa dominujące hasła z 1905 roku, głoszące o „wschodnich rynkach zbytu” i o tem, że „tam ojczyzna, gdzie chleb”, dalekie były od realnej prawdy życia. Jasnym jest dziś nawet dla słabo orientujących się, że zarówno „dawany” chleb ze

wschodu, jak i obiecany z zachodu, tylko demoralizację wynarodowienia w ostatecznym rezultacie przynieśćby musiał.

Robotnicy, jako dobrzy obywatele kraju, muszą sobie uświadomić, że tworząc i odbudowując zburzone przez obcy rząd organizacje, kładą podwaliny pod ogólny gmach narodowy, muszą więc te podwaliny zakładać być świadomie, jako jedna z części ogólnej narodowej budowli".

Wyglądałoby to na chęć popierania *polskich* związków zawodowych. Lecz ta wyłączość już znika np. podczas referowania konieczności pomocy głodowej — argumenty przytaczane przez rozmówcę („Organizatorzy i agitatorzy” przez p. Ad. W. — *Dz. Pol.* z d. 15-go września), a w naszym pojęciu podzielane przez dziennik, wspominają już tylko „o związkach zawodowych”, nie kładąc nacisku na ich charakter narodowy.

Ten sam brak widzimy i w „zapowiedzi przemian” przez p. Mieczysława Baumgartha w *Dz. Polskim* (z 30-go września i 1-go października) zreferowanej. Przemiany mają dotyczyć ruchu robotniczego, który obecnie, bez przeciwdziałania ze strony rządu rosyjskiego, skoncentruje się w *jednej* partii robotniczej. O tem, jak ta partya i jej działalność wyglądać mają w stosunku do sprawy polskiej, dosyć niejasne mamy pojęcie z artykułu, zakończonego czysto „klasowym” tematem:

„Ufać należy, że to dążenie do stworzenia organizacji robotniczej jednolitej i ogarniającej jaknajliczniejsze rzesze (która urzeczywistnić się musi przedewszystkiem w dziedzinie gospodarczej, gdzie zgodność interesów robotniczych jest najwyraźniejsza) nie ograniczy się na tych przejawach. Siegnąć ono musi poza Polską Partję Socjalistyczną, poza Polskie Związki Zawodowe, aby „i z innych organizacji robotniczych wydobyć wszystkie te jednostki, które nie w krzykactwie „rewolucyjnym” i bezmyślnem warcholstwie widzą swe zadanie, ale w twórczej pracy dla dobra ogółu robotniczego, dla tych wszystkich celów, które muszą być wspólne wszystkim robotnikom polskim”.

Jako ciekawy dokument chwili przytaczamy za *Gazetą Poranną* z d. 4-go października cyrkularz, rozesłany przez Prezydium Policji w Warszawie w sprawie pośrednictwa w wysyłaniu robotników do Niemiec:

„Wśród ludności robotniczej m. Warszawy i okolic powstały mylne zapatrywania na stosunki prawne robotników polskich, którzy zostali zaangażowani do Niemiec. Podobno rozpowszechniana jest nawet niedorzeczna pogłoska, że robotnicy owi włączeni zostają do armii niemieckiej. Kto wymyślił taką, naturalnie zupełnie kłamliwą, pogłoskę i ją rozpowszechnia, postępuje nisumiennie względem tutejszych pozostających bez pracy robotników. Leży bowiem w interesie robotników, którzy z powodu braku roboty i płacy cierpią nędzę wraz z rodzinami swojemi, ażeby takowi w jaknajszerszych rozmiarach kórzystali z nadającej się dogodnej sposobności znalezienia popłatnego zarobku w Niemczech. W danym wypadku interes pracodawców niemieckich schodzi się z interesami warszawskich robotników. Dlatego też jest zupełnie zrozumiałem, że robotnicy ci doznają od władz niemieckich różnych udogodnień, w rozmiarach przewyższających takowe w czasie pokoju.

Sposób wypłacania zarobków zostaje również często źle zrozumiany. Nieprawdziwą jest pogłoska, iż wypłata zostaje uskuteczniata tylko w naturze, przez dostarczenie mieszkania, utrzymania i odzieży i że reszta zarobku zostaje wniesiona do ksiąg oszczędnościowych, tak, że ojcowie nie mają możności opiekować się pozostałą w domu rodziną. Zapłata uskutecznia się gotówką; mieszkanie i wyżywienie pracownicy po większej części dostają w domach fabrycznych. Zaprowadzono jedynie ograniczenia dla pracodawców względem robocizny, że zobowiązano ich do odsyłania pewnej części zarobków do Cesarsko-Niemieckiego Prezydium Policji w Warszawie, stosownie do ilości głów w rodzinie danego robotnika. Cesarsko-Niemieckie Prezydium Policji następnie za pośrednictwem Komitetu Obywatelskiego wypłaca te pieniądze rodzinie. Przez wniesienie więc powyższego postanowienia do treści kontraktów zatroszczono się właśnie jaknajlepiej o pozostałych w kraju rodzinach. Przedstawicielom tutejszych biur pośrednictwa pracy zostały udzielone wszystkie odnośne wyjaśnienia.

W końcu należy również nazwać mylnem zapatrywanie, iż w samej Warszawie jest w szerszym nawet zakresie dosyć roboty, lub, że jej wkrótce będzie poddostatkiem. Nie można wcale liczyć na to, ażeby tutejsze fabryki wkrótce miały być uruchomione w zasługujących na uwagę rozmiarach. Powody tego są znane. Przez stworzenie dla zaspokojenia nędzy naglącej może pracy, robotę może znaleźć tylko

nieznaczną część robotników, co również tutejsi przedstawiciele polskich biur pośrednictwa pracy. Przeciwnie, jak wiemy z doświadczenia, z nastaniem pory zimowej wzmoże się jeszcze napływ bezrobotnych do Warszawy.

W interesie robotników leży zatem, ażeby wszyscy ci, którzy wraz z żoną i dziećmi chcą uniknąć zimy pełnej niedostatków i nędzy, niezwłocznie postarali się o pracę. Centralna organizacja robotnicza przy Cesarsko-Niemieckim Prezydium Policji, Krucza 31, rozporządza wielką podażą pracy dla robotników wszelkiego rodzaju od niemieckich pracodawców".

Kłęska ekonomiczna, jaka nawiedziła kraj nasz w chwili obecnej, niezaprzeczenie najbardziej daje się we znaki sferom robotniczym. *Nasza Trybuna*, mianująca się organem głównym interesów tej właśnie klasy, winę i odpowiedzialność za drożyzną artykułów najpierwszej potrzeby i orgię spekulacyjną kładzie na karb Komitetu Obywatelskiego, który jakoby w działaniach swych kieruje się polityką i uprzedzeniami klasowymi.

„A więc przypatrując się naszym stosunkom społecznym, spostrzegamy odrazu w czem różnią się objawy przeżywanego u nas kryzysu drożyznianego od podobnej sytuacji w wojujących krajach zachodu. Spostrzegamy, że choć drożyzna i spekulacja grasują wszędzie, gdzie u steru władzy stoją klasy posiadające, to niejednakowe są ich stopnie, jak niejednakowem jest przeciwdziałanie klasy robotniczej i jego skutki. Widzimy, że tam klasa robotnicza jest zorganizowana, posiada do swego rozporządzenia wszystkie środki oddziaływania na klasy rządzące i posiadające, zapobieganie i przeciwdziałanie drożyznie przybiera inną postać; nie wychodząc z granic półśrodków, czasem zresztą dość energicznych, hamuje zapędy kapitału i ogranicza wyzysk.

Zupełnie inaczej dzieje się u nas. W kraju, który słusznie może być nazwany rajem kapitalistów, a piekłem robotników, wszystkie przywileje kapitału zostały wyzyskane od chwili katastrofy wojennej. Burżuazja zorganizowana klasowo w dwóch instytucjach, reprezentujących kapitał rolny i przemysłowy, występuje jawnie na widownię życia społeczno-politycznego i z udziałem a poparciem drobnomieszczanstwa ujmuje cugle gospodarki krajowej. Komitety

krajowe i miejskie ogarniają swą siecią wszystkie zakątki życia i stają się narzędziem przewodzenia burżuazyi, jej polityki społecznej i ekonomicznej".

Nieufność tedy do obywatelskiej działalności Komitetu budzi w *Naszej Trybunie* podejrzania odnośnie do wszystkich zarządzeń instytucji obywatelskiej naczelnej. — Stojąc na stanowisku klasowo-politycznym, dąży *Nasza Trybuna* do wywalczenia reprezentacji świata robotniczego, aby zwalczyć i okiełznać poczynania burżuazyi, działającej świadomie, zdaniem cytowanego organu, ze szkodą i krzywdą rzesz robotniczych.

Chodzi więc *Naszej Trybunie* w pierwszym rzędzie o utrzymanie w czystości niepokalanej zasad i teorii międzynarodówki. Żegna się krzyżem świętym na wspomnienie odstępstwa licznych wyznawców idei socjalistycznych na Zachodzie, chwalać sobie poczciwe polskie „po staremu”.

„Na terenie polskiego — pisze N. T. w Nr. z dn. 23/X — życia sytuacja przedstawia się o wiele lepiej, niż zagranicą. Masy robotnicze wyraźnie przeciwstawiły się naporowi socjal-nacyonalizmu i oryentacyom burżuazyjnym. Historia ruchu robotniczego w Warszawie podczas wojny wykazuje, że polski socjalizm pozostał wiernym swoim starym tradycjom”.

Zachłanność programowa międzynarodówki nie omija nawet szkolnictwa. I w tej dziedzinie prac i działalności Komitetu dopatruje się *Nasza Trybuna* w N-rze cytowanym powyżej perfidnej polityki klas posiadających, która ma na celu utrzymanie analfabetyzmu w kraju.

„Wzajemne stosunki klas w Polsce, których interesy uplastyczyły się znakomicie we wszelkich komitetach obywatelskich z jednej strony, w tendencji do odbudowania robotniczych związków i organizacji — z drugiej, nie wymagają wielu wyjaśnień. Nawet taka, napozór dalej od polityki stojąca, kwestya szkolna, stała się probierzem wyklarowania reakcyjnej istoty polskiej burżuazyi. Prędko okazało się, że z gromkich słów o powszechnem nauczaniu nic nie będzie, bo, pocóż wszyscy robotnicy mają umieć czytać? To nie jest wygodne!”

Przy K. O. m. Warszawy powstała komisya, mająca zorganizować inspekcję fabryczną. Postanowiono powołać do niej 3-ch delegatów robotniczych, w tym celu 18/9 odbyło się zebranie przedstawicieli związków zawodowych, o przebiegu którego cytujemy za *Gońcem*:

„P. L. Krzywicki odczytał projekt org. sekcji inspektoryatu fabr., opracowany przez dotychczasową komisję organizacyjną, zaznaczając, że wybór dzisiejszy nie jest wyborem do inspektoryatu, a jedynie do komisji organizacyjnej, która dotąd pracowała bez udziału przedstawicieli robotników. Komisya w tym składzie, w jakim obecnie pracuje, zdecydowała dać jeden jeszcze 4-ty mandat robotniczy delegatowi Stow. Rob. Chrześcijańskich. Stowarzyszenie to już wybrało swego delegata.

Sprawa ta wywołała burzę protestów ze strony przedstawicieli związków zawodowych t. zw. klasowych, którzy, oburzając się na K. O., wypowiedzieli się, że fakt przyznania robotnikom org. chrześcijańskich osobnego delegata, jest „kopnięciem” związków zawodowych klasowych, że K. O. chce rozbijać solidarność klasową robotniczą, faworyzując jedno stowarzyszenie chrześcijańskie, przeciw 29 związkom, których przedstawiciele znajdują się na sali, dając delegata organizacyi robotn. chrześcijan, która jest „wrogiem klasie robotniczej”.

Postawiono wniosek, ażeby nie przystępować do wyborów, wobec tej nowej sytuacji — i zarządono przerwę, żeby się naradzić nad tą sprawą.

Po przerwie zdania obecnych podzieliły się za wyborami i przeciw. Dzięki głosowaniu Polskich Związków Zawodowych za wyborami, uchwalono wybierać.

Przystąpiono do odczytania instrukcyi dla przedstawicieli robotniczych, mających być wybranymi na tem zebraniu.

Instrukcyja ta, utrzymana w tonie ubliżającym dla K. O., potępiająca w zasadzie samą inspekcję pracy, jako „zabawkę, rzuconą robotnikom przez burżuazję, ażeby odciągnąć proletaryat od walki klasowej” — wywołała protest ze strony przedstawicieli Polskich Zw. Zaw., którzy, przyznając słuszność pewnym postulatam tej instrukcyi, za całością jednak, utrzymaną w tej formie, głosować nie chcieli.

Instrukcyja została przyjęta większością — przeciw Polskim Zw. Zaw. i przeciw kilku, którzy wstrzymali się od głosowania.

Na porządek dzienny weszła sprawa wyboru trzech kandydatów. Po ogłoszeniu przez prezydium trzech kandydatów, zgłoszono w imie-

niu Polskich Zw. Zawodowych, wniosek przyznania im przez zebranie, bez względu na mogący mieć wynik głosowania, 1 delegata do sekcji organizacyjnej. Referent Polsk. Zw. Zaw. motywował to żądanie tem, że ruch zawodowy robotniczy polski z powodu trudnych warunków nie rozwijał się normalnie, że cały szereg Zw. Zaw. zmuszony był do zaprzestania swych czynności, że Zw. Zaw. w dzisiejszych nawet warunkach nie mogą rościć pretensji do reprezentowania ogółu robotniczego, gdyż są nieliczne. Podkreślał, że w ruchu zawodowym robotniczym są pewne różnice ideowe, różnice taktyczne, co się ujawnia w fakcie istnienia w poszczególnych fachach kilku organizacji robotniczych zawodowych.

Polskie Zw. Zaw. uważają za ideał jednolite, bezpartyjne, bez różnicy wyznań związki zawodowe.

Na dziś jednak, gdy niema tych idealnych organizacji robotniczych, za wyjście najbardziej sprawiedliwe, najbardziej odpowiadające różnicom, jakie istnieją pomiędzy Zw. Zaw., dla wykazania, że jednak jest możliwa jedność robotnicza i wspólna praca w inspekcjach ogólnorobotniczych, jak inspektorat fabryczny, który powinien być rzecznikiem szerokiego ogółu robotniczego, należy w wyborze delegatów uwzględnić przedstawicielstwo grup robotniczych, w tym wypadku przedstawiciela Polskich Zw. Zawodowych.

Projekt ten wywołał nową burzę.

Przedstawiciele Zw. Zaw., t. j. klasowych, w przemówieniu pewnej towarzyszki, która widocznie w imię zgody i jedności robotniczej, starała się odsądzić od czci i wiary Polskie Zw. Zaw., za ich stanowisko w r. 1905! (Związki Polskie powstały dopiero w 1906 r.).

Według tej „towarzyszki” Związki Polskie, jako nie „klasowe”, nie mogą mieć swoich przedstawicieli w inspekcji fabrycznej i proponowała, ażeby zebrani przedstawiciele Zw. Zaw. klasowych, przeszli do porządku dziennego nad wnioskiem Polsk. Zw. Zawod.

Zebranie przegłosowało wniosek owej towarzyszki.

Wobec takiej sytuacji, przedstawiciele Polskich Zw. Zaw. w liczbie 12-tu osób, opuścili zebranie, odczytawszy rezolucję, w której podkreślono, że zebrani przedstawiciele Zw. Zaw. t. zw. klasowych ignorują ogół robotniczy, stojący poza ich organizacjami, że w tych warunkach wybrani przedstawiciele robotniczy, nie mogą być uznani za rzeczników całego ogółu robotniczego, że Zw. Zaw., tak zw. klasowe (czytaj esdeckie i bundowskie), nadużyły swej przewagi liczebnej (przedstawicieli, ale nie ogółu zorganizowanego) wobec reprezentantów i słusznych żądań Polskich Zw. Zawodowych.

Przedstawiciele Polsk. Zw. Zaw. oświadczyli, że dążyć będą do unieważnienia tych wyborów, odwołując się do ogółu robotniczego w myśl postulatów komisji petycyjnej 9-ciu.

Zw. Zaw. t. zw. klasowe przystąpiły do wyboru 3-ch delegatów i wybrano tow. Franc. Pesztę, Karola Wójcika i Dawida Meyera.

Komisya organizacyjna inspektoryatu fabrycznego nareszcie została uzupełniona przez przedstawicieli robotników.

Jaka to będzie praca, przyszłość pokaże.

Wybrani delegaci wchodzą do sekcji z wyraźną instrukcją przyjętą na zebraniu robotniczym, przeniesienia na teren sekcji swych „obywatelskich” postulatów, jakie były ogłoszone w odezwie, wzywającej do demonstracji przeciw K. O., na plac Teatralny, podpisanej przez „polskie” partje robotnicze: Socyaldemokrację Król. Polsk. i Litwy, Bund i t. zw. Polską Partję Socyjalistyczną (nie uznającą niepodległości Polski i uzurpującą sobie nazwę P. P. S.). Partje te, ignorując wszystko, co się poza nimi w ruchu robotniczym polskim dzieje, ignorując poważne instytucje robotnicze Polsk. Zw. Zaw., przez wytworzenie fikcji Zw. Zaw., o jakich ogół robotniczy nigdy nie słyszał, uzyskali na zebraniu robotniczym większość. Socyaldemokratyczne i bundowskie organizacje z całą bezwzględnością narzucają się robotnikowi polskiemu dziś znowu, tak, jak się narzucały w 1905 r.; 10 lat doświadczenia nie nauczyły tych panów, że robotnik polski nie ma nic wspólnego z „Socyaldemokratyczną partją Rosyi”, jaką jest nasza socyaldemokracja, a tembardziej z „Polską partją” — Bundem”.

Mała ilość delegatów robotniczych do komisji inspekcji fabrycznej wywołała żywe niezadowolenie w kołach zainteresowanych; przed ewentualnym zalewem ze strony burżuazji bierze je w opiekę *Przegląd Poranny*:

„Okolicznością niepomyślną jest nadmiernie mały udział liczebny przedstawicieli interesów robotniczych w komisji, mającej wypracować projekt inspekcji; 3-ch przedstawicieli robotników równoważyc będą głosy również 3-ch przedstawicieli fabrykantów, poza tem zaś znaczna liczba głosów przedstawicieli różnych urzędów miejskich, kupców, rzemieślników — skłaniać się będzie raczej na stronę fabrykantów, niż robotników.

Dają się ze środowiska robotników słyszeć głosy, że sprawa zorganizowania inspekcji fabrycznej powierzona być winna w całości organizacyom robotniczym, jako mająca na celu przedewszystkiem ochronę pracy, jednakże nawet zwolennicy zasady przeciwnej przyznać muszą, że przyznane robotnikom przedstawicielstwo w komisji jest zbyt małe.

Jeżeli więc pod tym względem Komitet Obywatelski m. Warszawy poszedł zbyt daleko w swej trosce o interesy... fabrykantów, —

to za to z uznaniem podnieść należy projekt rozciągnięcia ochrony pracy na rzemiosło i handel".

Opinię powyższą podziela też *Nasza Trybuna*, omawiając obszernie (Nr. z 30/10) sprawę inspekcji, —

„jeśli ma to być instytucja jedynie dobro robotników mająca na celu, ich interesom poświęcona, ich praw broniąca, ich życie i zdrowie ochraniająca — to jest rzeczą bezsporną, że oni, robotnicy, pierwszy głos zabrać tu powinni”.

Ze sprawozdania na posiedzeniu 3-go października, widzimy, że obecna praca inspekcji polega głównie na likwidowaniu spraw, pozostałych jeszcze z czasów urzędowania rosyjskiego. Na zebraniu tem postanowiono urządzić specjalne wykłady dla kandydatów na przyszłych inspektorów fabrycznych. *Dziennik Polski* w notatce „Wybór inspektorów pracy” (10/11) robi słuszną zupełnie uwagę, że społeczeństwo informowane jest o postanowieniach komisji po zapadłych uchwałach, że przeto odsunięte jest w zupełności od wpływu na bieg spraw, które je żywo zajmują.

Polskie związki zawodowe na konferencji 2-go września powzięły szereg uchwał, z których wyjątki podajemy za *Gońcem Porannym* z 5/9:

„Uchwała II. Zważywszy, w jak trudnych warunkach Komitet Obywatelski prace swoje, w kierunku zmniejszenia niedoli całego narodu prowadzi, P. Z. Z. pozostając z uznaniem dla dotychczasowych prac K. O., pozostawiają sobie prawo krytyki poszczególnych organów (sekcji) K. O., które niejednokrotnie nie stały na wysokości instytucji obywatelskich.

Uchwała III. Dla nadania powagi i zaufania K. O. w masach ludowych, P. Z. Z. uważają za nieodzowne przedstawicielstwo robotników w K. O. i sekcjach tegoż, mających styczność z organizowaniem i regulowaniem życia robotniczego”.

Komitet Obywatelski, czyniąc zadość żądaniom robotników, zaprosił z pośród nich trzynastu, którym oświadczone, iż

„Komitet Obywatelski postanowił zaprosić przedstawicieli trzech zasadniczych odłamów warstw robotniczych i zażądać dostarczenia w ciągu tygodnia listy przedstawicieli: po jednym od każdego odłamu do komitetu i po dziewięciu od każdego odłamu do organizacji komitetu.

Na trzy odłamy Komitet Obywatelski podzielił warstwę robotniczą, nie według przekonań politycznych, ale stosownie do tego, jakie stanowisko różne grupy robotnicze zajmują w stosunku do Komitetu. Do pierwszego odłamu należą związki zawodowe i kuchnie robotnicze, zwalczające dotychczas Komitet; do drugiego należą „petycyoniści” i polskie związki zawodowe, ujawniające chęć współpracy z Komitetem; do trzeciego wreszcie odłamu należą chrześcijańscy robotnicy i czeladź cechowa, nie ujawniająca dotychczas specjalnych życzeń pod adresem Komitetu”.

Gotowość współpracy z Komitetem ujawnili też rzemieślnicy, uchwalając odnośną rezolucję na posiedzeniu, odbytem w dn. 21 października.

„1) Świadomi ogromu tragedji dziejowej, jaką naród polski zmuszony jest w dobie bieżącej przeżywać, my rzemieślnicy, jako część narodu, dotknięci bodaj najcięższymi wypadkami wojny, cierpimy z narodem w nadziei, że i nam w rezultacie zabłyśnie promień lepszego jutra.

2) Dla tego również z zadowoleniem witamy przedstawicielstwo polskich związków zawodowych, komisji dziewięciu i związków robotniczych chrześcijańskich, jako grup robotniczych, wiedząc, że i one wnoszą z sobą do Komitetu Obywatelskiego inicjatywę i zdolność do twórczej, zbożnej i obywatelskiej pracy, dla dobra warstwy robotniczej i narodu całego.

3) W tym celu przystępujemy do współdziałania przez swych delegatów w pracach Komitetu Obywatelskiego, by w granicach możliwości w największym stopniu łągodzić wogóle rozpaczliwe położenie społeczeństwa, a w szczególności warstwy rzemieślniczej”.

Pragnąc jednakże zwrócić uwagę K. O. na opłakany stan chylących się do upadku rzemiosł, sfery rzemieślnicze naszego miasta wystosowały na ręce Komitetu specjalny memoriał, streszczając swe wywody w ustępie poniższym:

„Ośmielamy się prosić Szanowne Prezydium o zaproszenie do współdziałania w pracach obywatelskich, przedstawicieli rzemiosł, do;

ogólnej rady miasta, komisji oświecenia, inspekcji fabrycznej i komisji rozdzielczej, albowiem brak łączności między zarządem miasta, a grupą rzemiosł, wytwarza obojętność dla spraw ogólnonarodowych, gdyż rzemieślnik, któremu ujęto troskę o dobro kraju, przestaje być jego obywatelem, w znaczeniu takim, jak to jest na Zachodzie".

Istotną zawieruchę spowodowały tak zw. kuchnie robotnicze, prowadzone przez Robotniczy Komitet Gospodarczy i subwencyonowane przez K. O. Organizacje te, zupełnie zresztą samodzielne, któremi kieruje odłam socjal-demokratyczny robotników, wywołują ciągle polemiki między *Gazetą Poranną*, a *Przeglądem* i są powodem stałych nieporozumień pomiędzy Robotniczym Kom. Gosp. a K. O.

Według *Gazety Porannej* (artykuł p. t. „Stary kawał” 19/10):

„Robotniczy Komitet Gospodarczy jest właśnie nową firmą, firmy dawno zbankrutowanej, rosyjskiej partii socjal-demokratycznej, operującej na gruncie naszym jako partya s.-d. Królestwa Polskiego i Litwy. Prócz tego Rob. Kom. Gospodarczy przytuła pod swą firmą niedobitków lub rozbitków z różnych partii socjalistycznych, którzy są bez wpływu i znaczenia w tym Komitecie”.

A niżej pisze o samym charakterze „kuchni”:

„Partya widzi w kuchniach jedynie teren dla agitacji i szerzenia swych wpływów, a nie instytucję pomocy głodnym. Przecież kuchnie są w rzeczywistości klubami partyjnemi, w których odbywają się zebrania związków partyjnych (patrz np. *Przegląd Wieczorny* z d. 4-go września r. b. — uchwała związków metalowców i skórzanego i t. d. i t. d.).

Skromne nazwy „kuchni” czy Robotniczego Kom. Gospodarczego ukrywają zupełnie co innego. Uciekanie się do takich nazw dowodzi niezbiecie, iż do starych firm, skompromitowanych ostatecznie, robotnik stracił zaufanie, więc wysunięto mu nowe”.

Przegląd w Nr. z 22-go października, odpowiadając w artykule: „Oszczerstwem i potwarzą”, na zarzuty *Gazety Porannej*, pisze:

„Kuchnie Robotnicze, które borykając się z trudnościami materialnymi i szykanami policyjnymi przetrwały cały rok wojny, są solą w oku pewnej kategorii „działaczy” społecznych, nie mogących się pogodzić z tem, iż istnieją organizacje robotnicze, rządzące się samodzielnie.

Tłumiona niechęć wystąpiła jawnie w artykułach pewnej gazetki, która w dążeniu do zwalczania samorządnych kuchen robotniczych przytoczyła „fakty”, — mające „dowieść”, iż kuchnie robotnicze są ogniskami „propagandy socjalistycznej”.

Nasza Trybuna, dając historię powstania i rozwoju „kuchni”, zamieszcza, między innymi, artykuł: „Położenie klasy robotniczej w Warszawie” (23-go października):

„Z pośród bardzo wielu form pomocy, jakie należało zastosować wobec wzrastającego bezrobocia i nędzy, a które, jak zobaczymy dalej, stopniowo i pod presją samych robotników zaczynają wchodzić w życie, pierwszą były kuchnie robotnicze. Powstałe z inicjatywy uświadomionych elementów robotniczych, kuchnie te nie znalazły żadnego poparcia K. O. i musiały czerpać środki od rosyjskich instytucji społecznych. Kuchniom tym, których kierownictwo powierzone zostało utworzonemu w tym celu Robotniczemu Komitetowi Gospodarczemu, przeciwstawił K. O. swoje tanie kuchnie, kierowane przez specjalną Sekcję Tanich Kuchen. Mimo, że kuchnie robotnicze zyskały ogromną popularność w masach robotniczych, że funkcjonowały nadzwyczaj sprawnie, podając systematycznie, w przeciwieństwie do taktyki K. O., do wiadomości publicznej dokładne sprawozdania, nie zadowolniły jednak K. O. Dla K. O. fakt, że kuchnie robotnicze doskonale wypełniały swoje zadania, niosąc pomoc głodnym masom, miał znaczenie drugorzędne. Za rzecz o wiele ważniejszą uważał K. O. to, że kuchnie te rządziły się samodzielnie, kierowane były przez Robotniczy Komitet Gospodarczy i skupiały w przeważnej części najbardziej świadome elementy robotników. I dlatego, kiedy po odcięciu kraju od Rosyi, kuchnie robotnicze pozbawione zostały otrzymywanej dotąd pomocy i kiedy wobec potęgującej się wśród proletariatu nędzy, Rob. K. G. widział się zmuszonym do rozszerzenia swej działalności przez otwarcie szeregu nowych kuchen, K. O. uwarunkował pomoc swoją szeregiem żądań, zmierzających do pozbawienia kuchen ich samorządności i do oddania ich pod bezpośrednie kierownictwo K. O.”

A na końcu znamienna uwaga pod adresem K. O.:

„W historii przeżywanej obecnie klęski wiele znaczącym i wiele mówiącym pozostanie fakt, że, w najkrytyczniejszym momencie, K. O. dla względów swojej polityki klasowej odmówił najbardziej powołanemu do niesienia pomocy proletaryatowi Rob. Kom. Gosp. środków do rozszerzenia działalności kuchen robotniczych i otwarcia piekarni robotniczej”.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

Arnold Bennett. „Żywcem pogrzebany“. Powieść. Słowo wstępne i przekład K. Łąganowskiego. Warszawa, 1915. Ferdynand Hoesick.

Władysław Jagniętkowski. „Walka z kobietą“. Powieść. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Alfred Konar. „Jesień“. Powieść. Wydanie drugie. Warszawa, 1915. Nakład Kasy Przeworności i Pomocy Warszawskich Pomocników Księgarskich.

Marya Rodziewiczówna. „Barbara Tryźnianka“. Powieść. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Marya Rodziewiczówna. „Czarny chleb“. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Zygmunt Sarnecki. „Czwarta dusza“. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Stanisław Przybyszewski. „Adam Drzazga“ (Druga i ostatnia część „Dzieci Nędzy“). Powieść. Warszawa, 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Stanisław Wołoszyński. „Krwawe dziewosłęby“. Powieść z XVII w. Warszawa, 1915. Kraków: G. Gebethner i S-ka.

Dr. Alfred Lauterbach. „Potrzeby estetyczne Warszawy“. Warszawa, 1915.

Stefania Sempołowska. „Reforma szkolna 1862 roku. Organizacya Szkolnictwa Elementarnego“. Tow. Wydawnicze w Warszawie.

„Pisma filozoficzne Adama Mahrburga“. Tom I i II. Warszawa, 1914. Ferdynand Hoesick.

„Wybór pism Adama Mickiewicza“. Wydał i objaśnił Tadeusz Pini. Kraków, 1915. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa. Wybory z dzieł najwybitniejszych pisarzy polskich Nr. 1.

„Wybór pism Zygmunta Krasińskiego“. Wydał i objaśnił Tadeusz Pini. Kraków, 1915. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa.

„Wybór pism Juliusza Słowackiego“. Wydał i objaśnił Tadeusz Pini. Kraków, 1915. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa.



SPIS RZECZY,

SZKOLNICTWO — <i>Dr. Władysław Kłyszewski.</i>	5
STOSUNEK WŁOŚCIAN POLSKICH DO WOJEN, TOCZONYCH W OSTATNICH WIEKACH ISTNIENIA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ — <i>Ignacy Baranowski.</i>	10
STAN ROLNICTWA POLSKIEGO W DOBIE POWOJENNEJ, A PROGRAM EKONOMICZNY LUBECKIEGO (Dokończenie) — <i>Dr. Edward Strasburger.</i>	19
STANISŁAW WITKIEWICZ — <i>Adam Grzymała-Siedlecki.</i>	33
RUDYARD KIPLING (Dokończenie) — <i>August Popławski.</i>	54
POEZYJE — <i>Bogusław Butrymowicz.</i>	60
ŻYWI (Nowela) — <i>Zofia Rygier-Nałkowska.</i>	64
KRONIKA: I. J. H. Fabre (1823—1915). II. Teatr — <i>Wł. Kłyszewski.</i> III. Organizacja robót publicznych i kwestya robotnicza w prasie warszawskiej (Dokończenie).	70
Książki nadesłane.	91

Inicjały i okładka ZYGMUNTA KAMIŃSKIEGO.

Kierownik naczelny i wydawca: Dr. AUGUST POPŁAWSKI.

Redaktor odpowiedzialny i kierownik literacki: _____

_____ Dr. WŁADYSŁAW KŁYSZEWSKI.

Kierownik naczelny Wydziału Dr. AUGUST POPŁAWSKI.
Redaktor odpowiedzialny i kierownik wydawnictwa: Dr. WŁADYSŁAW KRYSZEWSKI.

